

Pokochala Toma Gordona

KING STEPHEN



calibre 0.7.28

Stephen King

Pokochala Toma Gordona

(Przełożył Krzysztof Sokolowski)

Książki te poświęcam mojemu synowi Owenowi, który w końcu nauczył mnie o baseballu o wiele więcej, niż ja nauczyłem jego.

Czerwiec 1998

Rozgrzewka

Świat to potwór zębaty, gotów gryźć, gdy tylko zechce. Trisha McFarland odkryła tę fundamentalną prawdę w wieku dziewięciu lat, o dziesiątej rano tego dnia na początku czerwca siedziała na tylnym siedzeniu Dodge'a Caravana matki, w niebieskiej bluzie treningowej Czerwonych Skarpet (z numerem 36 - numerem Toma Gordona na plecach), bawiąc się swoją lalką Mona, o dziesiątej trzydziestu zablądziła w lesie, o jedenastej rozpaczliwie próbowała opanować atak paniki, broniąc się przed myślą: "To poważna sprawa, to bardzo poważna sprawa". Rozpaczliwie broniła się także przed myślą, że kiedy ludzie giną w lesie, bywa z nimi niedobrze. Bardzo niedobrze. Bywa, że umierają. "A wszystko dlatego, że chciało mi się siusiu" - pomyślała, ale prawdę mówiąc, nie chciało jej się siusiu aż tak, poza tym mogła przecież poprosić mamę i Petera, by poczekał na nią tę małą chwilkę, potrzebną do ukucnięcia za drzewem. Tyle że oni znów się kłócili, ale nowina, no nie, i dlatego została odrobinkę z tyłu, nie mówiąc im o tym ani słowa. Dlatego zeszła ze szlaku, za krępe wysokie krzaki, i o tym też nic im nie powiedziała. Uznała, że należy jej się mała przerwa, takie to proste. Miała dość słuchania, jak się kłocą, miała dość udawania wesolej i pogodnej, ukrywania, że marzy tylko o tym, by wrzasnąć na matkę: "Odpuść mi! Jeśli aż tak chce wrócić do Malden i mieszkać z tatą, to mu na to pozwól, wielkie mi co. Gdybym miała prawo jazdy, sama bym go odwiozła i wreszcie mielibyśmy chwilę ciszy i spokoju!" i co by się wówczas stało? Co by powiedziała matka? Jaka by miała minę? i Pete. Pete jest starszy - ma prawie czterdzieści lat - i całkiem niegłupi, więc czemu się upiera? Dlaczego sobie nie odpuszcisz? Pragnęła powiedzieć mu jedno: "Daj spokój", a właściwie pragnęła to powiedzieć im obojgu.

Do rozwodu doszło przed rokiem. Sąd przyznał matce prawo do opieki nad dziećmi. Peter gorzko i długo protestował przeciw przeprowadzce z przedmieścia Bostonu do południowego Maine; właściwie nie przerwał protestów aż do dziś. Po części rzeczywiście wolął mieszkać z ojcem i nie miał zamiaru zrezygnować z tego argumentu, kierowany bezbłędnym instynktem, który mu podpowiadał, że w ten sposób jest w stanie ugodzić matkę najgłębiej i najboleśniej, Trisha wiedziała jednak, że nie jest to motyw jedyny ani nawet najważniejszy. Peter chciał wrócić do Bostonu przede wszystkim dlatego, że nienawidził Szkoły Przygotowawczej Sanford, w Malden szło mu jak po masle. Rządził

klubem komputerowym niczym udzielnym księżem, miał przyjaciół - dupków, bo dupków, ale była tych chłopaków spora grupa i szkolne lobuzy nie osmielały się ich zaczepiać, w Szkole Przygotowawczej Sanford nie było nawet klubu komputerowego, Pete zdobył sobie zaledwie jednego przyjaciela, Eddiego Rayburna, a w styczniu Eddie wyjechał, bo jego rodzice również się rozwiedli. Pete został więc sam - ofermą szkolną, nad którą każdy mógł się zniecać do woli, a co najgorsze, wszyscy się z niego śmiali. Zyskał sobie nawet przydomek, którego szczerze nienawidził: Compu-World.

W te weekendy, których dzieci nie spędzały z ojcem w Malden, matka zabierała je na wycieczki, z ponurym uporem, na który nie było lekarstwa. Trisha całym sercem marzyła o weekendzie bez wycieczki, bo podczas wycieczek było najgorzej, ale nie spodziewała się, by taki cud nastąpił w przewidywalnej przyszłości. Quilla Andersen (matka wróciła do panińskiego nazwiska i załóżcie się, o co chcecie, ludzie, że Peter tego też nienawidził) była kobietą, która doskonale wiedziała, czego chce... i dokładnie to dostawała. Podczas jednego z weekendów spędzanych z ojcem Trisha usłyszała, jak jej tata mówi do swego ojca: "Gdyby to Quilla dowodziła pod Little Big Horn, Indianie dostaliby łanie". Nie podobało jej się, kiedy tata mówił tak o mamie, wydawało się to równie dziecinne, co nielojalne, musiała jednak przyznać, że w tej szczególnej myśli tkwiło więcej niż ziarno prawdy.

W ciągu ostatnich sześciu tygodni, podczas których jej stosunki z Peterem pogarszały się stale i systematycznie, matka zabrała ich do muzeum samochodów w Wiscasset, do wioski Shakerów[1] w Gray, do New England Plant-A-Torium w North Wyndham[2], do Six-Gun City w Randolph[3], w New Hampshire, na spływ kajakowy rzeką Saco oraz na narty do Sugarloaf, gdzie Trisha zwichnęła nogę w kostce, co doprowadziło do dzikiej awantury między rodzicami. Wierźcie mi albo nie, rozwód to doskonała zabawa. Czasami, kiedy któraś z wycieczek naprawdę mu się podobała, Peter zamykał gębę na kłódke. Stwierdził, że Six-Gun City to "dla dzieci", ale mama pozwoliła mu spędzić większość czasu w sali gier komputerowych, więc wrócił do domu wprawdzie niekoniecznie szczęśliwy, lecz przynajmniej milczący. Jeśli jednak coś mu się nie podobało (a najbardziej ze wszystkiego nie podobało mu się Plant-A-To-rium, tego dnia, wracając do Sanford, wkurzał się wręcz koncertowo), nie uważał bynajmniej za stosowne zachowanie swej opinii dla siebie. Zasada "żyj i daj żyć innym" nie mieściła się w jego światopoglądzie, w matki zresztą też nie, a przynajmniej Trisha nigdy nie dostrzegła u niej usiłowań, by wprowadzić ją w życie. Za to ona sama uznawała owa zasada za najprzydatniejszą w świecie, ale oczywiście wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić: "skóra zdjęta z taty", co nie zawsze się jej podobało, przeważnie jednak tak.

Trishy nie obchodziło, dokąd wyjeżdżają w soboty. Byłaby wręcz szczęśliwa, gdyby odwiedzali wyłącznie wesołe miasteczka i pola do gry w minigolfa, wówczas bowiem kłotnie nie bywały aż tak straszliwe. Mama uważała jednak, że wycieczki powinny być także "kształcące", stąd Plant-A-To-rium i wioska Shakerów. Nie da się ukryć, że Pete miał swoje problemy, wśród nich zaś ten, że nienawidził, by kształcono go przymusowo w soboty, które z największą radością spędzałby w pokoju, grając na Macu w "Sanitarium" lub "Rivena". Raz i drugi zdarzyło mu się wygłosić opinie o wycieczce wystarczająco dobitnie

(brzmiało to mniej więcej tak: "o kant dupy potłuc"), by matka uznała za stosowne odesłać go do samochodu z poleceniem "opanowania się", poki ona nie wróci z Trisha.

Trisha miała wielką ochotę wytłumaczyć matce, że Pete jest za stary, by traktować go jak przedszkolaka i stawiać do kątów, że pewnego dnia mogą wrócić do pustego samochodu, aby stwierdzić, że postanowił autostopem powrócić do Massachusetts, ale - rzecz jasna - milczała. Same sobotnie wycieczki były oczywiście bez sensu, mama jednak nigdy nie przyjeżdżała tego do wiadomości. Pod koniec niektórych Quilla Anderson wyglądała co najmniej o pięć lat starszej niż na początku, w kącikach jej ust pojawiały się nagle głębokie bruzdy, masowała skronie, jakby cierpiała na dokuczliwy ból głowy... ale nie rezygnowała i nie miała zamiaru zrezygnować. Gdyby była pod Little Big Horn, Indianie wygraliby - być może - lecz drogo zapłaciliby za to zwycięstwo.

W tym tygodniu wybrali się do miasteczka w zachodniej części stanu. Biegł przez nie prowadzący do New Hampshire Szlak Appalachów. Poprzedniego wieczora, siedząc przy kuchennym stole, mama pokazała im fotografie z broszury. Na większości z nich widac było wesółych wędrowców na ścieżce lub w "miejscach widokowych". Oslaniali oczy i spoglądali w głąb pięknych leśnych dolin albo na wygładzone przez czas, lecz nadal imponujące szczyty centralnego pasma Gór Białych. Pete siedział przy stole i wyglądał na kosmicznie wrecz znudzonego. Na broszurę zaledwie zerknął z łaski. Mama postanowiła nie dostrzegać tego ostentacyjnego braku zainteresowania. Trisha, której ostatnio coraz mocniej wchodziło to w krew, grała zachwycona rozkoszniczką, w ogóle miała wrażenie, że upodabnia się stopniowo do uczestników teleturniejów, robiących zawsze takie wrażenie, jakby mieli zsiąkć się w majtki z radości na samą myśl o wygraniu kompletu garnków do gotowania bez wody, a gdyby ktoś spytał, jak się czuje, powiedziałaby, że niczym klej łączący dwie części stłuczonego wazonika. Słaby klej.

Quilla zamknęła broszurkę i odwróciła ją. Na tylnej stronie okładki znajdowała się mapa. Matka stuknęła palcem w niebieską, kretą linię.

- To droga numer 68 - oznajmiła. - Samochód zostawimy na parkingu, o tu. - Poklepała niebieski kwadracik. Teraz przyszła kolej na kretą czerwoną linię. - To Szlak Appalachów między drogami 68 i 302 w New Conway, w New Hampshire. Ma niecałe dziesięć kilometrów, oznaczony jest jako średnio trudny. Aha, środkowa część ma oznaczenie "trudny", ale nie będziemy potrzebowali sprzętu wspinaczkowego i tak dalej.

Postukała w inny niebieski kwadracik. Pete siedział z głową opartą na dłoni, demonstracyjnie wpatrzony w ścianę. Dłoń uniosła mu w górę kącik ust, przez co wyglądały jak skrzywione w pogardliwym grymasie, w tym roku dostał pryszczki i miał ich na czole cały świeży rząd. Trisha bardzo go kochała, ale czasami - na przykład tego wieczoru, kiedy mama przedstawiła im plan wycieczki - nienawidziła go równie mocno. Bardzo chciała mu powiedzieć, że jest tchorzem, w końcu wszystko się do tego sprowadzało, jeśli, jak zwykły mawiać tata, "przyszło co do czego". Peter marzył o tym, by powrócić do Malden z małym młodzieńczym ogonkiem między nogami, był bowiem tchorzem. Mama nic go nie

obchodzila, siostra nic go nie obchodzila, nie obchodzilo go nawet to, ze mieszkanie z ojcem wcale nie musialo na dluzsza mete okazac sie dla niego dobre. Obchodzilo go tylko to, ze jada drugie sniadanie, siedzac samotnie na lawce szkolnego boiska. Obchodzilo go tylko to, ze kiedy wchodzi do klasy po pierwszym dzwonku, ktos zawsze pozdrawia go slowami: "Hej, jak ci leci, CompuWorld? Co porabiasz, pedalku?"

-To parking, na ktory wyjdziemy - powiedziala mama, albo nie zauwazajac, ze Pete nie interesuje sie mapa, albo udajac, ze nie zauwaza. - Autobus podjezdz tu okolo trzeciej. Zabierze nas z powrotem do samochodu, w dwie godziny pozniej jestesmy w domu. Jesli nie bedziecie zbyt zmeczeni, wybierzemy sie razem do kina. Jak wam sie to podoba?

Wczoraj wieczorem Pete zachowal wyniosle milczenie, za to dzisiejszego ranka usta mu sie nie zamykaly. Zaczal, kiedy wsiedli do samochodu w Sanford. Nie chce jechac na wycieczke, wycieczka jest dowodem ostatecznej glupoty, w telewizji mowili, ze po poludniu ma lac, dlaczego musza spedzic sobote, wloczac sie po lesie, i to o tej porze roku, kiedy wszedzie bywa najwiecej robali, co sie stanie, jesli Trisha wpadnie w trujacy bluszcz (jakby go to w ogole obchodzilo), i tak dalej, i tak dalej. Nic, tylko gadal i gadal. Mial nawet czelnosc powiedziec, ze powinien siedziec w domu, uczac sie do egzaminow, choc, zdaniem siostry, w calym dotychczasowym zyciu nigdy nie uczyl sie w sobote. Mama najpierw milczala bohatersko, ale w koncu przeciez zalazl jej za skore. Udawalo mu sie to bezblednie, jesli tylko mial dosc czasu. Kiedy parkowali na ubitej ziemi przy drodze numer 68, sciskala juz kierownice tak mocno, ze az zbielaly jej kostki palcow, i mowila wysokim, urywanym glosem, ktory Trisha znala az za dobrze. Przechodzila wlasnie z alarmu zoltego w stan alarmu czerwonego, w kazdym razie wygladalo na to, ze dziesieciokilometrowy spacer po lasach zachodniego Maine moze sie okazac wyjatkowo dlugi.

Trisha probowala najpierw odwrocic uwage obojga, wyglaszajac pelne zachwyty komentarze na widok zrujnowanych stodol, pasacych sie koni i malowniczych przydroznych cmentarzy, zostala jednak tak kompletnie zlekcewazona, ze po prostu musiala zamilknac. Siedziala na tylnym siedzeniu z Mona (ktora ojciec nazywal Moanie Balogna) na kolanach, przytulona do plecaka, sluchajac klotni i zastanawiajac sie, czy bedzie plakac, czy po prostu zwariuje. Czy klotnia rodzinna moze doprowadzic kogos do szalenstwa? Moze matka masowala czasami skronie czubkami palcow nie dlatego, ze bolala ja glowa, lecz po to, by powstrzymac zmeczony mozg przed samozaplone, gwaltowna dekompresja lub czymś w tym rodzaju.

Trisha uciekla od rzeczywistosci w swe ukochane marzenie. Zdjela czapeczke Czerwonych Skarpet i wczuwajac sie w role, skupila sie na podpisie na daszku, zamaszystym podpisie, wykonanym miekkim flamastrem. Byl to podpis Toma Gordona. Peter lubil Mo Yaughna, mama miala slabosc do Nomara Garciaparry, lecz faworytem Trishy i jej taty byl zdecydowanie Tom Gordon. Zawodnik ten z zasady zamykal gre - wchodzi na boisko w ostatniej, dziewiatej rozgrywce, gdy Czerwone Skarpety wygrywaly, ale nie decydujaco. Tata podziwial Gordona, poniewaz zawsze wygladal na absolutnie spokojnego - "w zylach tego skubanca plynie woda z lodem", mawial - wiec Trisha tez go

za to podziwiała, dodając czasami, że tylko Gordonowi wystarczy śmiałości, by narzucić podkreślaną piłkę przy trzy i zero (te opinie tata przeczytał jej kiedyś ze sprawozdania w "Boston Globe"), o innych sprawach Trisha rozmawiała wyłącznie z Moanie Balogna i, lecz tylko raz, z przyjaciółką, Pepsi Robichaud. Pepsi wspomniała od niechcienia, że Tom Gordon jest "całkiem przystojny". Monie Trisha mogła się zwierzać bez oporów, i jedynie Mona wiedziała, że Gordon jest najprzystojniejszym żyjącym mężczyzną i że gdyby tylko dotknął ręki Trishy, ona z pewnością by zemdląca, a gdyby ją pocałował, choćby w policzek, to by pewnie nawet umarła.

Teraz, gdy jej matka brat kłócili się zazwyczaj na wszystkie możliwe tematy: o wycieczkę, o szkole w Sanford, o całej ich zachwiane życie, Trisha wpatrywała się w czapkę, którą tata jakimś cudem zdobył dla niej w marcu, tuż przed początkiem sezonu baseballowego, i w wyobraźni malowała taką oto scenkę:

"Jestem w parku w Sanford, dzień jak co dzień, idę do domu Pepsi przez teren zabaw dla dzieci. Przy wozku z hot dogami stoi mężczyzna. Jest w dzinsach i białym podkoszulku, na szyi ma złoty lancuszek; stoi tyłem do mnie, ale widzę, jak lancuszek błyszczy w promieniach słońca, mężczyzna odwraca się i, Boże, nie wierzę własnym oczom, to naprawdę on, Tom Gordon. Nie wiem, co robi w Sanford, ale to on, tak, to on, i te jego oczy, zupełnie takie jak wtedy, kiedy wpatruje się w bazowego, czekając na jego sygnał, te oczy, uśmiecha się, mówi, że się zgubił, i pyta, czy nie wiem przypadkiem, jak dojechać do miasteczka North Berwick, a ja Boże, mój Boże, trzęsę się całą, wiem, że nie zdolam nic wykrztusić, otworzę usta, lecz nie potrafię wypowiedzieć ani słowa, wydam z siebie tylko zduszony pisk, który tata nazywa czasami pierdnięciem myszy, ale próbuje i okazuje się, że mogę mówić, że mój głos brzmi prawie normalnie, więc mówię..."

Ja mówię, on mówi, potem ja mówię i on mówi; miło jest myśleć o tym, jak mogłaby wyglądać taka rozmowa. Kłotnia z przedniego siedzenia oddala się i cichnie (Trisha nauczyła się już, że milczenie bywa największym błogosławieństwem, jakie jest w stanie ofiarować nam świat). Dziewczynka niczym zahipnotyzowana wpatruje się w podpis na daszku czapki i kiedy Dodge skreca na parking, ona jest bardzo, bardzo daleko stąd ("Trisha wędruje po swoim własnym świecie" - jak mawia tata). Nie wie jeszcze, że zwykły, normalny świat to zębaty potwór, lecz już wkrótce się o tym dowie. Teraz jest w Sanford, nie na TR-90. Jest w parku, a nie u wylotu Szlaku Appalachów. Jest z Tomem Gordonem, numer 36, wyjaśnia mu, jak dojechać do North Berwick, a Tom z wdzięczności proponuje jej hot doga - i czy może być większe szczęście na ziemi?

Pierwsza rozgrywka

Mama i Peter dali sobie spokój, gdy doszło do wyjmowania z samochodu plecaków i wiklinowego koszyka, do którego Quilla zbierała rośliny. Peter pomógł nawet siostrze założyć plecak wygodnie. Skroczył jeden z pasków. Trisha pozwoliła sobie zatem na chwilę bezsensownej nadziei. Może od tej chwili wszystko będzie w porządku? - Dzieciaki, macie płaszcze od deszczu? - spytała mama, unosząc wzrok w niebo, na razie czyste, choć na

zachodzie gromadziły się chmury.

Trisha pomyślała, że najprawdopodobniej będzie padać, choć zapewne zbyt późno, by Peter mógł skarżyć się z satysfakcją, że przemokł do suchej nitki.

-Mam, mamusiu - zaswiergotała radośnie w najlepszym stylu teleturniejów.

Peter tylko burknął coś, co mogło oznaczać "tak".

-Drugie śniadanie?

Trisha przyznała z entuzjazmem, że owszem, ma drugie śniadanie, Peter znowu tylko coś mruknął.

-No to doskonale, bo nie mam zamiaru dzielić się moim. - Quilla zamknęła samochód i poprowadziła ich po ubitej ziemi parkingu w kierunku tablicy, z napisem: "Szlak zachodni". Kierunek wskazywała strzałka pod spodem. Na parkingu stało kilkanaście samochodów. Ich numery wskazywały, że wszystkie, z wyjątkiem ich Dodge'a, pochodzą spoza stanu.

-Środek przeciw komarom?

-Mam, mamo - zaswiergotała Trisha, nie do końca pewna, czy go zabrała. Wolą nie zatrzymywać się jednak i nie odwracać, by mama mogła sprawdzić zawartość plecaka, bo to z pewnością obudziłoby milczącego na razie Petera. Jeśli będzie iść dalej, może zobaczy coś, co go zainteresuje.

Na przykład szopa. Albo jelenia? "Dinozaur byłby niezły" - pomyślała Trisha i zachichotała.

-Co cię tak bawi?

-Tylko moje myśli - odpowiedziała. Dostrzegła zmarszczkę na czole matki, "tylko moje myśli" było jednym z patentowanych określeń Larry'ego McFarlanda. "Marszcz się, marszcz" - pomyślała. "Marszcz się, ile tylko chcesz. Zostałam z tobą i nie skarżę się, jak ten tam ponurak, ale tata nie przestał być moim tatą i nadal go kocham". Dotknęła daszka czapki, jakby chciała się co do tego upewnić.

-Dobra, dzieci, idziemy - rozkazała Quilla. - Miejcie oczy otwarte.

-Boże, jak ja tego nienawidzę - jęknął Peter i były to pierwsze artykułowane dźwięki wydane przez niego od chwili, gdy wysiedli z samochodu.

"Boże - pomyślała Trisha - zeslij coś: jelenia, dinozaura, UFO, bo jeśli tego nie zrobisz, zaraz znowu zacznie się kłócić".

Bóg zesłał im jednak wyłącznie kilka moskitów - niewatpliwie zwiadowców moskiczej armii, która już wkrótce miała się dowiedzieć, że w drodze jest świeże mięsko. Kiedy mijali

strzałka z napisem "North Conway, 9 km", matka i syn nie myśleli już o niczym oprócz awantury. Ignorowali Trishe, ignorowali las, ignorowali cały świat z wyjątkiem siebie nawzajem. "Jap, jap, jap, jap..."; Trisha pomyślała nawet, że dla nich to jak jakieś chore pieszczotki, i w gruncie rzeczy szkoda, że okazali się tacy głupi, bo wokół było mnóstwo całkiem fajnych rzeczy. Sosny pachniały mocno i słodko, niemal jak rodzynki. Chmury zaciągały niebo, ale wcale nie przypominały chmur, wydawały się raczej smugami białosinego dymu. Trisha przypuszczała, że trzeba jednak być dorosłym, by coś tak nudnego jak spacer uznać za hobby, ale ten spacer nie był wcale taki zły. Nie wiedziała, czy cały Szlak Appalachów jest równie dobrze utrzymany jak ta jego część, prawdopodobnie nie, ale jeśli jakimś cudem jednak jest, to wiedziała już, dlaczego ludzie decydowali się na przejście nim całych tych tysięcy kilometrów. Przypominało to spacer szeroka, kreta lesna aleja. Niebrukowana, oczywiście, i prowadząca pod górę, ale i tak szło się nią bez wysiłku. Obok szlaku stał nawet szalony kryjący pompe, a obok napisane było: "Woda nadaje się do picia. Proszę napełnić dzbanek do zalania pompy dla następnego spragnionego wędrowca". Trisha miała w plecaku butelkę wody, wielką plastikową butelkę wody, ale nagle marzeniem jej życia stało się zalanie pompy i wypicie świeżej, zimnej wody z zardzewiałego kurka. Napije się zimnej wody z pompy, marzyć o tym, że jest Bilbo Bagginsem w drodze do Gór Mglistych.

-Mamo? - przemówiła do pleców matki. - Moglibyśmy się zatrzymać, żeby...

-Peter, na przyjaciół trzeba sobie zapracować! - tłumaczyła Quilla, nie zwracając najmniejszej uwagi na córkę. Nawet się nie odwróciła. - Nie możesz stać i czekać, żeby koledzy do ciebie przyszli i...

-Mamo... Pete... nie moglibyśmy przystanąć na chwilę i...

-Nie rozumiesz - odwrócił Peter. - Nie masz o niczym najmniejszego pojęcia. Nie wiem, jak to wyglądało, kiedy ty chodziłaś do szkoły, ale może ci powiedzieć jedno - teraz wszystko jest całkiem inaczej!

-Peter. Mamo. Mamusiu. Tam jest pompa i... - Tak naprawdę pompa była, tak należało się o niej wypowiedzieć poprawna angielszczyzna, w czasie przeszłym, bo została już daleko za nimi i nadal się oddalała.

-Nie przyjmuje tego do wiadomości - odparła natychmiast mama, zajęta dyskusją, i Trisha pomyślała: "Nic dziwnego, że doprowadziła go do szalu", a potem, z zawścią: "Oni przecież zapomnieli, że ja żyję. Dla nich jestem Niewidzialna Dziewczyna. Niewidzialna Dziewczyna to ja, w gruncie rzeczy mogłabym spokojnie zostać w domu". Moskit zabrzeczał jej przy uchu, opędziła się od niego machnięciem dłoni.

Doszli do rozgałęzienia szlaku. Główna ścieżka, nie przypominająca już alei, lecz nadal całkiem szeroka i wygodna, odchodziła w lewo za znakiem informującym: "North Conway, 9 km". Prawe odgałęzienie, zarosnięte i niemal niewidoczne, oznaczone było strzałką z

napisem: "Kezar Notch, 16 km".

-Panowie i panie, musze sie wysiusiac - powiedziala Niewidzialna Dziewczyna, lecz oczywiscie nikt nie zwrocil na nia uwagi, mama i brat szli po prostu przed siebie, droga prowadzaca do North Conway. Szli obok siebie niczym kochankowie, patrzac sobie w oczy niczym kochankowie, klocac sie jak najgorsi wrogowie. "Rownie dobrze moglibysmy nie ruszac sie z domu - pomyslala Trisha. - Mogliby sie poklocic w domu, a ja spokojnie czytalam sobie ksiazke. Najlepiej <<Hobbita>>, o istotach lubiacych spacerowac po lesie".

"Kogo to obchodzi, ja i tak siusiam" - powiedziala sobie, zaciskajac usta. Przeszla kilka krokow sciezka oznaczona strzalka "Kezar Notch". Sosny, zachowujace przyzwoita odleglosc od glownego szlaku, tloczyly sie wokol tej sciezki, siegajac ku niej granatowoczarnymi galeziami, poszycie tez bylo geste, bardzo, bardzo geste. Poszukala wzrokiem blyszczacych lisci, typowych dla trujacego bluszczu, trujacego debu, trujacego... ale nie zauwazyła zadnych zagrozen, Bogu niech beda dzieki chocby i za to. Mama pokazala jej zdjecia tych groznych roslin i nauczyla ja rozpoznawac je dwa lata temu, gdy zycie bylo jeszcze prostsze i latwiejsze. Trisha czesto i chetnie spacerowala wowczas z mama po lasach (jesli chodzi o wycieczke do Plant-A-Torium, Peter skarzyl sie na nia wylaczenie dlatego, ze wybrala ja matka. Bylo to tak oczywiste, ze on sam nie zdawal sobie sprawy z przemawiajacego przez niego samolubstwa, ktore zepsulo im wszystkim caly dzien). Podczas jednej z wycieczek mama nauczyla ja takze tego, jak dziewczynki powinny siusiac w lesie. Nauka zaczela sie od calkiem prostego stwierdzenia: "Najwazniejsze i byc moze jedynie wazne jest, by nie wejsc przy tym w trujacy bluszcz, a teraz patrz, co robie, i nasladuj mnie".

Trisha rozejrzala sie dookola, nie zauwazyła nikogo, niemniej jednak postanowila zejsc ze sciezki. Sciezka do Kezar Notch nie wygladala na uczeszczana; zwlaszcza w porownaniu z szeroka aleja glownego szlaku wydawala sie zaledwie zaulkciem, ona jednak mimo wszystko nie zamierzala przeciez kucac na samym jej srodku. Wydawalo sie to niewlasciwe. Zeszla wiec w kierunku rozgalezienia na North Conway, nadal slyszac rozgniewane glosy matki i brata. Pozniej, nie majac najmniejszych watpliwosci, ze zabladzila, probujac jakos oswoic sie z mysla, ze byc moze przyjdzie jej zginac w lesie, przypomniala sobie ostatnie uslyszane wyraznie slowa ich klotni, wypowiedziane przez Petera piskliwym, napietym glosem malego dziecka: "Nie wiem, dlaczego mamy placic za wasze bledy".

Przeszla kilkanascie krokow w kierunku, z ktorego dobiegly ja jego slowa, omijajac ostrocznie krzaki jezyn, choc na wycieczke wlozyla dzinsy, a nie szorty. Przystanela, obejrzala sie za siebie. Nadal widziala sciezke, a to znaczylo, ze kazdy idacy tedy bedzie w stanie dostrzec ja, siusiajaca w kucki, z na pol wypelnionym plecakiem na ramionach i czapeczce Czerwonych Skarpet na glowie. Zawstydzajace, a raczej, jak powiedzialaby Pepsi "za-dupa-jace" (Quilla Anderson wspomniala kiedyś, ze zdjecie Penelopy Robichaud powinno znajdowac sie w slowniku przy hasle: "wulgarnosc").

Trisha zeszla po lagodnie opadajacym zboczcu, slizgajac sie na pokrywie wilgotnych

zeszlorocznych liści. Kiedy, już na dole, znowu obejrzała się za siebie, stwierdziła, że ścieżki do Kezar Notch nie widzi - i bardzo dobrze, z przeciwnej strony, przed sobą, słyszała głosy mężczyzny i dziewczynki, bez wątplenia idących głównym szlakiem, znajdującym się najwyraźniej niedaleko. Rozpinając dzinsy, pomyślała, że jeśli matce i bratu przyjdzie do głowy obejrzać się nagle, to kiedy zauważą, że zamiast siostry i córki idzie za nimi nieznamy tata z córeczką, pewnie się zdenerwują.

I bardzo dobrze. Niech się denerwują. Niech raz pomyśla o kims innym, a nie tylko o sobie.

Cała sztuka, powiedziała jej mama w dawnych dobrych czasach, w podobnym lesie, dwa lata temu, nie polega na siusianiu na dworze. Dziewczeta potrafią to robić równie dobrze, jak chłopcy. Sztuka polega na nienasiusianiu w majtki. Trisha kucnęła, przytrzymując się wygodnej poziomej galezi. Wolna ręka sięgnęła między kolana, usuwając spodnie i majteczki z "linii ognia". Przez chwilę nie działo się nic, jak zwykle. Westchnęła meczensko; kolo jej ucha zabzyczał moskit, a nie miała już wolnej ręki, żeby się przed nim opędzić.

-o mój Boże, garnki do gotowania bez wody! - syknęła gniewnie i wydało jej się to śmieszne, takie strasznie śmieszne, takie potwornie głupie i okropnie zabawne, że rozesmiała się i natychmiast zaczęła siusić. Skonczyła, rozejrzała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby się wytrzeć, lecz znowu przypomniła sobie, co mawiał tata, i zdecydowała, że nie będzie "nadużywać szczęścia". Potrząsnęła pupcią (jakby mogło jej to w czymś pomóc) i podciągnęła majtki. Usłyszała bzyczenie moskita, uderzyła się w policzek i z zadowoleniem powitała widok krwawej plamki na dłoni. - a myślałaś, że wystrzeliłam cały magazynek, przyjacielu, co? - powiedziała.

Odwrocila się w kierunku, z którego przyszła, a potem odwróciła się znowu. Wpadła na najgorszy pomysł w swoim młodym życiu, a mianowicie, by iść przed siebie, a nie wracać na szlak do Kezar Notch. Oba szlaki rozeszły się, tworząc literę Y, wystarczyło przejść kawałek, by od jednego jej ramienia dotrzeć do drugiego. Zabłądzić na tak małym kawałku drogi, to przecież niemożliwe. Skoro tak wyraźnie słyszała głosy innych, nie istniało nawet najmniejsze niebezpieczeństwo zabłądzenia.

Druga rozgrywka

Zachodnie zbocze wawozu było znacznie bardziej strome od tego, którym zeszła. Wspięła się na nie, przytrzymując się galezi drzew, pokonała wzniesienie i ruszyła w kierunku, skąd słyszała głosy, w tym miejscu ziemia porośnięta była gęsto krzakami, których kępy Trisha musiała obchodzić, przez cały czas patrzyła jednak przed siebie, w stronę głównego szlaku. Szła w ten sposób przez jakieś dziesięć minut, a potem zatrzymała się, w tym czułym miejscu między sercem i żołądkiem, gdzie najwyraźniej zbiegały się wszystkie nerwy ciała, poczuła pierwsze niewyraźne jeszcze ukłucie niepokoju. Czy powinna już wyjść na odgałęzienie szlaku, prowadzące do North Conway? Najwyraźniej tak, przecież odgałęzieniem do Kezar Notch przeszła jakieś pięćdziesiąt kroków, zresztą niech będzie

szescdziesiat albo i siedemdziesiat, ale z pewnoscia nie wiecej. Odleglosc miedzy dwoma ramionami Y nie moze byc przeciez az tak duza! Nasluchiwała, oczekujac, ze uslyszy glosy z glownego szlaku, ale w lesie panowala absolutna cisza. To znaczy nie, cisza nie byla wcale absolutna. Trisha Slyszała szum wiatru w wielkich, typowych dla Dzikiego Zachodu sosnach, slyszała wrzaski srok i gdzies, w oddali, postukiwania dzieciola wyjadajacego ze smakiem pozne sniadanie ze sprochnialego pnia drzewa; wokol obu jej uszu - dla odmiany - bzyczaly posilki armii moskitow, ale tej pelnej dzwiekow ciszy nie przerywal zaden ludzki glos. Miala wrazenie, ze jest jedynym czlowiekiem w lesie, i choc zakrawalo to na absurd, nerwy miedzy sercem i zoladkiem zagraly raz jeszcze. Tym razem nieco glosniej.

Ruszyla przed siebie, troche szybciej, marzac tylko o tym, by wyjsc wreszcie na szlak, nie myslac o niczym innym. Droge zagrodzilo jej zwalone drzewo, za wysokie, by przez nie przelezc, Trisha postanowila sie wiec pod nim przeczolgac. Wprawdzie zdawala sobie sprawe, ze powinna je obejsc, ale co by to bylo, gdyby stracila poczucie kierunku? "Juz stracilas poczucie kierunku" - szepnal jakis glos w jej glowie, przerazajaco chlodny.

-Stul pysk, nie stracilam poczucia kierunku, stul pysk -szepnela, klekajac.

Pod fragmentem obrosnietego mchem pnia widac bylo plytkie wglebienie, postanowila wiec zaczac od niego. Opadle poprzedniej jesieni liscie byly mokre, nim to sobie jednak uswiadomila, przod podkoszulka miala zupełnie przemoczony, zdecydowala zatem, ze wilgoc nie ma najmniejszego znaczenia. Podczolgala sie dalej i uderzyla plecami w pien. Lup.

-Niech to lichy wezmie! - szepnela. "Niech to lichy wezmie" bylo ostatnio ulubionym przeklenstwem jej i Pepsi, nie wiedzialy dlaczego, lecz brzmialo to jakby troche z wiejska i troche z angielska. Cofnela sie. Zamiast pelzac, stanela na czworakach, otrzepala wilgotne, nadgnile liscie z podkoszulka i dopiero teraz zauwazyla, ze rece jej sie trzesa. - Nie boje sie - powiedziala specjalnie glosno, wlasny szept bowiem troche ja jakby przerazal. - Wcale sie nie boje. Szlak jest na wyciagniecie reki. Trafie tam za piec minut i bede musiala biec, zeby ich dogonic.

Zdjela plecak i popychajac go przed soba, probowala przepelznac pod pnem na druga strone.

Byla mniej wiecej w polowie drogi, kiedy cos sie pod nia poruszilo. Opuscila glowe. Wsrod lisci przemykal sie gruby, czarny waz. Przez chwile nie byla zdolna myslec, czula wylacznie obrzydzenie i strach. Zamarla, niezdolna wykrztusic slowa. Nie byla w stanie ani wypowiedziec, ani wyszeptac slowa "waz", nie byla w stanie nawet uswiadomic sobie, co sie za tym slowem kryje, czula to jednak, zimne i pulsujace pod jej ciepla dlonia. Drgnela i sprobowala poderwac sie na rowne nogi, zapominajac, ze nadal tkwi pod zwalonym pnem. Ułamek galezi grubosci ramienia ugodzil ja w krzyze. Znow padla na ziemie i wyczolgala sie spod pnia najszybciej, jak tylko to bylo mozliwe. Prawdopodobnie sama przypominala w tym momencie weza.

Obrzydliwy gad znikł, ale strach pozostał. Przycisnęła reka ukrytego wśród zgniłych liści obrzydliwego stwora, przycisnęła go reka. Dzięki Bogu, najwyraźniej nie był jadowity. Tylko co, jeśli tu jest więcej węży? i co, jeśli te następne będą jadowite? Co, jeśli te lasy aż się od nich roją? a roją się z całą pewnością, lasy zawsze aż roją się od tego, czego nie lubisz, od wszystkiego, co napawa cię przerażeniem i czego nienawidzisz instynktownie, wszystkiego, co budzi w tobie jedno uczucie: ślepa, wszechogarniająca panikę. Dlaczego w ogóle zdecydowała się pojechać na tę wycieczkę? i w dodatku pojechać na nią z radością!

Chwyliła ramiączko plecaka i pobiegła przed siebie, czując, jak plecak obija jej się o nogi. Przez ramię rzucała nieufne spojrzenia na leżący pień, na stojące drzewa, na gaszcz galezi wypełniający próżnię pomiędzy nimi; czuła paniczny strach, że zobaczy węza, i jeszcze gorszy, jeszcze bardziej paniczny strach przed zobaczeniem mnóstwa węży, niczym w jakimś horrorze "Inwazja morderczych węży", w roli głównej Patricia McFarland, przerażająca opowieść o dziewczynce, która zablądziła w lesie i...

"Przecież ja nie..." - pomyślała Trisha i w tym momencie, ponieważ oglądała się przez ramię, potknęła się o kamień sterczący z grzaskiej ziemi, zachwiała, machnęła wolną ręką (w drugiej trzymała plecak) w skazanym z góry na niepowodzenie wysiłku utrzymania równowagi i ciężko przewróciła się na bok. Poczula straszny ból w krzyżu, gdzie poprzednio ugodziła ją gałąź.

Leżała na boku wśród liści, wilgotnych, lecz nie tak obrzydliwie zgniłych, jak pod pniem drzewa, oddychając szybko i czując bicie serca między oczami. Nagle, przerażona i wytracona z równowagi, zdała sobie sprawę, że wcale nie jest pewna, czy porusza się we właściwym kierunku. Oglądała się przecież za siebie, więc mogła w którymś momencie skreć. Mogła, ale nie musiała.

"Wróc do powalonego drzewa - pomyślała. - Stan w miejscu, w którym spod niego wyszłaś, spojrz wprost przed siebie i idź w tym kierunku, a trafisz na główny szlak".

Ale czy naprawdę? Jeśli tak, to dlaczego jeszcze do niego nie doszła?

Poczula napływające do oczu łzy. Mrugnęła i wielkim wysiłkiem woli powstrzymała się od płaczu. Gdyby zaczęła płakać, nie mogłaby już wytłumaczyć sama sobie, że się nie boi. Gdyby zaczęła płakać, wszystko mogłoby się zdarzyć.

Bardzo powoli wróciła pod zwalone, zarosnięte mchem drzewo. Strasznie się bała konieczności zrobienia choćby kilku kroków w złym kierunku, równie niechętnie wracała do miejsca, w którym widziała węza (mógł sobie nie być jadowity, niech mu będzie, i tak nienawidziła wszystkich węży), zdawała sobie jednak sprawę, że musi to zrobić. Dostrzegła miejsce, w którym spod liści przeswitywała ziemia, to tam zobaczyła (i - Boże jedyny - także dotknęła) węza; rysa długości małej dziewczynki w lesnym poszyciu już podchodziła woda. Przyglądając się jej, znowu potarła dłoń o wilgotną, zablokowaną bluzkę. To, że bluzka była mokra i zablokowana, było w jakiś dziwny sposób najbardziej niepokojące. Świadczyło o

tym, że nastąpiła zmiana planu... a nowy plan, zakładający pełzanie po wilgotnej ziemi pod zwalonymi drzewami, uświadamiał, że ta zmiana nie jest bynajmniej zmianą na lepsze.

"Po co w ogóle zeszłam ze ścieżki? i dlaczego odeszłam tak daleko, że straciłam ją z oczu? Tylko po to, żeby zrobić siusiu? Przecież nie chciało mi się siusiu aż tak bardzo! Zeszłam ze ścieżki, a to znaczy, że musiałam być szalona, a potem dostałam kolejnego ataku szalenstwa i pomyślałam, że mogę bezpiecznie skrócić sobie drogę przez dziki las (dopiero teraz przyszło jej do głowy to określenie: <<dziki las>>). No coż, dzisiaj rzeczywiście czegoś się nauczyłam. Nauczyłam się, że nie wolno schodzić ze szlaku. Niezależnie od tego, co musisz zrobić, niezależnie od tego, jak bardzo musisz zrobić to, co musisz zrobić, niezależnie od tego, czego musisz wysłuchać i jak długo będziesz tego słuchała, nie wolno zejść ze szlaku. Na szlaku koszulka Czerwonych Skarpet była sucha i czysta. Na szlaku nie czuło się ucisku w dolku, a serce biło mocno, równo i powoli. Na szlaku człowiek czuje się bezpieczny, a tylko to się liczy".

Na szlaku człowiek czuje się bezpieczny.

Trisha sięgnęła ręką za plecy i wymacała wielką dziurę w podkoszulku na wysokości krzyża, a więc ulamek gałęzi przewróconego drzewa rozerwał go tak łatwo, a ona miała nadzieję, że nic takiego się nie stało. Na czubkach palców dostrzegła ślady krwi. Chlipnęła i otarła dłoń o dzinsy.

-Pociesz się, że przynajmniej nie był to zardzewiały gwoździ - powiedziała głośno. - Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. - Matka często to powtarzała, lecz Trishy te słowa wcale nie dodały odwagi. Na razie wszystko było złe. Gorzej niż kiedykolwiek.

Przyjrzała się dokładnie ziemi pod drzewem, przesunęła nawet butem po liściach, po wezu nie pozostał jednak żaden ślad. Tak, najprawdopodobniej nie był to wąż jadowity, ale obrzydliwy, owszem. Weże są strasznie obrzydliwe. Obie i śliskie, z tymi swoimi ruchliwymi, drgającymi językami. Nie chciała o nim myśleć nawet teraz, nie chciała pamiętać, jak pulsował jej pod ręką, niczym zimny miasen.

"Dlaczego nie włożyłam butów?" Trisha przyjrzała się swoim niskim reebokom. "Dlaczego musiałam włożyć te cholerne łapcie?" Odpowiedź na to pytanie narzucała się sama - włożyła je, bo doskonale nadawały się do spaceru po ścieżce, a plan zakładał pozostawanie na ścieżce przez cały czas.

Zamknęła na chwilę oczy.

-Nie stało się nic wielkiego - znowu powiedziała na głos. - Wystarczy, żebym nie straciła głowy, nie popadła w panikę. Za chwilę, no, może za kilka chwil, usłysze ludzkie głosy.

Tym razem własny głos trochę ją pocieszył i poczuła się odrobinę lepiej. Odwróciła się, ustawiła nogi po obu stronach bruzdy w ziemi, która wyryła własnym ciałem, i przygłębła pośladkami do porośniętego mchem pnia, o tak. Patrząc wprost przed siebie. Tam jest

główny szlak. Musi być.

Może tak, może nie? Czy nie lepiej byłoby zaczekać tutaj? Zaczekać na głosy. Upewnić się, która strona jest właściwa.

A jednak Trisha nie była w stanie czekać. Bardzo chciała powrócić już na ścieżkę, zapomnieć o tych przerażających dziesięciu (a może minęło nawet piętnastu) minutach, im wcześniej, tym lepiej. Zrzuciła więc plecak na ramiona, zalując, że nie ma przy niej rozgniewanego, narzekającego, ale w gruncie całkiem sympatycznego starszego brata, który poprawiłby paski, i ruszyła przed siebie. Małe muszki zdołały ją już osaczyć i wokół jej głowy latało ich tyle, że miała wrażenie, iż przed oczami tanczą jej czarne plamki. Odpędzała owady, machając rękami, ale ich nie zabijała. Kiedyś, dawno temu, być może wtedy, kiedy nauczyła ją siusiak w lesie, mama powiedziała jej, że moskity należy zabijać, ale małe muszki się odgania. Quilla Andersen (wówczas będąca jeszcze Quilla McFarland) wyjaśniła, że zabijanie nawet przyciąga małe muszki, no i oczywiście ludzie, którzy bez przerwy klepia się po całym ciele, gorzej znoszą całą tę sytuację. "Jeśli chodzi o owady w lesie - uczyła mama - najlepiej jest myśleć jak kon. Wyobrazić sobie, że ma się ogon i że można je nim odpędzić".

Stojąc przy zwałonym drzewie i oganiając się od muszek, ale ich nie zabijając, Trisha wypatrzyła wysoka sosnę, rosnącą jakieś czterdzieści metrów dalej... czterdzieści metrów dalej na północ, jeśli w ogóle zachowała jakieś pojęcie o stronach świata. Podeszła do drzewa, stanęła przy nim, oparła dłonie na lepkiej od żywicy korze i obejrzała się za siebie. Czy szła w prostej linii? Miała nadzieję, że tak.

Nabrawszy odwagi, rozejrzała się dookoła i dostrzegła gesto rosnące krzaczki, pokryte czerwonymi kulkami. Podczas którejś z poprzednich wycieczek matka pokazała jej im obojgu, a kiedy Trisha zwróciła jej uwagę, że to wilcze jagody, śmiertelna trucizna, tak twierdził Pepsi, rozesmiała się i powiedziała: "Słynna Pepsi jednak nie wie wszystkiego. Co za ulga. To golteria, Trish. Wcale nie jest trująca. Smakuje jak guma do żucia Teaberry, ta sprzedawana w czerwonym opakowaniu". Zjadła kilka golterii i - ponieważ nie padła na ziemię, nie zaczęła się dusić i nie dostała drgawek - Trisha także ich spróbowała. Jej w smaku przypominały raczej zelki, te zielone, lekko szczypiące w język. Teraz podeszła do krzaczków, pomyślała, że mogłaby przecież zjeść parę golterii, po prostu żeby się pocieszyć, ale zrezygnowała. Nie czuła głodu, a żeby ją pocieszyć, trzeba byłoby czegoś naprawdę wyjątkowego, nie jakichś tam jagód. Odetchnęła ostrym zapachem dużych, pokrytych woskiem liści, zdaniem matki, także jadalnych (jej nawet do głowy nie przyszło ich próbować, w końcu nie była przecież świstakiem), a potem znowu spojrzała na sosnę. Oceniała, że nadal idzie w linii prostej, i wybrała sobie trzeci punkt orientacyjny: skalke przypominająca kapelusz ze starego, czarno-białego filmu. Po niej przyszła kolej na kilka brzoź, a później na rosnącą w polowie zbocza wspaniała kepe paproci.

Trisha tak bardzo koncentrowała się na kolejnych punktach orientacyjnych (koniec z oglądaniem się przez ramię, skarbie), że dopiero kiedy stanęła przy paprociach,

uswiadomila sobie, iz - kiepski zart - bedac w lesie, nie widzi drzew. Poruszanie sie od punktu do punktu to oczywiscie bardzo fajna rzecz i istotnie, ona idzie chyba niemal dokladnie w linii prostej, lecz co z tego, jesli w zlym kierunku? Wystarczy przeciez, by byl tylko odrobine zly, i nieszczescie gotowe, a ona bez watpienia idzie w zlym kierunku. Gdyby nie zбочyla, z cala pewnoscia wyszlaby juz na szlak. Przeciez przeszla. ...

-Rany - powiedziala glosno, a w jej glosie brzmiala nutka, ktora wcale jej sie nie spodobala. - Musialam przejsc z poltora kilometra, a moze nawet dwa?

Wokol jej glowy bzyczaly owady. Muchy trzymaly sie raczej przed oczami, moskity brzezaly niczym miniaturowe helikoptery kolo uszu, doprowadzajac ja tym brzezaniem do szalenstwa. Zamachnela sie na jednego i chybila, ale walnela sie w ucho i teraz brzezalo jej takze w glowie. Mimo to musiala sila powstrzymywac sie przed kolejna proba. Gdyby zaczela, skonczylaby prawdopodobnie, sama walac sie po glowie, niczym bohater starego filmu animowanego.

Upuscila plecak, ukucnela, odpiela klape i zajrzala do srodka. Znalazla niebieski plastikowy plaszcz przeciwdeszczowy, papierowa torbe z drugim sniadaniem, ktore przygotowala sama, gameboya, krem przeciwsloneczny (nie bardzo przydatny, chmury prawie calkiem przeslonily juz slonce i z nieba znikaly wlasnie ostatnie plamy blekitu), butelke wody, butelke Surge, balonik Twinkie i torebke chipsow. Czego nie znalazla, to plynu przeciw komarom. Oczywiscie, rzecz byla do przewidzenia. Trisha wysmarowala sie jednak plynem do opalania z nadzieja, ze powstrzyma to przynajmniej muszki, i zaczela pakowac plecak od nowa. Przerwala na chwile, przygladajac sie balonikowi, ale tez go w koncu odlozyla, w zasadzie bardzo te baloniki lubila, spodziewala sie nawet, ze kiedy dojdzie do wieku Pele'a, bedzie jednym wielkim pryszczem na nogach, ale na razie nadal nie czula ani sladu glodu.

"A poza tym mozesz nie dozyc wieku Petera - podszeptal jej niepokojaacy, wewnetrzny glos. Jak to mozliwe, ze gdzies w czlowieku drzemie laki zimny, laki beznamietny, jego wlasny wewnetrzny glos? Taki zdrajca, niewierzacy w sprawe. - Moze byc i tak, ze nigdy nie wyjdiesz z tego lasu".

-Zamknij sie, zamknij, zamknij!... - syknela, zapinajac klape plecaka drzacymi palcami. Juz miala wstac, lecz zamarla nagle, klezczac na jednym kolanie w wilgotnej ziemi, z podniesiona glowa, weszac niczym lania, ktora po raz pierwszy oddalila sie od matki. Tylko ze Trisha nie weszyla, lecz nasluchiwala, cala swa uwage skupiajac wylacznie na zmysle sluchu.

Slyszala trzask galezi poruszajacych sie na najlzejszym wietrze. Slyszala bzyczenie tych okropnych, wstretnych moskitow. Slyszala postukiwanie dzieciola. Gdzies, z daleka, dobiegalo ja krakanie kruka. Jeszcze dalej, prawie na granicy slyszalnosci, warczal silnik samolotu. Nie slyszala natomiast ludzkich glosow, dobiegajacych ze szlaku. Pod tym wzgledem w lesie panowala absolutna cisza. Zupelnie jakby szlak prowadzacy do North Conway zostal wymazany z rzeczywistosci.

Dźwięk silnika samolotowego umilkł i dziewczynka musiała pogodzić się z rzeczywistością. Wstała. Nogi miała ciężkie i ciało też wydawało się ważyć zbyt wiele, za to głowa sprawiała wrażenie wypełnionego lekkim gazem balonu, przyczepionego do olowianych odważników. Trisha poczuła nagle, że się dusi, tonie w oceanie samotności, dławi się jaskrawym, wszechogarniającym poczuciem odlaczenia od reszty ludzi, w jakiś sposób udało jej się przerwać wieży, zablądzić poza linie boiska w świat, w którym nie obowiązywały już znane jej doskonale reguły gry.

-Hej! - krzyknęła. - Hej, ludzie, czy mnie słyszycie? Słyszycie mnie? Hej! - Umilkła, modłać się o jakas, jakakolwiek odpowiedź, nie usłyszała jednak żadnej odpowiedzi, wykrzyzczała więc z siebie to, co najgorsze. - Ratunku! Pomocy! Pomozcie mi! Zablądziłam! Zablądziłam w tym lesie!

Rozplakana się, niezdolna dłużej wstrzymać łez. Nie potrafiła już się oszukiwać, wmawiać sobie, że w pełni kontroluje sytuację. Głos jej drżał, najpierw był głosem przerazonego małego dziecka, potem wręcz głosem niemowlęcia zapomnianego w kolysce i - a to przeraziło ją znacznie bardziej niż cokolwiek, co stało się dzisiejszego ranka - jedynym ludzkim głosem, jaki rozlegał się w okolicy, zapłakanym i cienkim, wołającym o pomoc, zablądziła bowiem w lesie.

Trzecia rozgrywka

Krzyzczała tak przez dobre piętnaście minut, czasami przykładając dłonie do ust i zwracając się w kierunku, w którym, jak się jej wydawało, powinien się znajdować główny szlak, ale głównie po prostu krzyzczała przed siebie. Krzyknęła wreszcie po raz ostatni, i był to krzyk bez słów, ostateczny wyraz strachu i rozpacz, tak głośny, że zabolęło ją gardło, a potem padła na ziemię obok plecaka, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Plakała tak może pięć minut (nie potrafiła powiedzieć dokładnie, jak długo to trwało, jej zegarek został w domu, leżał sobie teraz na stoliku przy łóżku, kolejne chytre posunięcie Wielkiej Trishy), a kiedy przestała płakać, poczuła się odrobinę lepiej... pod każdym względem, z wyjątkiem owadów. Owady były wszędzie, pełzały, brzęczały i bzyczały, próbowały wysysać jej krew i spić pot. Doprowadzały ją po prostu do szaleństwa. Poderwała się na równe nogi, wymachując w powietrzu czapeczką Czerwonych Skarpet, cały czas przypominając sobie, że nie wolno jej próbować zabić dreczycieli, lecz jednocześnie wiedząc, że będzie próbowała i zaczęnie próbować już wkrótce. Po prostu nie zdoła się powstrzymać. Nie była pewna, czy powinna czekać, czy też raczej iść. Nie miała pojęcia, co będzie dla niej lepsze, bała się tak, że nie potrafiła myśleć racjonalnie. Zamiast rozsądku przemówiły nogi - ruszyła przed siebie, rzucając dookoła przerażone spojrzenia, ocierając przedramieniem podpuchnięte oczy. Podnosiła rękę raz po raz, kiedy tylko dostrzegła na niej kilka moskitów. Teraz uderzyła na ślepo, zabijając trzy, z których dwa zdążyły się już nazrec. Widok własnej krwi nie wyprowadzał jej na ogół z równowagi, tym razem jednak nogi się pod nią ugięły, usiadła ciężko na pokrytej igłami ziemi pod kilkoma starymi sosnami i znowu się rozplakana. Bolała ją głowa, dokuczał żołądek. "Kilka chwil temu siedziałam w samochodzie - myślała, niezdolna uwolnić się od tej myśli. - Siedziałam w samochodzie, na tylnym siedzeniu, a na

przednim klocili sie mama i Peter". Nagle przypomniał się jej gniewny głos brata, mowiacego: "Nie rozumiem, dlaczego mamy płacić za wasze pomyłki". Pomyślała, że sa to być może ostatecznie słowa Petera, jakie usłyszała, i zadrzała, jakby dostrzegła wypelzajacego ku niej z cieni straszego potwora.

Tym razem lzy obeschly wcześniej niż poprzednio, nie płakała też aż tak histerycznie. Kiedy znów wstała (wymachując wokół głowy czapeczka i niemal nie zdając sobie z tego sprawy), była prawie spokojna. Nie wątpiła, iż mama wie już, że jej córka zablądziła. Najpierw pomyśli, że miała dość awantury i wróciła do samochodu. Oboje zawroca więc na parking, po drodze pytając ludzi, czy nie widzieli dziewczynki w czapeczce Czerwonych Skarpet (niemal słyszała głos mamy: "Ma dziewięć lat, ale jest wysoka jak na swój wiek i wygląda dorosłej"). Dojda do samochodu i zobacza, że jej w nim nie ma, więc poważniej się zaniepokoją. Mama będzie wręcz przerażona. Na myśl o tym Trisha poczuła się winna, a także więcej niż odrobine przestraszona. Narobiła zamieszania, prawdopodobnie wielkiego zamieszania, będa jej szukali nie tylko ratownicy, lecz pewnie także Służba Lesna, a wszystko przez to, że jak głupia zeszła z wyznaczonego szlaku.

Ten nowy strach nałożył się na wszystkie poprzednie obawy i Trisha przyspieszyła kroku z nadzieją, że trafi na główny szlak, nim wszystkie te okropne rzeczy w ogóle się wydarzą, nim osobście stanie się przyczyna tego, co matka zwykła nazywać "publicznym praniem brudów". Parła przed siebie, zapominając o planie zakładającym poruszanie się między dwoma wybranymi punktami, dokładnie w linii prostej, nieswiadomie skrecając coraz dalej na zachód, oddalając się od Szlaku Appalachów wraz z jego mniej ważnymi trasami wycieczkowymi i ścieżkami, skrecając w kierunku, w którym były wyłącznie dzikie lasy z wysokim poszyciem, strome kamieniste wzgórza i w ogóle teren trudny do przebycia. Krzyczała i słuchała, słuchała i krzyczała. Zdumiałaby się śmiertelnie, gdyby wiedziała, że jej matka i brat nadal się kłocą i wciąż jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego, że ich córka i siostra zaginęła.

Trisha parła przed siebie, opędzając się od rojów muszek, nie omijając już skupisk pomniejszych krzaczków, lecz po prostu przedzierając się przez nie. Słuchała i wołała, wołała i słuchała, tylko że tak naprawdę wcale nie słuchała, już nie. Nie czuła moskitów, siedzących jej rzędem na karku tuż poniżej linii włosów niczym pijacy w dopiero co otwartym barze, wychylający szklaneczkę za szklaneczką, nie czuła muszek wijących się rozpaczliwie, przylepionych do jej policzków w miejscach, gdzie lzy nie całkiem jeszcze wyschły.

Wpadła w panikę nie nagle -jak wówczas, gdy dotknęła weza - lecz powoli, przedziwnie stopniowo. Czerpała z zasobów świata, a jednocześnie niemal całkowicie się od niego odciela. Szła coraz szybciej, nie patrząc, dokąd idzie, wołała o pomoc, nie słuchając własnego głosu, wydawało jej się, że nasłuchuje odpowiedzi, choć prawdopodobnie nie usłyszałaby nic nawet zza najbliższego drzewa. Zaczęła biec, w ogóle nie zdając sobie sprawy z tego, że biegnie. "Muszę zachować spokój - powtarzała sobie - choć nie biegła już, lecz wręcz pedziła. - Przed chwilą załedwie siedziałam w samochodzie -myślała, biec coraz szybciej. - <<Nie wiem, dlaczego mamy płacić za wasze błędy>>" -

przypomniala sobie, w ostatniej chwili unikajac galezi wymierzonej, jak mogloby sie zdawac, wprost w jej oko. Galaz drasnela Trishe w policzek, na którym pojawila sie cienka smuzka krwi.

Biegla, halasliwie przedzierajac sie przez krzaki, nie slyszac trzasku lamanych galazek, nieswiadoma, ze kolce rozdzieraja jej dzinsy i skore na nagich ramionach, czujac na twarzy chlodny, przedziwnie podniecajacy podmuch powietrza. Wbiegla na zbocze, pedzila teraz przed siebie najszybciej, jak potrafila, z przekrzywiona czapeczka na glowie i powiewajacymi wlosami (po gumce, ktora sciagala je w konski ogon, nie pozostalo nawet wspomnienie), przeskakiwala mniejsze drzewka, powalone przez burze przed wielu laty, dotarla na szczyt... i nagle pojawila sie przed nia szaroniebieska dolina, ktorej przeciwnie, oddalone o kilka kilometrow zbocze wyznaczala naga granitowa sciana, przed soba zas miala tylko swieze powietrze wiosennego dnia; w ostatnich chwilach zycia spadalaby przez nie, wirujac i na darmo wzywajac pomocy mamusi.

Trisha nie myslala, bala sie tak bardzo, ze nie byla w stanie myslec, lecz jej cialo samo z siebie rozpoznalo, ze nie zdazy zatrzymac sie przed urwiskiem. Mogla tylko miec nadzieje, ze zdola skrecic, nim bedzie za pozno. Skoczyla w lewo, prawa stopa poslizgnela sie i dziewczynka zawisla nad przepascia. Slyszala, jak od skalnej sciany odrywaja sie kamyki i spadaja w dol.

Biegla wzdluz krawedzi urwiska, po cienkiej linii, odgradzajacej zasypane iglami poszycie lasu od nagiej skaly. Biegla, w jakis niejasny, lecz dobitny sposob zdajac sobie sprawe z nieszczescia, ktore omal jej nie spotkalo. Jednoczesnie gdzieś z glebin pamieci wyplynela scena z filmu science fiction, w którym bohater oszukal atakujace go dinozaury, tak ze we wscieklej szarzy spadly w przepasc.

Przed nia pojawil sie dab. Dobre szesc metrow jego pnia wisialo nad przepascia niczym bukszpryt statku. Dziewczynka chwycila drzewo w objecia i przytulila sie do niego, przylgnela podrapanym, zakrwawionym policzkiem do gladkiej kory, oddychajac z wysilkiem - kazdy oddech odzywal sie w jej plucach gwizdem, a przez usta wychodzil jako szloch. Stala tak przez bardzo dluga chwile, drzaca i przerazona, nie smiac oderwac sie od drzewa, w koncu otworzyla oczy. Patrzyla w prawo i dostrzegla to, czego nie chciala dostrzec, nim udalo sie jej odwrocic.

W tym miejscu zbocze doliny mialo niewiele wiecej niz pietnascie metrow wysokosci. Dno uslane bylo polodowcowymi, ostrymi glazami, spomiedzy ktorych wyrastaly gdzieniegdzie jaskrawozielone krzaczki. Nie brakowalo tam tez nadgnilych drzew i galezi, pozostalosci po jakiejś dawnej burzy. Nagle z przerazliwa jasnoscia wyobrazila sobie, co mogloby sie zdarzyc; oczami wyobrazni widziala sama siebie spadajaca na dno, krzyczaca i wymachujaca ramionami, widziala martwa ostra galaz, przebijajaca jej cialo pod dolna szczeka, przechodzaca miedzy zebami, przyszpilajaca jezyk do podniebienia niczym czerwona karteczka, a w koncu docierajaca do mozgu i zabijajaca ja.

-Nie! - krzyknęła, czując jednocześnie wstret i przerażenie, bo przecież tak mogło być, tak omal nie było! Zachłysnęła się własnym oddechem. - Ale nic się nie stało - powiedziała cicho, szybko. Zadrapania po kolecach na ramionach i skaleczenia na policzku pulsowały bólem i szczypany od potu, z czego dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę. - Nic mi się nie stało, wszystko w porządku. Nic ci się nie stało, mała. - Puscila piętę, zachwiała się i znowu schwyciła go kurczowo w nagłym ataku paniki. Nie myślała jeszcze całkiem racjonalnie i po trochu spodziewała się, że ziemia w każdej chwili może się przechylić i rzucić ją w przepaść. Nic mi nie jest - powtórzyła tym samym szybkim, zdyszczonym głosem. - Nic mi nie jest, nic mi nie jest. - Powtarzała te słowa raz za razem, niczym zaklecie, upłynęło jednak kilka minut, nim była w stanie zmusić się do puszczenia pnia przewróconego debiu po raz drugi, a gdy wreszcie jej się to udało, natychmiast odstała od urwiska. Włożyła czapkę na głowę, obracając ją daszkiem do tyłu, z czego zresztą nie zdawała sobie sprawy, i spojrzała przez całą szerokość doliny. Zobaczyła niebo, ciężkie od deszczowych chmur, zobaczyła drzewa, na oko ze szesc bilionów drzew, nie dostrzegła natomiast ani śladu obecności człowieka, choćby tylko dymu z ogniska.

-Wszystko w porządku, ze mną wszystko w porządku - powiedziała głośno, odsuwając się od rozpadliny. Krzyknęła, gdy coś - waz, waz - otarło się o jej nogę, ale były to oczywiście tylko krzaki. Krzaki golterii, las był ich pełen, takich słodkich, takich obrzydliwych, i owady znowu ją znalazły, otoczyły chmurą, setki czarnych plamek tańczyły jej przed oczami, tylko że teraz wydawały się czarniejsze niż przedtem, a także otwierały się niczym kwiaty czarnych roz. Trisha zdążyła jeszcze pomyśleć: "Mdleje, właśnie mdleje" - i przewróciła się na wznak, wywracając oczy, tak że widac było tylko białka. Muszki krążyły nad jej bladą twarzą, a po chwili dwa najodważniejsze moskity usiadły na jej powiekach i rozpoczęły ucztę.

Początek czwartej

Odzyskując przytomność, Trisha pomyślała najpierw: "Mama przesuwa meble". Potem, że tata zabrał ją do hali Good Skaters w Lynn i że to dzieciaki szaleją na rolkach na starym drewnianym, pochylonym torze. Nagle coś zimnego rozprysło jej się na nosie, więc otworzyła oczy. Kolejna kropla wody trafiła ją wprost w czoło. Na niebie zabłysło jaskrawe białe światło, skrzywiła się i zmrużyła oczy. Huk grzmotu spowodował, że z chrapliwym jękiem obroczyła się na bok i instynktownie zwinęła w pozycji płodu, i wówczas niebiosy się rozwarły. Trisha usiadła i mechanicznie włożyła na głowę leżącą obok niej na ziemi czapkę. Oddychała ciężko, niczym ktoś, kogo wrzucono do bardzo zimnej wody (a czuła się dokładnie jak ten ktoś). Skoczyła na równe nogi, zachwiała się, lecz nie upadła. Rozległ się kolejny grzmot, na niebie pojawiła się białoniebieska błizna błyskawicy. Stojąc tak z wodą sciekającą z nosa, z mokrymi włosami przylepionymi do policzków, Trisha dostrzegła wysoki, na pol uschnięty świerk w dolinie, wybuchający nagle i rozpadający się na dwie płonące części.

A potem spadł deszcz tak gęsty, iż dolina na jej oczach zmieniła się we własny szkic, okryty szarą gazą.

Trisha wycofała się w głąb lasu. Przyklekła i wyciągnęła z plecaka niebieski płaszcz przeciwdeszczowy. Włożyła go (tata powiedziałby w tym momencie: "Lepiej późno niż wcale"), po czym usiadła przy powalonym drzewie, w głowie nadal jej się kreciło, powieki miała spuchnięte i swędzące. Okrywające ją galezie powstrzymywały deszcz, zbyt gwałtowny jednak, by zdołały powstrzymać go skutecznie. Narzuciła na głowę kaptur i słuchała dźwięku spadających na kropel, bardzo podobnego do odgłosu deszczu uderzającego w dach samochodu. Dostrzegła wszechobecne chmury muszek, pomachała przed oczami dłoń, ale w tym gęście brakowało siły. "Nic ich nie odpędzi, zawsze są głodne, klują mnie w powieki, kiedy leżałam nieprzytomna, i nie pogardza nawet moim martwym ciałem" - pomyślała i znowu się rozplakała, cicho, rozpaczliwie. Nie przestała jednak odpędzać się od much, kurczyła się też za każdym grzmiotem. Bez zegarka, nie widząc słońca, nie miała pojęcia, jak szybko mija czas. Wiedziała tylko tyle, że siedziała nieruchomo, skulona, mała postać w niebieskim płaszczyku, przytulona do zwałonego drzewa, poki huk grzmotów nie zaczął cichnąć na wschodzie niczym pokonany, lecz nadal agresywny był. Deszcz ciągle padał. Komary bzycały wokół niej, jeden nawet zablakal się pomiędzy jej głowę i kaptur. Przycisnęła kaptur kciukiem do głowy i jęki bzyczenia nagle umilkło.

-a masz - powiedziała ponuro. - Złatwilam cie, przerobilam na marmolade.

Kiedy próbowała wstać, poczuła burczenie w żołądku. Przedtem nie była głodna, ale to zdążyło się już zmienić. Okropna była sama myśl o tym, że błazniła wystarczająco długo, by zgłodnieć. Zastanowiła się przelotnie, ile takich okropnych rzeczy jeszcze ją spotka, i doszła do wniosku, że lepiej nic nie widzieć, niczego nie przewidywać. "Może już żadna? - pomyślała. - Hej, dziewczyno, uśmiechnij się, może wszystkie okropne rzeczy są już za tobą".

Zdjęła płaszcz i nim otworzyła plecak, przyjrzała się sobie dokładnie. Wyglądała załosnie, przemoczona do suchej nitki i od stop do głów pokryta sosnowymi igłami, na które padła zemdlna. "Zemdlałam pierwszy raz w życiu - pomyślała. - Będzie musiała powiedzieć o tym Pepsi, zakładając oczywiście, że kiedyś jeszcze ją zobaczę".

-Tylko nie zaczynaj - upomniwała się głośno i odpięła klapy plecaka. Wyjęła z niego jedzenie i picie, układając je przed sobą w prostej linii. Widok papierowej torby z drugim śniadaniem sprawił, że żołądek zaburczał jej głośnie, bardziej natarczywie. Która właściwie może być godzina? Ukryty gdzieś głęboko umysłowy zegar, sterowany metabolizmem ciała, powiedział jej, że jest prawdopodobnie około trzeciej po południu, że od czasu, kiedy we wniece śniadaniowej kuchni ich domu radośnie zjadła płatki kukurydziane, minęło osiem godzin, a od chwili, gdy zdecydowała się pojsc po trzykroć przeklętym skrotem, piec. Było około trzeciej. Może nawet bliżej czwartej.

Na drugie śniadanie przygotowała sobie jajko na twardo (nadal w skorupce), kanapkę z tunczykiem i kilka lodów selera. Miała także małą torebkę chipsów, całkiem dużą butelkę wody, butelkę Surge, największą, dwudziestojednouncjową, bo bardzo lubiła Surge, oraz

batoniki Twinkie.

Na widok cytrynowo-limonowej oranżady Trisha poczuła nagle, że bardziej chce jej się pić niż jeść, a przede wszystkim jest szalenie wręcz spragniona cukrem. Odkreciła zakretkę, podniosła butelkę do ust i zawała się. Pragnienie pragnieniem, ale nie byłoby najmądrzej wypić poł butelki jednym haustem. Nie jest przecież wykluczone, że zostanie w lesie przynajmniej na jakiś czas. Nie miała ochoty w to uwierzyć, jęknęła, próbowała odsunąć od siebie tę głupią, wręcz szalącą myśl, ale jednocześnie doskonale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Kiedy wyjdzie wreszcie z tych lasów, znowu będzie mogła myśleć jak dziecko, na razie jednak powinna zachowywać się jak dorosła, w każdym razie w miarę możliwości.

"Przecież wiesz, co widziałas - pomyślała. - Wielka dolina, w której nie było nic oprócz drzew. Ani śladu drogi, ani śladu dymu. Więc musisz zachowywać się mądrze. Musisz oszczędzać zapasy. Mama udzieliłaby ci dokładnie takiej rady. Tata też".

Wypiła trzy łyki Surge, odsunęła butelkę od ust, czknęła i wypila jeszcze dwa. Starannie zakreciła korek, po czym przyjrzała się reszcie zapasów.

Zdecydowała się na jajko. Obrala je, bardzo dbając o to, by skorupki odłożyć do plastikowej torebki, w którą jajko było pierwotnie zapakowane (do głowy jej nie przyszło, że śmiecić i w ogóle pozostawiając jakieś ślady swej obecności, może uratować życie), a następnie posypała je solą. Zaszlochala przy tym krótko, wyobraźnia bowiem pokazała jej małą dziewczynkę w bezpiecznej kuchni w domu, sypiacą sol na papierek i skrecającą go zgodnie z naukami matki. Widziała cien głowy i rak tej dziewczynki, rzucający na biały kuchenny blat przez zapaloną lampę, słyszała dobiegający z dużego pokoju dźwięk telewizyjnych wiadomości, słyszała kroki chodzącego po sypialni na piętach Petera. Wspomnienie to było czyste, wyraźne i jasne niczym halucynacja, wydawało się niemal wizją. Zupełnie jak u tonącego, który widzi samego siebie siedzącego w łodzi, spokojnego, rozluźnionego, tak straszliwie, beztrąsko bezpiecznego.

Trisha miała jednak lat dziewięć, prawie dziesięć, i była wysoka jak na swój wiek. Głód okazał się silniejszy niż wspomnienia i strach. Posoliła jajko i zjadła je szybko, nadal szlochając. Smakowało wspaniale. Chętnie zjadłaby drugie, a zapewne nawet i trzecie. Matka nazywała je wprawdzie "bombami cholesterolowymi", ale cholesterol nie wydawał się szczególnie groźny komuś, kto zablądził w lesie, krwawił z zadrapań, a powieki miał tak opuchnięte od ugryzień owadów, że sprawiały wrażenie obłożonych czymś, może ciastem przyklejonym do rzes.

Przyjrzała się balonikom, po czym odwinęła sreberko i zjadła jeden. "Seks...szkolne!" - westchnęła; tego największego ze wszystkich komplementów nauczyła się oczywiście od Pepsy. Napila się wody. Potem, szybko, nie dając szansy dloniom, bo któraś mogła okazać się zdraczką i wepchnąć jej w usta coś jeszcze, spakowała resztę jedzenia do torby, zwinęła ją (torba dała się zwinąć znacznie bardziej niż przedtem), sprawdziła, czy butelka

Surge została dobrze zakrecona, i schowała wszystkie swe dobra do plecaka. Jej palce trafiły na wypukłość jednej z kieszeni i nagle doznała uczucia zachwytu, mającego być może coś wspólnego z wchłoniętymi przed chwilą kaloriami.

Walkman! Zabrała ze sobą walkmana! o tak!

Odpiela wewnętrzna kieszonkę i wyjęła go, trzymając urządzenie delikatniej niż ksiądz eucharystie. Przewod słuchawek owinięty był wokół niego starannie, same słuchawki przypięte do plastikowych uchwytów, w środku znajdowała się ulubiona w tej chwili taśma jej i Pepsi, "Tubthumper" Chumbawamby, ale Trishy nie zależało akurat na muzyce. Nałożyła słuchawki i wsunęła je w uszy, przełączyła funkcje na radio i włączyła walkmana. Najpierw usłyszała wyłącznie szum, radio bowiem nastawione było na WMGX nadające z Portland, nieco niżej na skali znajdowało się jednak WO-XO z Norway, a po drugiej stronie WCAS, niewielka stacja z Castle Rock, miasteczka, które mijali po drodze na tę wycieczkę. Niemal słyszała głos brata, ociekający nowo odkrytą ironią nastolatka, mówiącego: "WCAS! Pipidowa dzisiaj, reszta świata jutro", i rzeczywiście WCAS było stacją prowincjonalną, bez najmniejszych wątpliwości. Nadawało płaczące piosenki kowbojskie, śpiewane przez wykonawców takich jak Mark Chestnut i Trace Adkins, a w przerwach didżejka przyjmowała telefony od ludzi pragnących sprzedać pralki, suszarki, Buicki i Bron Mysłowska, a jednak Trisha miała teraz jakiś kontakt z ludźmi, słyszała w tej dzicy ich głosy, usiadła więc na zwalonym drzewie, zachwycona, machinalnie opędzając się czapczką od owadów. Podano godzinę - była trzecia dziewczęć.

O wpol do czwartej didżejka przerwała "Radiowy sklepik" na chwilę wystarczającą do przeczytania lokalnych wiadomości. Społeczność Castle Rock zdecydowanie wystąpiła przeciw barowi, który na piątkowe i sobotnie wieczory zatrudnił tancerki topless, w miejscowym domu starców wybuchł pożar (na szczęście nikt nie został ranny), tor wyścigów samochodowych w Castle Rock miał zostać otwarty po renowacji na święto Czwartego Lipca z nowiutkimi trybunami, zapowiadany jest pokaz sztucznych ogni. Popołudnie deszczowe, noc pogodna, jutrzejszy ranek słoneczny, temperatura dochodząca do trzydziestu stopni, i to wszystko. Ani słowa o zaginionej dziewczynce. Nie wiedziała, czy ma się tym cieszyć, czy martwić.

Już miała wyłączyć radio, kiedy kobiecy głos podał jeszcze jedną informację: "I nie zapomnijcie, proszę, że bostonskie Czerwone Skarpety walczą dziś z tymi utrapionymi nowojorskimi Jankeśkami. Spotkanie zaczyna się o siódmej i jasne, będziecie mogli wysłuchać transmisji tu, na WCAS, gdzie wszyscy wciągnęliśmy oczywiście czerwone skarpetki, a teraz wracamy do..."

"A teraz wracamy do najbardziej gównianego dnia w życiu małej dziewczynki" - pomyślała Trisha, wyłączając radio i owijając je sznurem słuchawek. Mimo wszystko musiała przyznać, że po raz pierwszy od chwili, gdy poczuła ten charakterystyczny skurcz gdzieś między sercem a żołądkiem, odzyskała coś w rodzaju spokoju i poczucia pewności. Częściowo zapewne dlatego, że zjadła coś nieco, ale zapewne więcej miał z tym wspólnego ludzki głos

z radia, prawdziwy ludzki głos, rozbrzmiewający tuż przy uchu.

Moskity zgromadziły się w stada na jej udach, próbując przegryźć się przez materiał dzinsów. Dzięki Bogu, nie włożyła szortów, z jej nog pozostałyby wyłącznie ogryzione kości.

Ubiła moskity i wstała. Co teraz? Czy wie, co powinien robić ktoś, kto się zgubił w lesie? No cóż, wiedziała, że słońce wschodzi na wschodzie i zachodzi na zachodzie, i niewiele więcej. Ktoś kiedyś powiedział jej, że mech rośnie na drzewach od strony północnej, a może południowej, tak naprawdę nie pamiętała której. Być może najsmardzejsze, co mogła zrobić, to pozostać na miejscu, znaleźć sobie schronienie przed moskitami raczej niż deszczem (kilku z nich znowu udało się przedostać pod kaptur i doprowadzały ją do szaleństwa) i czekać na ekipę ratunkową. Gdyby miała zapalki, mogłaby spróbować rozpalic ognisko, las był mokry po deszczu i ogień z pewnością by się nie rozprzestrzenił, a dym wskazałby drogę ratownikom. Oczywiście "gdyby świnię miały skrzydła, boczek umiałby latać". Madrość ze skarbnicy ojca.

-Zaraz, chwileczkę - powiedziała głośno. - Zaraz, chwileczkę...

Pamiętała coś o wodzie. Może wydostać się z lasu dzięki pomocy wody. Tylko jak?... Przypomniała sobie odpowiedź na to pytanie i znowu poczuła znajome uniesienie, tak silne, że zakreciło jej się w głowie. Zachwiała się, jakby nagle usłyszała puls rytmicznej muzyki... Trzeba znaleźć strumień! Tej mądrości nie zawdzięczała matce, znalazła ją w książeczce z cyklu „Little House”, bardzo dawno temu, miała wówczas może z siedem lat. Trzeba znaleźć strumień, pojsć z jego prądem, a przede wszystkim czy później strumień albo wyprowadzi cię z lasu, albo doprowadzi do większego strumienia. Jeśli doprowadzi do większego strumienia, trzeba iść z jego prądem aż do znalezienia jeszcze większego strumienia, w każdym razie któryś z kolejnych "większych strumieni" z całą pewnością wyprowadzi człowieka z lasu, wszystkie strumienie bowiem płyną do morza, a nad morzem nie ma lasu, tylko plaże, klify i od czasu do czasu latarnie morskie, a jak ma znaleźć strumień? Ależ nie ma nic prostszego, wystarczy iść wzdłuż krawędzi urwiska, w które omal nie wpadła, taka była głupia. Krawędź urwiska poprowadzi ją w jednym określonym kierunku, więc przede wszystkim czy później musi znaleźć ten pierwszy strumyk, w lasach ich nie brakuje, najłatwiej znaleźć strumyk w lesie...

Zarzuciła plecak na ramiona - tym razem także na płaszcz przeciwdeszczowy - po czym ostrożnie podeszła do krawędzi urwiska w miejscu, w którym leżał powalony przez burzę dąb, w tej chwili Trisha myślała o swym panicznym biegu przez las z mieszaniną czułości i wstydu charakterystyczna dla dorosłego, wspominającego wyjątkowo niemile przeżycia dzieciństwa, mimo wszystko jednak nie była w stanie podejść zbyt blisko krawędzi. Gdyby to zrobiła, pewnie dostałaby mdłości. Może by zemdląca... albo na przykład zwymiotowała, a zwymiotować te odrobiny jedzenia, która przed chwilą spożyła, to byłby naprawdę bardzo nierozsądny pomysł...

Skreciła w lewo i ruszyła przez las, mając krawędź doliny w odległości co najmniej pięciu

metrow, po prawej rece. Co pewien czas wrecz zmuszala sie, by podejsc nieco blizej i upewnic sie, ze sie od niej nie oddala, ze i ona, i widoczna za nia bezkresna dolina, nadal pozostaja w zasiegu wzroku. Wciaz nasluchiwała tez ludzkich glosow, ale bez wielkiej nadziei, nie wiadomo, ktoredy przebiegal glowny szlak, mogla nan natrafic wylacznie dzieki lutowi najglupszego w swiecie szczescia. Teraz najwazniejszy byl szmer strumienia - i wreszcie go uslyszala.

"Niewielki pozytek z wodospadu, ktory wali sie w dol z tego przekletego urwiska" - pomyslala i zdecydowala, ze nim uda sie jej dotrzec do strumienia, podejdzie i sprawdzi, jak to urwisko wyglada, w ten sposob przynajmniej uniknie rozczarowania.

Drzewa rosly tu nieco dalej od krawedzi, przestrzen miedzy granica lasu a zboczem doliny porastaly krzaki, ktore za cztery do pieciu tygodni nakarmilyby ja bez watpienia czarnymi jagodami. Na razie jednak przyszle jagody mialy postac zielonych kulek, najzupelniej niejadalnych. Nie brakowalo tu jednak golterii, jak najbardziej jadalnych, co warto bylo chyba zapamietac. Tak na wszelki przypadek.

Ziemia pomiedzy krzaczkami jagod byla jalowa, skalista, odzywala sie pod nogami Trishy dzwiekiem przypominajacym deptanie rozbitego szkla. Szla po tym piargu bardzo ostrocznie, a kiedy znalazla sie jakies trzy metry od krawedzi, opadla na czworaki i zaczela sie czolgac. "Jestem bezpieczna - powtarzala sobie - jestem najzupelniej bezpieczna, bo wiem, czym mi to grozi...", a jednak serce jak mlotem walilo jej w piersi. Dotarla wreszcie nad skraj przepasci i rozesmiala sie krotko, nerwowo, przepasci bowiem wlasciwie tu nie bylo.

Dolina nadal wydawala sie bardzo szeroka, ale i to sie mialo wkrótce zmienic, gdyz po tej stronie jej krawedz opadala; Trisha tak intensywnie wsluchiwała sie w szmer wody i tak intensywnie myslala (przede wszystkim o tym, by znow nie wpasc w panike), ze w ogole nie zdawala sobie z tego sprawy. Podpelzla nieco dalej, za ostatni rzad krzaczkow, i spojrzala w dol.

Sciana doliny opadala w tym miejscu na najwyzej szesc metrow, i nie byla to juz skalna sciana, lecz raczej stromy piarg. Na dnie dziewczynka dostrzegla nagie drzewa, krzaczki jagod i kolczaste jezyny, rosnace pomiedzy ostrymi, polodowcowymi skalami. Deszcz przestal juz padac, grzmoty rozlegaly sie zaledwie od czasu do czasu, niegrozne, lecz dowodzace, ze natura nie jest w najlepszym humorze, po burzy pozostala jednak mzwawka; widoczne na dole glazy robily wrazenie nieprzyjemnych, sliskich, niczym zuzel pozostaly po wytapianiu zelazu.

Trisha cofnela sie i wstala. Brnac wsrod niskich krzaczkow, ruszyla w kierunku, skad dobiegal odglos strumienia. Zaczynala juz odczuwac zmeczenie, bolaly ja miesnie nog, uznala jednak, ze w zasadzie jest w dobrej formie. Bala sie, pewnie, ze sie bala, ale przynajmniej nie tak strasznie, jak przedtem. To przeciez jasne, ze ktos ja znajdzie. Ktos zawsze znajduje ludzi, ktorzy gubia sie w lesie. Uzywa sie do tego samolotow, helikopterow i specjalnie tresowanych psow, pracujacych dopoty, dopoki ten, kto sie zgubil, nie zostanie

odnalezione.

"A może ja sama jakos się uratuje - pomyślała. - Znajde chatę traperską, wejdę do niej przez okno, jeśli drzwi będą zamknięte, i oczywiście nikogo w środku nie zastanę, ale będzie tam telefon..."

Oczami wyobraźni Trisha już widziała się w chacie jakiegoś trapersa, nieużywanej od jesieni, oczami wyobraźni widziała kraciastą ceratę, narzuconą niedbale na meble, i niedzwiedzia skóra na podłodze. Czula zapach kurzu i popiołu z węglowej kuchni, ten jej sen na jawie był tak przekonujący, że czula nawet zapach dawno parzonej kawy! Chata była pusta, lecz wyposażona w telefon, staroswiecki, z ciężką słuchawką, która podnosiło się do ucha obiema dłońmi, ale działający. Słyszała nawet, jak mówi do słuchawki: "Halo? Mama? Tu Trisha. Właściwie to nie wiem, gdzie jestem, ale niemi sienie..."

Wyobrażona, nieistniejąca chata i wyobrażony, nieistniejący telefon zaprzętnęły ją tak bardzo, że omal nie wpadła do strumyka wypływającego z lasu i spadającego po niskim, kamienistym zboczu, w ostatniej chwili złapała się gałęzi brzozy i zapatrzyła w strumyk z uśmiechem na ustach. Dzień miała gówniany, nie da się ukryć, iż był to dzień gówniany, ale szczęście chyba już się do niej uśmiechnęło, więc czapki z gwiazd, panie i panowie! Podeszła do krawędzi urwiska. Strumyk spadał z niego, tu i owdzie trafiając na co większe głazy i pieniać się na nich; w słoneczne popołudnie w pianie widziałaby zapewne teczki. Zbocze po jego obu stronach wydawało się śliskie, zdradzieckie, pełne luznych, wilgotnych kamieni, mimo wszystko jednak krzaki rosły tu dość gęsto. Gdyby zdarzyło się jej poślizgnąć, chwyciłaby się po prostu któregoś z nich, tak jak przedtem chwyciła się pnia brzozy.

-Woda prowadzi do ludzi - powiedziała głośno i zaczęła schodzić po zboczu.

Schodziła bokiem, drobnymi kroczkami, prawym brzegiem strumyka, z początku szło jej niezle, mimo iż zbocze okazało się w rzeczywistości bardziej strome, niż mogło się to wydawać z góry, a kamienie usuwały się spod nog przy każdym kroku. Niesiony na ramionach plecak, o którym niemal zapomniała, ujawnił teraz swe istnienie, przypominając ciężkie, choć bezwładne dziecko w nosilkach; ilekroć się przesuwał, musiała machać rękami, by utrzymać równowagę. Mimo to wszystko nadal wydawało jej się w porządku - i bardzo dobrze, ponieważ kiedy przystanęła w połowie drogi z dołu, prawa stopa wcisnięta między luzne kamienie, zdała sobie sprawę, że wrócić na górę już nie zdoła. Na dobre czy na złe, musiała zejść w dolinę.

Ruszyła przed siebie, w trzech czwartych drogi owad, wielki owad, a nie muszka i nie komar, uderzył ją w twarz, i była to osa, bez wątpienia osa. Zamachnęła się na nią z krzykiem, plecak przekrzywił się gwałtownie i nagle nie sposób już było mówić o utrzymaniu równowagi. Upadła, ramieniem uderzyła w skaliste zbocze, aż szczeknęły jej zęby, i zaczęła się po nim ślizgać.

-Kurka wodna! - krzyknęła, kurczowo chwytając się, czego tylko się dało. Zdołała

uchwycić garsc kamieni, które spadały wraz z nią, poczuła nagły ból, kiedy ostry odlamek kwarcu przeciał jej dłoń. Trafiła na krzak, którego nie obroniły przed nią absurdalnie płytkie korzenie. Trafiła na coś stopą, prawa noga wygięła się bolesnie i Trisha nagle wznosiła się w powietrze, wykonując niezaplanowane salto, choć miała wrażenie, że to świat kręci się wokół niej.

Upadła na plecy i zsuwała się dalej, szeroko rozstawiając nogi i wymachując ramionami, krzycząc z bólu, strachu i zaskoczenia. Płaszcz przeciwdeszczowy i podkoszulek podwinęły się jej aż na łopatki, ostre kamienie wyrwały kawałki skóry z pleców. Próbowала hamować stopami, lewa trafiła w głębiej wbity w ziemię kamień, co obrocilo ją w prawo. Trisha natychmiast zaczęła się toczyć, brzuch, plecy, brzuch, plecak to wbijał się jej w ramiona, to podrywał ją w powietrze. Niebo jakimś cudem znalazło się w dole, nieznosny ostry piarg w gorze, potem zamieniły się miejscami, zmiana partnera w tancu, wszyscy zmieniamy partnerów.

Ostatnie dziesięć metrów Trisha zjechała na lewym boku, z wyciągniętym lewym ramieniem i twarzą skryta w zgięciu łokcia. Coś uderzyło ją wystarczająco mocno, by nabici jej siniaki na tym boku, i nagle, nim w ogóle zdążyła spojrzeć nad ramieniem, poczuła swidrujący ból tuż nad lewą kością policzkową. Krzyknęła i poderwała się na kolana, instynktownie uderzając i miażdżąc to coś, czyli oczywiście kolejną osę, która zdołała jednak uzadlić ją po raz drugi, a kiedy Trisha otworzyła oczy, ujrzała osy wszędzie dookoła, zoltobrazowe potwory o zwisających, ciężkich odwłokach, obrzydliwe, tłuste fabryki jadu.

Zeslizgnęła się wprost na martwe drzewo u stop zbrocza, jakieś siedem metrów od wesołego strumyka, w miejscu, gdzie z jego pnia wyrastały najniższe galezie, dokładnie na poziomie oczu dziewczynki dziewięcioletniej, ale wysokiej jak na swój wiek, wisiało szare gniazdo. Wściekłe osy pelzały po nim, a inne wylatywały z otworu u góry.

Kolejna osa uzadliła Trishe w szyję po prawej, tuż pod daszkiem czapki, następna w prawe ramię nad łokciem. Wrzeszcząc, w ślepej panice, dziewczynka rzuciła się do ucieczki. Poczuła przeszywający ból w karku i na plecach, nisko, tuż nad paskiem dzinsów, pod podwiniętą koszulą i między strzepami podartego płaszcza przeciwdeszczowego. Biegła w kierunku strumienia bezmyślnie, bez planu, bez żadnego zamiaru, nie widziała tam po prostu żadnych większych przeszkód. Smigala między kepami krzaków, a kiedy się zagęścili, przedzierała się przez nie, tratując je. Ciężko dysząc, zatrzymała się wreszcie nad brzegiem strumienia; zaplakana i przerażona, obejrzała się przez ramię. Osy znikły,

ale nim im uciekła, zdołały przecież dokonać dzieła zniszczenia. Lewe oko, blisko którego uzadliła ją pierwsza, było tak spuchnięte, że nic przez nie nie widziała.

"Jeśli jestem uczulona na jad osy, umrę" - pomyślała, ale nadal w szoku, nie przywiązywała do tej refleksji większego znaczenia. Usiadła na brzegu strumyka, przyczyny jej ostatnich kłopotów, szlochając i pociągając nosem. Opanowała się odrobine, zdjęła z ramion plecak. Jej ciałem targaly dreszcze, na przemian sztywniało ono i rozluźniało się, a kiedy miesnie

się napinały, czuła ostry ból ukaszeń. Objęła plecak ramionami, kołysała go na kolanach jak dziecko i płakała. Przypomniła jej Mone spoczywająca na tylnym siedzeniu samochodu, pocziwa stara Moanie Balogne o wielkich niebieskich oczach. Był taki czas, kiedy rodzice najpierw rozważali rozwód, a potem się rozwodzili, gdy uważała Mone za swą jedyną pociechę; nawet Pepsi nie byłaby w stanie zrozumieć, co przeżywała. Teraz rozwód rodziców wydawał jej się sprawą nieważną, wręcz błahą. Na świecie istniały sprawy bolesniejsze niż dwójka dorosłych, którzy nie potrafią żyć razem, na przykład osy, i Trisha dałaby wiele, by znowu mieć przy sobie Mone.

Na szczęście nie miała umrzeć od osiego jadu, bo gdyby miała, to zapewne już by umarła. Podслуchała kiedyś, jak mama i pani Thomas, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, rozmawiały o kims uczulonym na osy czy pszczoły i pani Thomas powiedziała wówczas: "W dziesięć sekund po użądleniach biedny Frank był spuchnięty jak balon. Gdyby nie miał przy sobie strzykawki, to chyba udusiłby się na śmierć". Ona jednak bynajmniej się nie dusiła, choć użądlenia strasznie ją bolały i rzeczywiście, puchły niemal jak balony. To przy oku zmieniło się w miniaturowy wulkan gorącej tkanki, a kiedy przycisnęła je palcami, przeraźliwy ból odczuła aż w głowie i po prostu musiała krzyknąć. Nie płakała już, lecz mimo to z jej lewego oka lży płynęły nieprzerwanym strumieniem.

Poruszając dłońmi ostrożnie, delikatnie, Trisha sprawdziła, w jakim jest stanie. Udało się jej umiejscowić co najmniej sześć ządeł, a tuż nad biodrem po lewej było miejsce, w które wbity się dwa lub nawet trzy, i ono bolało najbardziej. Plecy zdawały się wręcz odarte ze skóry, lewe ramię zaś, którym osłaniała się podczas ostatniego etapu zjazdu, ociekło krwią od łokcia aż do nadgarstka. Policzek, zraniony wcześniej galezią, teraz znowu krwawił.

"To nie w porządku - uznała. - To nie w po..."

I nagle do głowy wpadła jej straszna myśl, tylko że nie była to właściwie myśl, lecz raczej pewność. Rozbiła walkmana, jej walkman roztrzaskał się na milion części w kieszeni plecaka, niemożliwe, żeby przetrwał zjazd po zboczach. Chwyciła sprzeczki zakrwawionymi, drżącymi palcami, szarpnęła paski i wreszcie odpięła klapy. Wyciągnęła game-boya, oczywiście zniszczonego, z displayu, na którym tanczyły niegdyś elektroniczne znaczki, pozostało tylko kilka kawałków żółtego szkła. Pekła również torba chipsów i biała plastikowa obudowa pokryta była tłustymi okruchami.

Obie plastikowe butelki, wody i Surge, były wgniecione, lecz całe. Torba z drugim śniadaniem miała teraz grubość jeża przejechanego przez samochód, ja także oblepiały okruchy chipsów, Trisha nie pofatygowała się jednak, by zajrzeć do środka. "Mój walkman - powtarzała raz za razem, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że szłocha. Otworzyła wewnętrzna kieszeń. - Mój mały, biedny walkman". Urwanie kontaktu z głosami z prawdziwego, ludzkiego świata wydawało się jej w tej sytuacji wręcz nie do zniesienia.

Sięgnęła do kieszeni i oto zdarzył się cud... wyciągnęła walkmana nienaruszonego. Tyle że sznur słuchawek, poprzednio schludnie obwiązany wokół niego, zsunął się i splątał, ale to

wszystko. Trzymała go w dłoniach, z niedowierzaniem biegając wzrokiem od jednego do gameboya i z powrotem. Jakim cudem jedno przetrwało bez uszczerbku, a drugie zostało tak całkowicie zniszczone? Jak to możliwe?

"To niemożliwe - odpowiedział jej zniechęcony głos w głowie. - Walkman wygląda dobrze, ale ma zniszczony środek".

Trisha wyprostowała przewód, założyła słuchawki i położyła palec na przycisku "Power". Zapomniała o zadłach, o ugryzieniach owadów, o zadrapaniach i rozcięciach. Zamknęła spuchnięte, ciężkie powieki, odcinając się od zewnętrznego świata.

-Boże, błagam - powiedziała w tę ciemność - nie dopuść, by mój walkman był zepsuty, i włączyła go.

-Informacja z ostatniej chwili - powiedział głos didżejki tak czysty i dzwiczny, jakby przemawiał do Trishy w środku głowy. - Kobieta z Sanford, odbywająca z dwojgiem dzieci wycieczkę odcinkiem Szlaku Appalachów, poinformowała władze, że jej córka, dziesięcioletnia Patricia McFarland, znikła, prawdopodobnie zablądziwszy w lasach na zachód od TR-90 i miasteczka Motton".

Trisha otworzyła szeroko oczy i słuchała radia jeszcze przez dobre dziesięć minut, mimo iż WCAS, niczym jakiś nalogowiec, natychmiast powróciło do kowbojskiej muzyki i informacji o wyścigach NASCAR[4], a więc zablądziła w lesie i informacje te podano oficjalnie, w radiu. Zatem już bardzo niedługo oni rozpoczną akcję poszukiwawczą, kimkolwiek byliby ci oni; najprawdopodobniej są to ludzie w gotowych do startu helikopterach i treserzy psów gonczych. "Matka będzie śmiertelnie przerażona" - pomyślała Trisha i ku własnemu zaskoczeniu odczuła odrobinę satysfakcji. "Nie miałam odpowiedniej opieki - tłumaczyła się, zdejmując z siebie jakąkolwiek odpowiedzialność za to, co się stało. - Jestem małą dziewczynką i nie miałam odpowiedniej opieki, a jeśli będzie na mnie krzyk, powiem jej: <<Kłócicie się cały czas, nie potraficie przestać, a ja miałam już tego kompletnie dość>>". Pepsi by się to spodobało.

W końcu wyłączyła jednak walkmana, owinięła go kablem słuchawek, cmoknęła z wdzięczności gładką obudowę i schowała troskliwie urządzenie do kieszeni plecaka. Przyjrzała się splaszczonej torbie ze śniadaniem i zdecydowała, że brak jej siły charakteru, by otworzyć ją i sprawdzić, w jakim stanie jest kanapka z tunczykiem i drugi baton. Byłoby to przeżycie zbyt przygnębiające. Dobrze przynajmniej, że zjadła jajko, zapobiegając w ten sposób jego przetworzeniu na salatkę jajeczną. Na tę myśl powinna być może zachichotać, ale jakos nie była w stanie. Studnia chichotów, która jej matka uważała za niewyczerpaną, najwyraźniej wyschła.

Usiadła na brzegu strumyczka, w tym miejscu szerokiego na zaledwie metr z kawałkiem, i wpatrzona wien ponuro, zjadła chipsy, najpierw te z peknętej torby, potem te przyklejone do torebki z drugim śniadaniem, a na końcu okruszki, które przyłgnęły do dna plecaka. Jakis

wielki owad, buczac, przeleciał jej przed twarzą, krzyknęła i uniosła dłoń w obronnym geście, ale była to tylko wazka.

Wreszcie, poruszając się powoli jak szesćdziesięcioletnia babcia po dniu ciężkiej pracy (i rzeczywiście czuła się jak szesćdziesięcioletnia babcia po dniu ciężkiej pracy), zebrała wszystkie swoje dobra łącznie z roztrzaskanym gameboyem, schowała je z powrotem do plecaka i wstała. Nie zapinając klapy, zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy i przyjrzała mu się uważnie. Cienki i nietrwący, nie zapewnił jej żadnej ochrony podczas upadku, za to podarł się dosłownie na paski, trzepoczące na wietrze w sposób, który w innych okolicznościach z pewnością uznaliby za komiczny - przypominał niebieską plastikową spodniczkę hula - pomyślała jednak, że warto go zatrzymać. Zapewniał przynajmniej jakąś ochronę przed owadami, które znów krążyły chmura nad jej nieszczęsną głową. Moskitów też było więcej niż przedtem, zapewne przyciągnęła je krew na jej ramionach, która jakos wyczuwała.

Miała właśnie włożyć resztki płaszcza przeciwdeszczowego - plecak był następny - kiedy po raz pierwszy dostrzegła błoto na brzegu strumyka. Przykleknęła na jedno kolano, krzywiąc się, kiedy materiał dzinsów potarł uzadlenia na biodrze, i zanurzyła palce w szarobrazowej mazi. Spróbować czy nie spróbować?

-a co mi to może zaszkodzić? - westchnęła i nałożyła warstewkę błota na opuchliznę na biodrze. Było cudownie zimne i ból zmniejszył się wyraźnie niemal natychmiast. Bardzo ostrożnie posmarowała więc błotem wszystkie uzadlenia, do których była w stanie dosięgnąć, łącznie z opuchlizną zasłaniającą jej oko. Następnie wytarła dłonie o dzinsy (i dłonie, i dzinsy wyglądały obecnie znacznie gorzej niż szesć godzin temu), włożyła podarty płaszcz, narzuciła plecak na ramiona (dzięki Bogu, nie ocierał żadnej z ran) i ruszyła w dół strumienia, w pięć minut później była z powrotem w lesie.

Maszerowała wzdłuż brzegu przez mniej więcej cztery godziny, słysząc wyłącznie ptasie śpiewy i bzyczenie owadów. Mżyło właściwie cały czas, a raz mżawka przeszła w deszcz, wystarczająco gwałtowny, by ponownie przemoczyć ją do suchej nitki, choć zdołała się schronić pod największym drzewem w okolicy. Pocięczało ją tylko to, że podczas tego deszczu nie grzmiało i nie błyskało.

Trisha nigdy nie czuła się dziewczynką z miasta aż tak rozpaczliwie, jak podczas tego okropnego dnia, który powoli chylił się już ku zachodowi. Miała wrażenie, że charakter lasu zmienia się falami. Przez pewien czas szła wśród wielkich starych sosen, i to było w porządku, ponieważ wyglądało zupełnie jak scena z filmów animowanych Disneya. Potem, nagle, nadchodziła inna fala, a ona musiała się przeciskać wśród gęsto rosnących, pokreconych drzew i kęp krzaków, które przeważnie miały kolce, cały czas uchylając się przed suchymi galeziami, usiłującymi poranić jej ramiona i wydłubać oczy. Mogło się wydawać, że rosną tylko po to, by zagrażać drodze, i powoli, w miarę jak zmęczenie Trishy wzrastało, dziewczynka zaczęła przypisywać im inteligencję, świadomość obecności obcej istoty w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym, której trzeba przeszkodzić i którą trzeba zranic. Ale nawet ta objawiana przez drzewa chęć, by ją podrapać, a w sprzyjających

okolicznosciach moze nawet wydubac jej oko, nie wydawala sie najwazniejsza. Przede wszystkim chcialy one odciac ja i odepchnac od strumienia, drogi do innych ludzi, jedyne sposobu wydostania sie z lasu.

Trisha oddalala sie od brzegu wowczas, gdy byl on zarosniety tak gesto, ze przedarcie sie przez zarosla wydawalo sie niemozliwoscia, absolutnie natomiast nie godzila sie skrecic w las tak gleboko, by przestac slyszec szum plynacej wody. Gdy tylko wydawalo jej sie, ze cichy szmer strumienia zanika, wolala raczej na czworakach przedzierac sie pod galeziami, niz isc dalej przed siebie i szukac latwiejszej drogi. Nienawidzila czolgac sie po wilgotnej ziemi. Wsrod sosen ziemia byla sucha i miekko uslana iglami, w kepach krzakow zawsze wydawala sie nieprzyjemnie blotnista. Niemal przez caly czas plecak przeszkadzal jej strasznie, platal sie w galeziach, a kilka razy doslownie sie w nich zakleszczal... i przez caly czas, niezaleznie od tego, jak geste byly zarosla, nad glowa dziewczynki unosila sie chmura muszek.

Rozumiala, dlaczego czuje sie tak zle, skad bierze sie ogarniajace ja uczucie beznadziejnosci, ale nie potrafilo wypowiedziec tego slowami. Chodzilo po prostu o to, ze wielu rzeczy w lesie nie umiala nazwac. Matka nauczyla ja rozpoznawac brzozy, buki, klony, swierki i sosny, nauczyla ja rozpoznawac tepe stukanie dzieciola i chrapliwe krakanie wron, ze zmierzchem w lesie nioslo sie tez skrzypliwie cykanie swierszczy... ale czym wlasciwie byla cala reszta? Jesli matka jej tego uczyla, Trisha zapomniala tych lekcji, miala jednak wrazenie, ze wcale ich nie bylo. Zaczynala rozumiec, ze matka jest, podobnie jak ona sama, dziewczyna z miasta, z Massachusetts, ktora przeniosla sie do Maine, lubi spacerowac po lesie i przeczytala kilka popularnych ksiazek przyrodniczych. Czym na przyklad byly geste krzaki o lsniacych zielonych lisciach? Boze, byle nie trujacym debem! Albo male powykrecane drzewka o szarych pniach? Albo drzewa o waskich, zwisajacych lisciach? Lasy wokolo Sanford, po ktorych matka tak lubila spacerowac, czasami sama, a czasami z corka, byly lasami oswojonymi. Ten las z cala pewnoscia nie byl oswojony.

Trisha probowala wyobrazic sobie setki poszukujacych jej mezczyzn, zblizajacych sie do niej powoli. Wyobraznie miala niezla, wiec poczatkowo przychodzilo jej to bez klopotu. Widziala dziesiatki wielkich zoltych autobusow szkolnych z tabliczkami: "Wynajete: ekipy poszukiwawcze", tam gdzie zwykle umieszczalo sie informacje, dokad autobus dojezdza. Widziala, jak zjezdza na parkingi wzdluz calego Szlaku Appalachow w zachodniej czesci Maine. Widziala, jak przez otwarte drzwi wysypuja sie z nich mezczyzni w brazowych mundurach, niektorzy z psami na smyczach, wszyscy z krotkofalowkami przy paskach, a kilku z tymi specjalnymi wielkimi glosnikami na baterie. Ich glos miala uslyszec pierwszy, donosny, wzmozniony, boski glos wolajacy: "Trisho McFarland, gdzie jestes? Jesli mnie slyszysz, idz w kierunku glosu!"

A jednak cienie w lasach wydłużaly sie i krzyzowaly, ona zas nie slyszala ludzkiego glosu, wylacznie cichy szmer strumienia, tak samo szerokiego tu, jak w miejscu, w ktorym nan trafila, i swoj wlasny przyspieszony oddech. Obraz mezczyzn w brazowych mundurach bladl i slabl.

"Nie moze zostac tu przez cala noc - pomyslala - nikt chyba nie oczekuje ode mnie, ze zostane tu przez cala noc..."

Poczula kolejny przyplyw paniki: przyspieszone bicie serca, suchosc w ustach, tepy bol oczu wychodzacych z oczodolow. Zabladzila w lesie, otaczaly ja drzewa, ktorych nie potrafila nawet nazwac, byla sama w miejscu zupełnie obcym miejskiemu doswiadczeniu; jej mozliwosci rozpoznawania swiata i reagowania nań zawezily sie wiec dramatycznie do najprostszych i najbardziej prymitywnych. Jednym krokiem pokonala droge dzielaca dziewczynke miejska od dziewczynki jaskiniowej.

Trisha bala sie ciemnosci nawet w domu, w swoim pokoju, oswietlonym przez okno stojaca na rogu latarnia. Pomyslala, ze jesli przyjdzie jej spedzic noc tu, w lesie, z pewnoscia oszaleje. Cos jej podpowiadalo, ze powinna pedzic, uciekac. Nie przejmowac sie tym, ze kazdy strumien musi w koncu doprowadzic zblakanego wedrowca do ludzi. To prawdopodobnie jeszcze jeden nonsens z serii ksiazeczek "Little House". Szla wzdluz tego strumienia ladne pare kilometrow i jedyne, do czego ja doprowadzil, to do jeszcze wiekszej inwazji owadow. Pragnela uciec od niego jak najdalej, obojetne dokad, najlepiej w tym kierunku, w ktorym najlatwiej jej bedzie uciekac. Biec tak szybko, by spotkac ludzi jeszcze przed zmrokiem. Byl to pomysl doprawdy zwariowany, z czego doskonale zdawala sobie sprawe... ale co? Nie znal od tego bol oczu (a i ukaszenia znow zaczely boleć), nie znikl metaliczny smak strachu w ustach.

Przedarla sie przez kepe drzew rosnacych tak blisko siebie, ze byly wlasciwie ze soba splatane, i wyszla na mala, polkolista polanke w miejscu, gdzie strumyk skrecal lekko w lewo. Polanka, ograniczona krzakami i rosnacymi tu i owdzie drzewami, wydala jej sie po prostu rajem. Byl tu nawet zwalony pien, mogacy posluzyc za lawke.

Usiadla na tym pniu, zamknela oczy i probowala pomodlic sie o ratunek. Proszba do Boga o to, by walkman okazal sie caly, byla latwa, poniewaz poprosila Go o to spontanicznie, teraz jednak modlitwa przychodzila jej z trudem. Oboje rodzice nie chodzili do kosciola, mama wychowala sie w wierze katolickiej, lecz ja porzucila, tata - o ile wiedziala - nie mial czego porzucac, i teraz ich corka znow sie zagubila, nie znajdujac wlasciwych slow. Zmowila "Ojcze nasz", ale w jej ustach slowa modlitwy brzmialy nieprzekonujaco i nie przynosily ukojenia, wydawaly sie w tej sytuacji rownie uzyteczne, jak elektryczny otwieracz do puszek. Otworzyla oczy i rozejrzala sie dookola. Az za dobrze widziala, jak szaro robi sie na swiecie. Nerwowo splotla poranione dlonie.

Nie pamietala, by kiedykolwiek zdarzylo jej sie dyskutowac o kwestiach natury duchowej z matka, ale przed niespelna miesiacem spytala ojca, czy wierzy w Boga. Siedzieli przed jego malym domkiem w Malden, zajadajac lody od lodziarza, ktory nadal rozwozil je bialym, dzwoniacym samochodzikiem (na sama mysl o tym malym bialym samochodziku Trisha omal znow sie nie rozplakala). Peter byl, jak to sie mowilo w Malden, "w parku", wyglupiajac sie ze swoimi dawnymi przyjacielmi.

-Bog - powiedział wówczas tata, smakując to słowo niczym nowy smak lodów: waniliowe z Bogiem poprosze zamiast waniliowych z rodzynekami. - Dlaczego o to pytasz, malutka?

Trisha pokręciła głową na znak, że nie wie, dlaczego o to zapytała. Teraz, siedząc na zwalonym pniu w ten chmurny, obrzydzone ciąglem bzykaniem owadów czerwcowy wieczór, pomyślała naraz ze strachem, że być może gdzieś, w najgłębszej glebi jej istoty, kryje się coś, co potrafi przewidywać przyszłość, i że to coś być może przewidziało, iż wkrótce będzie potrzebować Boga, więc wysłało sygnał do jej świadomości.

-Bog - powtórzył Larry McFarland, lizac lody. - Bog... no tak, Bog. - Przerwał i znow się zamyslił. Trisha siedziała po swojej stronie piknikowego stolniczka, patrzyła na mały, wymagający przyszczyżenia trawnik i nie poganiała ojca, on zaś powiedział w końcu: - Powiem ci, w co wierze. Wierze w Niesłyszalne.

-w co? - Trisha spojrzała na ojca, niepewna, czy mówi poważnie, czy żartuje. Ale nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo trzymają się żarty.

-w Niesłyszalne. Pamiętasz, jak mieszkaliśmy przy Fore Street?

Oczywiście, że pamiętała dom przy Fore Street. Od domu, w którym mieszkał teraz tata, dzieliły go trzy przecznice, stał prawie na granicy miejskiej Lyne. Był większy i miał większy trawnik, który tata zawsze porządnie kosił, w tamtych czasach Sanford przeznaczone było dla dziadków i na wakacje, a Pepsi była po prostu wakacyjną koleżanką i dmuchanie w ramię, "ramienne pryki" były najśmieszniejszą rzeczą pod słońcem, oczywiście oprócz prawdziwych pryków. Przy Fore Street kuchnia nie pachniała zwierzęcym piwem, jak ta. Trisha skinęła głową, doskonale wiedząc, o czym mówi ojciec.

-Ten dom miał elektryczne ogrzewanie. Pamiętasz, jak transformatory w piwnicy szumiały nawet w lecie, kiedy nie włączaliśmy ogrzewania?

Pokręciła głową. Tata tylko skinął głową, jakby tego się właśnie spodziewał.

-Nie słyszałaś ich, bo się do nich przyzwyczaiłaś - wyjaśnił po prostu. - Ale uwierz mi na słowo, one szumiały, a nawet w domu, w którym nie ma transformatorów, zawsze coś się dzieje. Lodówka włącza się i wylacza. Bulgocza rury. Skrzypi podłoga. Po ulicy pod oknem jeżdżą samochody. Słyszymy to przez cały czas, ale tak naprawdę wcale tego nie słyszymy, bo wszystkie te odgłosy stały się... - Gestem nakazał jej skończyć, pamiętała ten gest z najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy siadywała na kolanach ojca i dopiero uczyła się czytać, i zawsze bardzo go lubiła. Dawne dobre czasy.

-...niesłyszalne - powiedziała nie dlatego, by rozumiała dokładnie, o czym mówi, lecz dlatego, że ojciec nie pozostawił żadnych wątpliwości co do tego, czego po niej oczekuje.

-Ooootoż to! - Tata znow machnął ręką, w której trzymał lody. Kilka kropeł spadło mu na nogę i pociekło po nogawce roboczych spodni. Trisha próbowała zgadnąć, ile piw już wypił.

- Doskonale, kochanie. Niesłyszalne. Nie wierze w działającego w świecie, myślącego Boga, który wie o każdym martwym ptaku w Australii i każdej martwej musze w Indiach, Boga zapisującego nasze grzechy w wielkiej złotej księdze i sadzającego nas według nich po śmierci. Nie chce wierzyć w Boga świadomie stwarzającego złych ludzi, by po śmierci smażyli się w piekle, które również stworzył, wierze jednak, że musi istnieć coś.

Rozejrzył się po podworku zarosniętym zbyt wysoka, zbyt nierówna trawa, po małym zestawie zjeżdżalni i huśtawek, które ustawił dla swych dzieci (Peter dawno z niego wyrosł i ona także, choć podczas wizyt nadal się huśtała i parę razy zjeżdżała ze zjeżdżalni, po prostu po to, by sprawić mu przyjemność), spojrzał na dwa ogrodkowe krasnale (jednego z nich prawie nie było widać zza kepy nieskoszonych wysokiej trawy) i na drewniane ogrodzenie, pilnie domagające się pomalowania, w tym momencie wydał jej się stary. Wystraszony. ("Zagubiony w lesie" - pomyślała w tej chwili, siedząc na zwalonym pniu z plecaczkiem między nogami). Nagle skinął głową i spojrzał na córkę.

-Tak, kochanie, coś - mówił dalej. - w jakas nieczula dobra siła. Wiesz, co to znaczy "nieczula"?

Trisha skinęła głową. Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli, nie chciała jednak, by przerwał i zaczął jej wszystko wyjaśniać. Nie chciała, żeby ojciec ją uczył, nie dziś, dziś chciała sama uczyć się od niego.

-Sądze, że istnieje siła, dzięki której pijane dzieciaki -większość pijanych dzieciaków - nie giną w samochodach, wracając z balu maturalnego albo pierwszego w ich życiu wielkiego koncertu rockowego. Dzięki której większość samolotów nie rozbija się nawet w wypadku poważnej awarii w powietrzu. Nie wszystkie, po prostu większość. Hej, słuchaj, samo to, że od 1945 roku nie użyto broni jądowej przeciw żyjącym ludziom, dowodzi, że jakas taka siła musi być po naszej stronie. Oczywiście, prędzej czy później ktoś tej broni użyje, ale... przeszło pół wieku... to bardzo długo. - Przerwał i spojrzał na gipsowe krasnale o wesolych, pustych twarzach. - To coś, dzięki czemu większość z nas nie umiera we śnie. Nie doskonały, wszystkowiedzący Bog, zresztą, moim zdaniem, nie ma dowodów na jego istnienie, lecz jakas moc.

-Niesłyszalne.

-Punkt dla ciebie.

Trisha rozumiała mniej więcej, co miał na myśli, ale wcale jej się to nie spodobało. Czula się zupełnie tak, jakby dostała list z pozoru bardzo ważny i interesujący, lecz - po rozerwaniu koperty - przeczytała w nagłówku: "Drogi mieszkancu".

-Wierzysz w coś jeszcze, tato?

-Ależ oczywiście, w to, co wszyscy, kochanie, w śmierć, w podatki i w to, że jesteś najpiękniejsza dziewczynka na świecie.

-Taaato! - Rozesmiala sie i zaczela sie wyrwywac, ojciec zas przytulil ja i pocalowal w czubek glowy. Lubila, kiedy ja przytulal i calowal, ale nie podobal jej sie zapach piwa w jego oddechu.

Ojciec puscil ja i wstal.

-Wierze takze, ze przyszla pora na piwo. Chcesz mrozonej herbaty?

-Nie, dziekuje - powiedziala Trisha i byc moze rzeczywiscie zdarzylo jej sie przewidziec przyszlosc, poniewaz do plecow odchodzacego ojca powiedziala: - Tato, czy ty wierzysz w cos jeszcze? Ale tak naprawde?

Ojciec spowaznial wtedy i zatrzymal sie w pol kroku. Stal nieruchomo, zamyslony (siedzac na powalonym pniu drzewa, Trisha przypomniala sobie, jak wielka przyjemnosc sprawil jej ten prosty fakt, ze on mysli nad jej pytaniem), a roztopione lody sciekaly mu na reke. Nagle podniosl glowe i usmiechnal sie.

-Wierze tez, ze twoj ukochany Tom Gordon wygra w tym roku czterdziesti gier w koncowkach - powiedzial. Wierze, ze w tej chwili jest najlepszym konczacym we wszystkich glownych ligach i ze jesli nie dozna kontuzji, a srednia wybic Skarpet sie utrzyma, w pazdzierniku bedzie narzucal w mistrzostwach swiata. Wystarczy ci?

-Jaaasne! - Rozesmiala sie wesolo, zapominajac o tym, ze pytala powaznie, naprawde bowiem kochala sie w Tomie Gordonie, kochala ojca za to, ze o tym wie i ze zartuje z niej sobie, zamiast sie zloscic. Rzucila mu sie w ramiona i przytulila go, nie dbajac o to, ze roztopione lody sciekaja jej na bluzeczke. Co znaczy zaplamiona bluzeczka miedzy przyjaciolmi?

Teraz, siedzac na polance w lesie w zapadajacej ciemnosci, wsluchujac sie w otaczajacy ja szmer wody, wpatrzona w drzewa, zmieniajace w mroku ksztalty i zdajace sie przeistaczac w jakies straszne stwory, oczekujac wzmozonego elektronicznie krzyku: "Idz w kierunku mojego glosu!" i szczekania psow, pomyslala: "Nie umiem modlic sie do Nieslyszalnego. Po prostu nie umiem". Nie potrafila takze modlic sie do Toma Gordona, to juz byloby naprawde smieszne, ale mogla posluchac, jak narzuca... i to przeciw Jankesom. WCAS wlozylo czerwone skarpety, ona tez mogla je wlozyc. Oczywiscie, powinna oszczedzac baterie, doskonale zdawala sobie z tego sprawe, ale nic nie zaszkodzi, jesli przez chwile poslucha transmisji, prawda? i kto wie, moze nim skonczy sie mecz, uslyszy ludzkie glosy i szczekanie psow?

Otworzyla plecak, bardzo ostroznie wyjela walkmana z jego wewnetrznej kieszeni, zalozyla sluchawki na uszy. Zawahala sie, nagle najzupelniej pewna, ze radio nie bedzie dzialac, ze kiedy spadala ze zbocza doliny, obluzowal sie jakis najwazniejszy drucik, i ze gdy je wlaczy, w sluchawkach uslyszy wylacznie cisze. Wydawalo sie to glupie, oczywiscie, ale tego akurat dnia, ktorego przydarzylo jej sie tyle strasznych rzeczy, bylo takze

przygnębiająco wręcz prawdopodobne.

-Spróbuj, spróbuj, ty tchorzu!

Włączyła radio i oto zdarzyło się coś w rodzaju cudu: usłyszała głos Jerry'ego Trupiano i, co znacznie ważniejsze, także odgłosy z Fenway Park. Siedziała oto w mrocznym, ociekającym deszczem lesie, zagubiona i samotna, ale słyszała trzydzieści tysięcy ludzi.

To był rzeczywiście cud.

-...wstępuje na stanowisko - mówił Troop - odchyła się, narzuca i... wywołany trzeci strike! Martinez widział, gdzie patrzy! Och, to była słiczna piłka na zewnątrz, przeszła przez sam rog i Bernie Williams nawet się nie poruszył, o moją Boże! Mamy za sobą dwie i pół rozgrywki i nadal Jankesi dwa, czerwone Skarpety zero.

Śpiewny głos poinstruował Trishe, by zadzwoniła 1-800-54-GIANT, żeby zreperować sobie coś tam w samochodzie, ale nie usłyszała, o co właściwie chodzi. Dwie i pół rozgrywki za nami, co oznacza, że musi być około osmej, z początku wydawało jej się to zdumiewające, lecz mimo wszystko, biorąc pod uwagę szary, szybko zapadający zmrok, nie było przecież tak znowu niewiarygodne. Pozostawiona sama sobie, Trisha przeżyła dziesięć godzin. Niemal wieczność, choć jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, te dziesięć godzin wydawało się trwać zaledwie chwilkę.

Pomachała, opędzając się od owadów (gest ten był już tak odruchowy, że zupełnie nie zdawała sobie z niego sprawy), po czym zajrzała do torby z drugim śniadaniem. Kanapka z tunczykiem wyglądała lepiej, niż można się było spodziewać; wprawdzie spłaszczona i porozrywana na części, nadal jednak przypominała kanapkę. Plastikowa torebka jakos tam utrzymała ją w kupie. Pozostała połowka balonika Twinkie zmieniła się jednak w coś, co Pepsi Robichaud nazwałaby najprawdopodobniej "totalna glizda".

Trisha siedziała wsłuchana w transmisję meczu. Powoli zjadła pół kanapki. Pobudziła ona jej apetyt i z przyjemnością zjadłaby resztę, ale zamiast to zrobić, schowała ją z powrotem do torby i zajęła się zgniecionym balonikiem, wybierając palcem wilgotne ciasto i wstretno-smaczne kremowe nadzienie ("Dlaczego nazywają je kremowym, a nie po prostu smietankowym?" - zastanowiła się przelotnie). Kiedy nie mogła już nic wygrzebać palcem, wywrocila sreberko na drugą stronę i najzwyczajniej w świecie je wylizła. "Mówcie mi pani Schludna" - pomyślała, odkładając wylizane sreberko do torebki. Pozwoliła sobie także na trzy spore łyki Surge, następnie zaś rozpoczęła polowanie na resztki chipsów, używając do tego celu wilgotnego, brudnego palca. Czerwone Skarpety walczyły tymczasem z Jankesami przez koncówkę trzeciej i całą czwartą rozgrywkę.

W połowie piątej Jankesi prowadzili cztery -jeden. Martinez zastąpił Jim Corsi. Larry McFarland odnosił się do Jima Corsiego nadzwyczaj nieufnie. Pewnego razu, rozmawiając z córką o baseballu przez telefon, powiedział: "Wspomnij moje słowa, malutka - Jim Corsi nie

jest przyjacielem Czerwonych Skarpet". Trisha zaczęła wówczas chichotać, po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Powiedział to tak uroczyście. Tata też dostał w końcu napadu chichotków. Słowa te pozostały ich tajemnym sposobem porozumiewania się, czymś w rodzaju hasła. "Wspomnij moje słowa, Jim Corsi nie jest przyjacielem Czerwonych Skarpet".

W koncowce szostej Corsi okazał się jednak przyjacielem Czerwonych Skarpet, eliminując po kolei trzech wybijających. Trisha doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że powinna wyłączyć radio, oszczędzać baterie. Tom Gordon nie miał wystąpić w meczu, w którym Czerwone Skarpety przegrywały o trzy obiegnięcia, nie potrafiła jednak znieść myśli o rozłączeniu się z Fenway Park. Słuchała szumu z trybun, monotonnego, potężnego jak szum morskiej fali zakletej w muszle, ważniejszego dla niej niż głosy komentatorów: Jerry'ego Trupiano i Joego Castiglione. Ci ludzie byli tam, naprawdę tam, na stadionie, zjadali hot dogi i pili piwo, stali w kolejkach po pamiątki, lody i zupe rybna sprzedawana w kioskach Legal Seafood, obserwowali Darrena Lewisa, czyli DeeLu, jak nazywali go czasem komentatorzy, wstępującego do batterboks, ciągnącego za sobą długie cienie od elektrycznego oświetlenia, bo na stadionie już się przecież ściemniało. Nie zniosłaby myśli o zamianie szumu trzydziestotysięcznego tłumu na bzyczenie moskitów, których o zmierzchu zrobiło się jeszcze więcej, kapanie kropli deszczu z liści drzew, chrypliwe cykanie świerszczy... oraz wszystkie inne możliwe dźwięki.

To właśnie tych innych odgłosów najbardziej się bala.

Innych odgłosów w ciemności.

DeeLu narzucił w prawo, przesuwając bazowego, a jedno wykluczenie później Mo Yaughn złapał odchodzącą piłkę, która nie chciała odejść.

-Odrobione, odrobione, odroobione! - wyspiewał Troop. - Byk jest w zagrodzie Czerwonych Skarpet. Ktos, zdaje się, że Rich Garces, złapał piłkę w locie. Pełne obiegnięcie, Mo Yaughn! Jego dwunaste w tym roku. Jankesi prowadzi tylko jednym punktem!

Siedząca na powalonym drzewie Trisha rozesmiała się, klasnęła w dłonie i mocniej nasadziła na głowę czapkę z autografem Toma Gordona, w lesie zapadła ciemność.

Na początku osmej rozgrywki Nomar Garciaparra wybił za dwie bazy wprost w ekran na szczycie Zielonego Potwora. Czerwone Skarpety objęły prowadzenie pięć do czterech. Tom Gordon wyszedł narzucić w koncowce dziewiątej.

Trisha osunęła się z pnia na ziemię. Szorstka kora podrapała uzadlenia na biodrze, dziewczynka nie zwróciła jednak na to nawet najmniejszej uwagi. Moskity rzuciły się na jej nagie plecy, niechronione przez bluzkę, która oczywiście natychmiast podjechała do góry, ani przez strzępy przeciwdeszczowego płaszcza, nie czuła jednak ukaszeń. Nieruchomym wzrokiem patrzyła na odbijające się w strumyku ostatnie promienie dziennego światła,

nadające jego powierzchni ciemnosiną barwę rące. Siedziała na wilgotnej ziemi z palcami przycisniętymi do kącików ust. Nagle stało się dla niej bardzo ważne, by Tom Gordon zdołał utrzymać przewagę jednej bazy, żeby zapewnić Skarpetom zwycięstwo w meczu z potężnymi Jankesami, którzy przegrali wprawdzie dwumecz z Anaheim na początku sezonu, ale potem właściwie nie przegrywali.

-Dawaj, Tom - powiedziała.

W pokoju hotelowym w Castle View jej matka umierała z przerażenia, ojciec leciał własnie delta z Bostonu do Portland, by towarzyszyć żonie i synowi, w koszarach policji stanowej hrabstwa Castle, mianowanych czasowo Punktem Zbornym Patricia, ekipy poszukiwawcze niemal dokładnie takie, jakie wyobrażała sobie dziewczynka, meldowały się po powrocie z pierwszych, bezskutecznych wypadów ratunkowych, pod koszarami stały wozy transmisyjne trzech stacji telewizyjnych z Portland i dwóch z Portsmouth, blisko czterdziestu doświadczonych lesników (niektórzy z nich rzeczywiście mieli psy) pozostało w lasach Motton i trzech innych miasteczek, rozciągających się aż po wbiłające się w tym miejscu w Maine wzdłuż TR-90, TR-100, TR-110 New Hampshire. Ludzie lasu zgadzali się ze sobą co do tego, że Patricia McFarland nadal przebywa w rejonie Motton TR-90, w końcu była tylko mała dziewczynka i z pewnością nie odeszła daleko od miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni. Ci doświadczeni przewodnicy, strażnicy ostoi zwierzyny i ludzie ze Służby Lesnej oniemiałoby ze zdumienia, gdyby dowiedzieli się, że Trisha zdołała oddalić się o blisko piętnaście kilometrów od miejsca, które uważali za najprawdopodobniejsze miejsce jej pobytu.

-Dawaj, Tom! - szepnęła. - Dawaj, Tom, raz dwa trzy, dawaj! Przecież wiesz, jak to idzie!

Dzisiaj zaczęło się jednak zupełnie inaczej. Na początku dziewiątej Gordon oddał baze przystojnemu, lecz złowrogiemu środkowemu Jankesow, Derekowi Jeterowi, i Trisha przypominała sobie, co kiedyś powiedział jej tata: jeżeli przegrywający zespół dostaje darmową bazę, jego szanse na zdobycie punktu wzrastają o siedemdziesiąt procent.

"Jeśli wygramy, jeśli Tom uratuje grę, ja też zostanie uratowana". Ta myśl przyszła jej do głowy nagle, wybuchła w niej niczym fajerwerk. Było to oczywiście głupie, tak głupie, jak ojcowskie stukanie w niemalowane drewno między dwoma narzuceniami, co robił zawsze, gdy jednak w lesie robiło się coraz ciemniej, a z powierzchni strumyka znikły ostatnie poblaski srebra, myśl ta wydawała się coraz logiczniejsza i jedynie słuszna, pewna jak dwa a dwa cztery. Jeśli Tom Gordon uratuje mecz, ona także zostanie uratowana.

Pojawił się Paul O'Neill. Jedno wykluczenie. Na batter-boksie stanął Bernie Williams. "Zawsze niebezpieczny wybijający" - zauważył Joe Castiglione i Williams natychmiast wybił singla na środek, wysyłając Jetera do trzeciej.

-Dlaczego to powiedziałeś, Joe! - jęknęła Trisha. - O rany, dlaczego musiałeś to powiedzieć!

Pierwsza i trzecia baza obsadzone, tylko jeden zawodnik wykluczony. Kibice na Fenway wrzeszczeli i podskakiwali. Oczami wyobraźni Trisha widziała, jak wychylają się do przodu na lawkach.

-Dawaj, Tom, dawaj, dawaj! - szeptała. Nadal wisiała nad nią chmura muszek, ale teraz dziewczynka w ogóle ich nie widziała, w sercu poczuła ostra, zimna rozpacz niczym ten nieznośny głos w głowie, który słyszała wcześniej. Jankesi byli po prostu za dobrzy. Wybicie na baze zakończy mecz remisem, długa piłka da Jankesom zwycięstwo i ten okropny, okropny Tino Martinez będzie ugotowany, mając za sobą najgroźniejszego wybijającego. Słomka kłeczy pewnie teraz w kolku, wymachując pałką i obserwując, co się dzieje.

Gordon doprowadził do dwa i dwa, a potem rzucił podkreślaną piłkę.

-Wykluczyl go! - krzyknął Joe Castiglione, jakby nie wierzył własnym oczom. - Ach, ludzie, jakie to było sliczne! Martinez minął się z piłką co najmniej o stopy.

-o dwie stopy - wtracił natychmiast Troop.

-Wiec wszystko sprowadza się do tego - mówił dalej Joe, a Trisha słyszała w tle inne głosy, głosy kibiców. Usłyszała też rytmiczne klaskanie. Wierni z Fenway wstawali teraz z miejsc niczym uczestnicy nabożeństwa w kościele przed odśpiewaniem hymnu - dwie bazy obsadzone, dwóch zawodników wykluczonych, Czerwone Skarpety prowadzi jedna baza, Tom Gordon czeka na swoim miejscu, a do batterboksów podchodzi...

-Nie osmielisz się tego powiedzieć - szepnęła Trisha, nadal siedząca z czubkami palców przycisniętym do kącików ust. - Nie wolno ci tego powiedzieć!

Joe nie usłyszał jej jednak. Dokonczył:

-...zawsze niebezpieczny Darryl Strawberry.

No tak, to już koniec, wielki Joe Castiglione otworzył wielką gębę i zapeszył mecz. Czy nie mógł po prostu podać nazwiska: "Strawberry"? Co go podkusiło, żeby powtarzać te bzdury o "zawsze niebezpiecznym"? Przecież każdy idiota wie, że nazwanie "niebezpiecznymi" czyni ich niebezpiecznymi!

-No dobrze, proszę państwa, proszę zapiąć pasy. Strawberry ustawia kij, Jerry tanczy wokół trzeciej, próbując sięgnąć na siebie narzut, a przynajmniej uwagę Gordona, jednak bez powodzenia. Gordon skupia się, Yeritek daje mu znak. Gotowe. Gordon narzuca, Strawberry nie trafia. Strawberry kreci głową z niesmakiem...

-a nie powinien, to był przecież całkiem dobry narzut -wtracił Troop i Trisha, siedząca w mroku gdzieś w zapadłym kącie niczego, pomyślała: "Zamknij się, zamknij się choćby na sekundę..."

-Słomka schodzi ze stanowiska, klepie się po ochraniaczach, wraca. Gordon patrzy na Williamsa na pierwszej, narzuca. ... za nisko i na zewnątrz.

Trisha jęknęła. Palce wbiła w policzki tak głęboko, że aż skrzywiły jej usta w niesamowitym uśmiechu. Serce waliło w piersi, jakby chciało z niej wyskoczyć.

-No to zaczynamy - powiedział Joe. - Gordon gotowy, narzuca, Strawberry uderza... wybija daleko i wysoko na prawe zapole, jeśli piłka nie zboczy, to koniec... ale zbacza. ...zbacza... zbacza... zbacza... , Trisha nie oddychała już.

-Faul - dokończył Joe. - Ale było groźnie, zbyt groźnie. Piłka minęła Pesky Pole po złej stronie o zaledwie sześć, może osiem stop.

-Powiedziałbym, że raczej o cztery stopy - sprostował natychmiast Troop.

-a tobie śmierdzą stopy - syknęła Trisha. - Tom, błagam cię, proszę... - Ale wiedziała, że tym razem Tomowi się nie uda. Było blisko, ale bliżej już nie będzie.

Widziała Tonia Gordona oczami wyobraźni. Nie był tak wysoki i meski jak Randy Johnson, nie był też niski i okrągłutki jak Rich Garces. Średniego wzrostu, szczupły i... przystojny, bardzo przystojny, zwłaszcza w czapce nasuniętej na oczy. Tata twierdził, że prawie wszyscy baseballiści są przystojni. "Mają to w genach" - powiedziała jej kiedyś, a potem dodał: "Oczywiście wielu z nich ma pustą głowę, więc jakos się to wszystko równowazy". Jej nie chodziło jednak o urodę Tonii Gordona. Zwróciła na niego uwagę, zawsze był bowiem spokojny, przed narzuceniem stał nieruchomo, i to wzbudzało jej podziw. Nie dreptał po wzgórku miotającego, jak wielu innych narzucających, nie pochylał się, żeby zawiązać buty, nie podnosił torebki z talkiem, aby zaraz odrzucić ją w chmurce białego pyłu. Nie, numer 36 po prostu czekał nieruchomo, aż odbijający zakończy przygotowania. No i oczywiście był ten jego gest, który powtarzał zawsze, kiedy udało mu się uratować wynik. Gest, który wykonywał, zstępując ze wzgórka. Za to też go kochała.

-Gordon odciąga rekę, narzuca... w ziemię. Yeritek zablokował piłkę ciałem, ocalając bazę. Remisowa baza.

-No, niech to diabli - rzucił Troop.

Joe nie próbował nawet złagodzić jego słów.

-Gordon bierze głęboki oddech. Strawberry czeka, Gordon narzuca... za wysoko!

W głowie Trishy wycie tłumu zabrzmiało niby ryk groźnego wichru.

-Mniej więcej trzydziści tysięcy sędziów na trybunach nie zgodziło się z tym werdyktem - skomentował Troop.

-Owszem, ale decyduje stojący za wzgórkami Larry Barnett, a Barnett zdecydował, że piłka była za wysoka. Darryl Strawberry rozdaje karty. Trzy i dwa.

Rytmiczne klaskanie tłumu stawało się coraz głośniejsze. Ten odgłos wypełnił jej uszy, wypełnił świat. Postukała w martwy pień, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi.

-Cały stadion stoi - mówił Joe Castiglione. - Trzydzieści tysięcy ludzi, dziś nikt nie wyszedł w połowie przedstawienia.

-Najwyżej parę osób - uzupełnił Troop, ale nie zwrócili na niego uwagi ani Trisha, ani sam Joe.

-Gordon wstępuje na stanowisko...

Tak, widziała go na stanowisku, stojącego nieruchomo, ze złączonymi dłońmi. Nie patrzyła na baze domowa, oglądała się przez lewe ramię.

-Gordon przygotowuje narzut...

To Trisha widziała także, lewa stopa przesuwająca się za stojącą twardo na ziemi prawa, dłonie - jedna w rękawicy, druga trzymająca piłkę - złożone na wysokości mostka, widziała nawet Berniego Williama wychylającego się jak na zwolnionym filmie, Tom Gordon na nic nie zwracał jednak uwagi i nawet w ruchu zachowywał coś ze swego cudownego spokoju, wpatrywał się w rękawice Jasona Yeriteka wisząca nisko, skierowana ku zewnętrznemu rogowi pola.

-Gordon narzuca trzy na dwa, narzuca i... Tłum, jego radosny wybuch jak grom, powiedział jej wszystko.

-Sędzia wywołał strike three! - Joe Castiglione niemal krzyczał. - o mój Boże, Gordon narzucił podkrecona piłkę trzy na dwa i Strawberry nawet się nie poruszył. Czerwone Skarpety wygrywają z Janekami pięć cztery, Gordon ratuje wynik po raz osiemnasty w tym sezonie! - Opanował się i już ciszej mówił: - Koledzy Gordona biegną na wzgórek, na czele z Mo Yaughnem wyrzucającym rece w powietrze w odruchu radości, ale sam Tom, czekając na ich szarże, wykonuje gest, który kibice poznali już doskonale, choć przecież od niedawna gra jako ostatni narzucający w drużynie Czerwonych Skarpet.

Trisha po prostu się rozplakała. Wylaczyła walkmana i siedziała nieruchomo na wilgotnej ziemi z wyciągniętymi przed siebie, rozstawionymi nogami, pomiędzy którymi podarty płaszcz przeciwdeszczowy wisiał w strzepach niczym plastikowa spodniczka hula. Wylała więcej łez niż przez cały dzień od czasu, gdy się zorientowała, że zablądziła, lecz tym razem były to łzy ulgi. Zablądziła, ale przecież ją znajda. Nie wzięła w to. Tom Gordon uratował zwycięstwo, więc ona też zostanie uratowana. Nadal płacząc, rozpostarła poncho, rozłożyła je na ziemi, wsuwając tak głęboko pod drzewo, jak tylko, jej zdaniem, powinna zdołać się pod nie wczolgać, a potem przesunęła się w lewo i ułożyła na zaimprovizowanym posłaniu.

Zrobiła to wszystko właściwie instynktownie, mechanicznie, myślami była bowiem nadal na Fenway Park, widziała sedzię, który wyklucza Strawberry'ego, widziała Mo'ego Vaughna biegnącego na wzgórek, by pogratulować Gordonowi, widziała Nomara Garciaparra klusującego ku niemu z pola, Johna Yalentina z trzeciej bazy i Marka Lemke'a z drugiej, lecz nim zdolali go dopaść, Gordon wykonał gest, który wykonywał zawsze, gdy udawało mu się uratować zwycięstwo: unosił palec, wskazując nim niebo.

Trisha schowała walkmana do plecaka i nim złożyła głowę na ramieniu, wskazała palcem niebo, zupełnie jak Tom Gordon. Bo i czemu nie? Coś pomogło jej wszak przetrwać dzień, choć był to dzień straszny, a kiedy tak uniosła palec, to coś wydało jej się Bogiem. Nie można przecież wskazać palcem głupiego szczęścia albo Niesłyszalnego, prawda?

Poczuła się dzięki temu jednocześnie lepiej i gorzej. Lepiej, ponieważ gest ten wydał jej się bardziej modlitwą niż jakiegokolwiek wypowiedziane słowa, a gorzej, po raz pierwszy bowiem tego dnia odczuła prawdziwą samotność; kiedy, naśladując Toma Gordona, wskazała niebo, nagle poczuła się zagubiona w jakimś zupełnie nowym, nieprzewidywanym sensie tego słowa. Głosy, które dzięki słuchawkom walkmana jeszcze przed chwilą wypełniały jej głowę, wydawały się teraz pochodzić wprost z sennych majaków, były głosami duchów. Zadrzała nagle, nie chciała myśleć o duchach - nie tu, nie w lesie, w ciemności, schowana pod pniem przewróconego drzewa. Teskniła za matką, ale najbardziej chciała mieć przy sobie ojca. Ojciec zdolałby ją stąd wydostać, wziął za rękę i wyprowadził do ludzi. Gdyby rozboleły Trishe nogi, wziąłby córkę na ręce. Ojciec był duży i silny. Kiedy spędzali weekendy w jego domu w Malden, w sobotę wieczór nadal brał ją na ręce i zanosił do sypialni, choć miała już dziewięć lat i była wysoka jak na swój wiek, z wizyt w Malden najbardziej lubiła te właśnie chwile.

Z podszycym rozpaczą zdumieniem Trisha stwierdziła nagle, że teskni nawet za swym głupkowatym, skarzającym się bez przerwy na wszystko bratem.

Zasnęła, płacząc i chwytając ustami wielkie hausty powietrza. Krawce w ciemności owady zbliżyły się do niej ostrożnie, aż w końcu wylądowały na odsłoniętych kawałkach skóry i zaczęły pożywiać się krwią i potem.

Przez las przeleciał podmuch wiatru, poruszając liśćmi i stracając z nich ostatnie krople. Po kilku sekundach powietrze znieruchomiało, a potem nie było już nieruchome, przeszył je bowiem trzask łamanych gałązek. Znowu zapadła cisza, lecz niemal natychmiast przerwał ją szelest poruszanych galezi i ostry, chrypliwy dźwięk. Wrona zakrakala raz, na alarm, i znowu chwila ciszy, po czym coś zaczęło zbliżać się do miejsca, w którym Trisha spała z głową opartą na ramieniu.

Koniec czwartej

Byli w ogrodku za małym domkiem taty w Malden, tylko we dwoje. Siedzieli na ogrodowych krzeselkach, mocno zardzewiałych, przyglądając się trawie, która trochę za

bardzo urosła. Krasnoludki przypatrywały się Trishy z nieprzyjemnymi uśmiechami na przesłoniętych kepami chwastów twarzach. Trisha płakała, ponieważ ojciec był dla niej niemiły. Nigdy dotąd nie był dla niej niemiły, zawsze tulił ją i całował w czubek głowy i nazywał "malutka", ale teraz był dla niej niemiły, był niemiły tylko dlatego, że nie chciała otworzyć wejścia do piwnicy, znajdującego się pod kuchennym oknem, zejść po czterech stopniach i przynieść mu puszki piwa ze skrzynki, która zawsze tam trzymał, bo w piwnicy było chłodno. Była tak zdenerwowana, że zrobiła sobie chyba coś z twarzy, gdyż bardzo ją swędziało, i ramiona też. - Dziecko wyje, tatus piwo pije - powiedział ojciec, pochylając się ku niej, aż poczuła jego oddech na twarzy. Tata nie potrzebował jeszcze jednego piwa, już był pijany, jego oddech pachniał drożdżami i martwą myszą. - Dlaczego jesteś taka tchorzliwa mała myszka? Nie masz w żyłach ani odrobiny wody z lodem.

Placzac, lecz zdecydowana udowodnić ojcu, że potrafi zachować zimną krew, wstała z zardzewiałego ogrodowego krzesła i podeszła do jeszcze bardziej zardzewiałej kłapy piwnicy. Boże, swędziało ją całe ciało, nie chciała odchylić kłapy, ponieważ po jej drugiej stronie czekało na nią coś okropnego, wiedziały o tym nawet ogrodowe krasnale, dlatego uśmiechały się tak złośliwie, a jednak położyła dłoń na uchwycie, a za plecami słyszała głos ojca, okropny, kpiący głos obcego człowieka, zachęcający ją, by uniosła te kłapy, dalej mała, dalej malenka, weź się w garść i zrób to!

Uniosła kłapy. Nie było pod nią schodków, nie było śladu po schodkach, zamiast nich dostrzegła potwornie wielkie gniazdo os. Setki os wylatywały z niego przez czarną dziurę, przypominającą oko człowieka, który umarł w zdumieniu; nie, to nie były setki, lecz tysiące os, tłustych, obrzydliwych fabryczek jadu, wszystkie uzadła ją naraz, umrze, czując, jak łaza jej po skórze, wchodzi do oczu, do ust i zadła język, gardło...

Trisha sadziła, że krzyczy, ale kiedy wałnęła głową w pianę od spodu, stracając w przesiąkniętym potem włosy odłamki kory i mech, a jednocześnie budząc się, usłyszała tylko ciche, chrapliwe jęki - tylko one przedarły się przez jej zacisnięte gardło.

Dobra chwila nie wiedziała, co się z nią dzieje i gdzie jest, nie wiedziała, dlaczego jej posłanie zrobiło się takie twarde, ani w co mogła uderzyć głową... czyżby jakimś cudem wpełzła pod łóżko? Czula mrowienie na skórze, pewnie to dreszcze od snu, przed którym udało jej się umknąć na jawę, Boże, jaki to był straszny koszmar...

Uderzyła się w głowę jeszcze raz i rzeczywistość poczęła do niej wracać kawałek po kawałku. Nie leżała w łóżku, nie leżała nawet pod łóżkiem, spała w lesie, zablądziła w lesie, a skóra wcale nie mrowiła ze strachu, nie ze strachu, lecz dlatego, że...

-Uciekajcie, wy wstretne stwory, uciekajcie! - krzyknęła wysokim, piskliwym, przerażonym głosem i pomachała ręką przed oczami. Większość muszek i moskitów podfrunęła i sformowała chmurę nad jej głową. Uczucie mrowienia ustąpiło, ale skóra nadal strasznie swędziała. Pszczół na szczęście w pobliżu nie było, mimo to została solidnie pocięta. Pocięta we śnie przez wszystko, co akurat na nią trafiło i miało apetyt. Trishe swędziało

dosłownie całe ciało i bardzo chciało jej się siusiu.

Wypelzła spod pnia drzewa, oddychając ciężko i krzywiąc się. Po upadku ze zbocza zeszywniało jej całe ciało, zwłaszcza kark i lewy bark, a lewe ramię i nogę - spała na lewym boku - miała całkiem zdrtwiała. "Bezwładne jak kloda" - powiedziałaby zapewne jej matka. Dorosli, a przynajmniej dorosli z jej rodziny, znali powiedzenia na każdą okazję: "bezwładny jak kloda", "szczęśliwy jak zajac w kapuscie", "ruchliwy jak jaszczurka", "czarny jak Murzyn w piwnicy", "martwy jak..."

Nie, tego porównania nie miała zamiaru sobie przypominać, a przynajmniej nie teraz.

Trisha próbowała wstać, nie udało się jej, więc wypelzła na polankę, zataczając się lekko. Czuć powoli wracało w postaci niemilego mrowienia, przypominającego bolesne nakłuwanie igła.

-a niech to licha weźmie - wyszeptała ochryple, głównie po to, by usłyszeć swój głos. - Czarne to wszystko jak Murzyn w piwnicy.

Zatrzymała się przy strumyku, rozejrzała i musiała przyznać, że wokół wcale nie jest ciemno. Polankę oświetlał jasny, chłodny blask księżyca, wystarczająco mocny, by dostrzegła za sobą swój wyraźny cień, a na powierzchni wody srebrne iskierki. Na niebie widziała lekko zniekształcony krąg niczym srebrny glaz, za jasny niemal, by na niego patrzeć. Tej nocy księżyc przycmił światło niemal wszystkich gwiazd, z wyjątkiem tych najjasniejszych. Coś w nim, być może sama konieczność obserwowania go z takiej pozycji, sprawiło, że Trisha w pełni poczuła ciężar samotności. Wiara, że zostanie ocalona przez sam fakt, iż Gordon wykluczył trzech zawodników w koncowce dziewiątej rundy, znikła, jakby jej nigdy nie było; w końcu równie dobrze można przecież wierzyć w pukanie w niemalowane drewno, rzucanie soli przez ramię, można czynić znak krzyża świętego przed zajęciem miejsca w batterboksie, jak to ma w zwyczaju Nomar Garciaparra. Tylko że tu nie było kamer, nie było powtórek, nie było wiwatujących kibiców. Zimne piękno księżyca sugerowało, że niesłyszalne jest jednak bardziej prawdopodobne, ten bog niewiedzący, że kimkolwiek - lub czymkolwiek - jest, jest bogiem, nieinteresujący się małymi, zagubionymi w lesie dziewczynkami, w gruncie rzeczy nieinteresujący się niczym, nieprzytomny, zapatrzony w siebie bog, którego twarz przypomina chmurę muszek, a oko piękny, pusty księżyc.

Trisha pochyliliła się nad strumykiem, spryskała wodą obolałą twarz, dostrzegła swe odbicie i jękła. Uządlenie na lewej kości policzkowej jeszcze bardziej spuchło (być może podrapała je lub uraziła we śnie), przebiło warstwę zaschniętego błota niczym wulkan, wznoszący się ponad skamieniałą lawę swego poprzedniego wybuchu, sprawiło, że jej oko straciło swój naturalny kształt, wyglądało okropnie i niesamowicie; takie oczy widywało się czasem na ulicy, głównie u ludzi uposledzonych umysłowo; człowiek odwracał od nich zawsze wzrok. Reszta nie wyglądała wcale lepiej, może nawet gorzej, w miejscach uzadlonych przez osy Trisha była strasznie spuchnięta, tam zaś, gdzie ucztowały moskity, po prostu spuchnięta. Woda przy brzegu, względnie spokojna, ukazała Trishy, że

przynajmniej jeden moskit nie uciekl. Siedzial w kaciku jej prawego oka, zbyt obzarty, by chocby wyciagnac ssawke ze skory. Przez glowe dziewczynki przelecialo inne powiedzenie doroslych: "Nazarl sie do oglupienia".

Uderzyla go i moskit po prostu wybuchl. Wlasna krew splynela Trishy do oka, wilgotna i szczypiaca. Dziewczynce udalo sie nie krzyknac, ale przez zacisniete wargi wydarlo sie pelne obrzydzenia stekniecie. Trisha z niedowierzaniem popatrzyła na zaplamione krwia palce - ilez tego zmiescilo sie w jednym moskicie! Trzeba bylo dopiero zobaczyc, zeby uwierzyc!

Zanurzyla w wodzie zlozone dlonie i obmyla nimi twarz. Nie napila sie, bo pamietala skads, ze od wody z lesnych strumieni mozna zachorowac, ale dla goracej, spuchnietej skory twarzy okazala sie ona bogoslawniostwem, jak dotkniecie zimnego jedwabiu. Zaczepnela wiecej wody, obmyla nia kark, zanurzyla w niej ramiona az do lokci. Nastepnie zaczela smarowac sie blotem i tym razem nalozyla je nie tylko na uzadlenia, lecz na twarz i kark - od wyciecia podkoszulka z napisem "36 Gordon" az po krawedz wlosow. Przypomniala sobie odcinek "I Love Lucy", ktory ogladala kiedys w "Nick at Nite", Lucy i Ethel siedzialy w gabinecie kosmetycznym, obie z tymi dziwnymi maseczkami kosmetycznymi a la 1958 rok na twarzach, Desi weszla, spojrzala najpierw na jedna, potem na druga, i spytala: "Ja ssstraszenie przepraszam, ale ktora z was jest Zydowka?" Podlozono pod to taki wybuch smiechu, jakby widzowie zwariowali z radosci. Prawdopodobnie teraz Trisha bardzo je przypominala, ale nic to jej w tej chwili nie obchodzilo. Nie bylo tu widzow, nie bylo efektow smiechu, a ona nie znioslaby juz kolejnego ukaszenia. Gdyby jakis moskit ja teraz ugryzl, chybaby zwariowala.

Nacierala sie blotem przez dobre piec minut, na koncu zas delikatnie nalozyla jego warstwe na powieki. Pochylila sie nad strumieniem, by sprawdzic, jak wyglada. We wzglednie nieruchomej wodzie zobaczyla dziewietnastowieczny obraz bialej, grajacej Murzynke w swietle ksiezyca. Twarz miala ciemnoszara niczym waza wlasnie wykopana przez archeologow, a nad ta twarza wznosila sie kepka sztywnych od brudu wlosow. Oczy byly biale, zaplakane i przerazone. Wcale nie wygladala smiesznie, jak Lucy i Ethel w gabinecie kosmetycznym. Przypomniala raczej dobrze z mumifikowane zwloki, czy jak to tam nazywaja dorosli.

Przemawiajac do swego odbicia w wodzie, powiedziala:

-Maly czarny Sambo powiedzial: "I prosze, tygrysie, nie podrzyj mi mojego nowego ubranka".

Lecz to takze jej nie rozsmieszilo. Posmarowala blotem opuchniete, obolale ramiona i wlasnie miala zanurzac je w wodzie, kiedy uswiadomila sobie, ze postepuje glupio. Te cholerne wsciekle muszki po prostu znowu ja tam pogryza.

Nogi i ramiona wrocily juz prawie do stanu uzywalnosc, zdolala nawet ukucnac i zrobic

siusiu, nie przewracając się. Udało się jej także wstać i przejść kilka kroków, choć krzywiła się z bólu za każdym razem, kiedy musiała obrócić głowę choć odrobinę w prawo lub w lewo. Prawdopodobnie naciągnęła sobie mięśnie, dokładnie tak jak biedna pani Chetwynd, ich sąsiadka z tej samej ulicy, której jeden starszy pan wjechał w bagażnik, kiedy czekała na skrzyżowaniu na zmianę świateł. Temu starszemu panu nic się nie stało, ale biedna pani Chetwynd nosiła gorset przez sześć tygodni. Może i jej założy gorset, kiedy ją wreszcie znajdą? Może zabiorą ją do szpitala helikopterem z czerwonym krzyżem na kadłubie, jak w serialu "MASH", i...

"Daj sobie spokój, Trisha - powiedział przerażająco chłodny głos w jej głowie. - Gorset... to nie dla ciebie. Lot helikopterem też..."

-Stul pysk - szepnęła, ale głos nie zwrócił na nią uwagi.

"Nie zostaniesz nawet zmumifikowana - ciągnął - ponieważ oni nigdy cie nie znajdą. Umrzesz tu, będziesz wędrować po lesie, poki nie umrzesz, zwierzęta zjedzą twoje gnijące ciało i pewnego dnia jakiś myśliwy znajdzie ogryzione kości".

Było w tym coś tak przerażająco prawdziwego - podobne historie słyszała w telewizji, jak się jej teraz wydawało, raz za razem - że Trisha znów się rozplakała. Oczami wyobraźni widziała nawet myśliwego, mężczyznę w jaskrawoczerwonej wełnianej kurtce i pomarańczowej czapce, okropnie niedogolonego. Szukał miejsca odpowiedniego, by się zasadzić na jelenia, albo może takiego, w którym mogłoby się wysikac. Mężczyzna dostrzegł coś białego i pomyślał najpierw: "To tylko kamień", ale kiedy zbliżył się do tego kamienia, zobaczył, że ma on oczodoly.

-Przestan - szepnęła, wracając do powalonego drzewa i rozłożonych pod nim strzepów przeciwdeszczowego płaszcza. Zienawidziła ten płaszcz, chociaż nie potrafiła powiedzieć dlaczego, w każdym razie symbolizował dla niej wszystko, co jej się nie udało. - Przestan, proszę.

Chłodny głos nie zamierzał przestać. Chłodny głos miał jej jeszcze coś do powiedzenia. Nie wszystko naraz, po prostu coś.

"A może nie umrzesz tak po prostu? a może to coś, co tu żyje, zabije cie i pozre?"

Trisha zatrzymała się przy zwałonym pniu drzewa, zjedną ręką wyciągniętą, chwytającą zaschlą gałązkę, i nerwowo rozejrzała się dookoła. Od chwili, kiedy się obudziła, myślała wyłącznie o tym, jak strasznie swędzi ją całe ciało. Zimne błoto pomogło na swędzenie, pomogło nawet na uzadlenia os, i nagle dziewczynka zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest: w dzikim lesie, samotna, noca.

-Przynajmniej świeci księżyc - powiedziała głośno, stojąc przy drzewie i rozglądając się po swojej małej polance. Ta polanka wydała jej się mniejsza niż poprzednio, jakby krzaki i drzewa zbliżyły się do niej, kiedy spała. Zbliżyły się ukradkiem.

Swiatlo ksiezycy nie bylo tez tak wspaniale, jak poczatkowo myslala. Prawda, jasno oswietlalo polanke, ale byla to jasnoc mylaca, sprawiajaca, ze wszystko wygladalo az nazbyt rzeczywiscie, a jednocześnie zupełnie nierzeczywiscie. Cienie byly zbyt czarne, a tam, gdzie galeziami poruszal wiatr, zmienialy sie bardzo niepokojaco.

Jakies zwierzatko pisnelo w lesie, wydalo taki dzwiek, jakby zadlawilo sie swym piskiem, i ucichlo.

Gdzies daleko zahuczal puchacz.

Nieco blizej trzasnela lamana galazka.

"A to co takiego?" - pomyslala Trisha, odwracajac glowe w strone, z ktorej dobiegl ja trzask lamanej galazki. Serce, do tej pory pracujace na jalowym biegu, przyspieszylo nagle przez trucht do sprintu. Lada chwila zacznie bic rekordy i wowczas byc moze ona sama pobije rekord, spanikuje i zacznie uciekac niczym sarna przed pozarem lasu?

-To nic, ja nic nie slyszalam - powiedziala cichym, zdyszonym glosem, bardzo podobnym do glosu matki, z czego zreszta nie zdawala sobie sprawy. Nie wiedziala takze, ze w oddalonym o piecdziesiat kilometrow motelu jej matka usiadla nagle, wyrwana z przerazajacego snu, nie do konca przytomna mimo rozwartych oczu, lecz pewna, ze cos straszego zdarzylo sie jej corce albo wktrotce sie zdarzy.

"Oto cos, co slyszysz - powiedzial chlodny glos, pozornie zatroskany, w rzeczywistosci zas nieskonczenie wrecz szczesliwy. - To cos cie pragnie i jest coraz blizej. Zlapalo twoj trop".

-Nie ma zadnego czegos - oswiadczyla Trisha ostrym, wysokim glosem, zalamujacym sie, ilekrocz wlasnie mial sie podniesc. - Uspokoj sie, daj pozyc, nie ma zadnego czegos.

Niegodne zaufania swiatlo ksiezycy zmienialo kontury drzew, przekszaltalo je w nagie czaszki o czarnych oczodolach. Odglos dwoch ocierajacych o siebie galezi stal sie tesknym krzykiem potwora. Trisha odwrocila sie niezgrabnie, probujac patrzec we wszystkich kierunkach naraz, przewracajac oczami w pokrytej blotem twarzy.

"To niezwykle cos, Trisha, to cos, co czeka na tych, ktorzy zabladzili w lesie. Daje im czas, niech kreca sie w kolko, niech sie boja, strach sprawia, ze smakuja lepiej, ich miesko jest slodsze; a kiedy juz sie boja, atakuje. Zaraz zobaczysz to cos. Lada sekunda wychynie spomiedzy drzew. Lada sekunda, wiesz? a kiedy zobaczysz twarz tego czegos, oszalejesz. Jesli ktos cie uslyszy, pomysli, ze krzyczysz, ale tak naprawde bedziesz sie oczywiscie smiac. Prawda? Bo szalency zawsze sie smieja, kiedy nadchodzi kres ich zycia. Smieja sie... smieja... smieja..."

-Przestan, w lesie nie ma nic takiego, przestan, przestan, przestan!

Wyszeptała te słowa bardzo szybko, sciskając trzymaną w dłoni gałąź coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie pękła z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu startowego. Trisha podskoczyła ze strachu i krzyknęła cicho, ale ten trzask także nieco ją uspokoił, w końcu wiedziała, co trzasnęło: sucha gałąź, która w dodatku sama złamała. Potrafiła łamać galezie, przynajmniej pod tym względem panowała nad światem. Dźwięki to przecież tylko dźwięki. Cienie to tylko cienie. Może się bać, jeśli chce, może słuchać, co mówi zdradziecki głos w jej głowie, ale w lesie nie ma (niczego, niczego złego) po prostu nie ma niczego. Oczywiście żyją tu z pewnością jakieś zwierzęta, pewnie nawet w tej sekundzie rozgrywa się gdzieś gra w "zabij lub zostan zabity", ale w lesie nie ma złej rze...

Jest.

I rzeczywiście była.

W tej chwili, nie myśląc o niczym i - nieswiadomie - wstrzymując oddech, Trisha uprzytomniła sobie nagle z całą, największą pewnością, że w lesie żyje to złe. Coś złego. Nie przemawiał do niej w tej chwili żaden głos, tylko coś w niej, może jakiś zmysł stłumiony, uspiony w świecie domów, telefonów i elektryczności, a ozywający w dziewiczym lesie, przebudził się nagle. Nie widział i nie myślał, lecz czuł, i czuł, że w lesie jest coś.

-Hej! - krzyknęła wprost w oświetlone blaskiem księżyca, czarnoszare drzewa. - Hej, jest tam kto?

W motelu w Castle Rock, w pokoju, w którym zamieszkał z nią na jej prośbę, Larry McFarland siedział w piżamie na brzegu podwójnego łóżka, przytulając do siebie żonę. Choć miała ona na sobie jedynie cienką bawelnianą koszulkę nocną, a pod nią prawie na pewno nic, i choć on od przeszło roku utrzymywał stosunki seksualne wyłącznie ze swoją lewą ręką, Larry McFarland nie odczuwał pozadania, a w każdym razie nie odczuwał go w tej chwili. Quilla drżała tak, że wydawało mu się, iż ma pod swoimi dłońmi nagie mięśnie jej pleców.

-To nic takiego - powiedział. - Miałas zły sen. Obudziłaś się z koszmaru, stąd to uczucie.

-Nie! - Quilla kreciła głowę tak gwałtownie, że poczuł musnięcie jej włosów na policzku. - Nie, czuje to, jest w niebezpieczeństwie, grozi jej coś strasznego... - I rozplakała się.

Trisha nie płakała, jeszcze nie, w tej chwili była zbyt przestraszona, by płakać. Coś ją obserwowało. Coś.

-Hej! - krzyknęła.

Odpowiedziała jej cisza, lecz to coś było tam i teraz się poruszało, z lewa na prawo. Kiedy oczy dziewczynki powędrowały po ścianie lasu, kierowane wyłącznie światłem księżyca, usłyszała trzask gałązki dobiegający z miejsca, na które patrzyła. Usłyszała też cichy oddech... ale czy rzeczywiście był to cichy oddech? a może tylko szum wiatru?

"Przecież wiesz, że nie" - szepnął chłodny głos i rzeczywiście, wiedziała, że nie.

-Nie zrobi mi krzywdy - powiedziała Trisha i dopiero w tym momencie rozplakała się. - Czymkolwiek jesteś, proszę, nie skrzywdź mnie. Ja cię nie skrzywdzę, ale bardzo proszę, nie skrzywdź mnie. Jestem tylko mała dziewczynka.

Nogi ugięły się pod nią i Trisha nie tyle usiadła, ile zapadła się w sobie. Placząc i drżąc na całym ciele ze strachu, wkopła się pod zwalone drzewo niczym małe, bezbronne zwierzątko, którym rzeczywiście się stała. Nadal błagała to coś, by jej nie skrzywdziło, choć teraz już nieswiadomie. Zasłoniła się plecakiem niczym tarczą. Szloch wstrząsał jej drobnym ciałkiem, a kiedy bliżej złamała się z trzaskiem kolejna gałąź, krzyknęła. To coś nie wyszło jeszcze na polankę, ale lada chwila mogło się tam pojawić. Dosłownie lada chwila.

Czy to coś siedziało na drzewie? Poruszało się wśród splątanych gałęzi? Miało skrzydła, jak nietoperz?

Wyjrzała szczeliną między plecakiem a pniem zwalonego drzewa. Na tle oświetlonego zimnym blaskiem księżyca nieba widziała tylko splątane gałęzie drzew. Nie było wśród nich żadnego stworzenia, a przynajmniej ona żadnego stworzenia nie widziała, ale w lesie zapadła nagle absolutna cisza. Nie zacwierał ptak, nawet świerszcze nie osmieliły się cykać.

To coś, czymkolwiek było, znajdowało się bardzo blisko i właśnie podejmowało decyzję. Miało albo rozerwać ją na strzępy, albo pojsć dalej swoją drogą. Nie było ani zartem, ani sennym koszmarem, lecz sama śmierć stojąca, czająca się lub być może ukryta wśród gałęzi drzew tuż na granicy polanki, i decydowało, czy zabić ją teraz... czy może pozwolić jej jeszcze dojrzeć.

Trisha leżała, wstrzymując oddech, rozpaczliwie wtulona w plecak. Minęła wieczność, nim usłyszała trzask kolejnej łamanej gałązki, tym razem nieco dalej. Cokolwiek ją przeraziło, najwyraźniej podjęło decyzję.

Zamknęła oczy. Lzy płynęły jej spod pokrytych błotem powiek, złybiły rowki w pokrytych błotem policzkach. Kąciki ust drżały, w tej chwili Trisha nawet wolałaby być martwa. Lepiej nie żyć niż znosić taki strach, lepiej nie żyć niż zablądzić w lesie.

Trzasnęła kolejna gałązka, jeszcze dalej. Liście dygotały w powiewie, który nie był powiewem wiatru, lecz to zdarzyło się jeszcze dalej. Coś odchodziło, ale teraz wiedziała, że jest tu, w lesie, i że wróci, a na nią czekała noc niczym tysiąc kilometrów pustej autostrady.

Już nigdy nie zasne. Nigdy.

Kiedy nie mogła spać, mama mówiła, że powinna coś sobie wyobrazić. "Wyobraź sobie coś miłego - powtarzała. - To najlepsze, co możesz zrobić, jeśli sen nie chce do ciebie przyjść, Trisha".

Czy powinna wyobrazić sobie, że została uratowana? Nie, to tylko pogorszyłoby sprawę, jak wyobrażenie sobie wielkiej szklanki wody, kiedy człowiekowi chce się pic.

A jej przecież chciało się pic, bardzo chciało się pic, z czego zdała sobie sprawę dopiero teraz. Wyszła na trzaskę. "Pragnienie jest zapewne tym, co pozostaje po chwili najstraszniejszego strachu, jaki przeżyło się w życiu" - pomyślała Trisha, z pewnym wysiłkiem odwróciła plecak i rozpięła sprzaczki klapy. Byłoby jej łatwiej, gdyby siedziała, ale za skarby świata, ba, za skarby wszechświata nie wyszłaby tej nocy spod zwałonego drzewa.

"Chyba - powiedział chłodny głos - że to coś wroci i wyciągnie cię stamtąd siła".

Chwyciła butelkę wody, wypila kilka wielkich łyków, zamknęła ją i odłożyła na miejsce. Przez chwilę tęsknie wpatrywała się w zamkniętą kieszeń, w której spoczywał walkman. Bardzo chciała choć przez chwilę posłuchać radia, ale musiała przecież oszczędzać baterie. Zapięła więc plecak, nim tęsknota za ludzkim głosem stała się nie do zniesienia, a potem znowu objęła go ramionami. Nie chciało jej się już pic, więc co mogła sobie wyobrazić? Wyobraziła sobie, że tu, na lesnej polanie, jest z nią Tom Gordon, że stoi przy strumieniu w kostiumie tak białym, że aż świeci w mroku. Tom nie mógł jej strzec tak naprawdę, bo przecież go sobie tylko wyobraziła, ale mogła udawać, że tak jest. Bo i czemu nie? Jej wyobrażnia należy przecież do niej, prawda?

-Co to było to coś w lesie?

-Nie wiem - odparł Tom. Mówił tak, jakby go to wcale nie interesowało. Oczywiście mógł sobie pozwolić na to, żeby mówić tak, jakby go to wcale nie interesowało, prawda? Prawdziwy Tom Gordon był teraz trzysta kilkadziesiąt kilometrów dalej, w Bostonie, i pewnie spał smacznie za zamkniętymi drzwiami.

-Jak ty to robisz? - spytała, senna, tak senna, że nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że mówi głośno. - Znasz jakiś sekret?

-Sekret?

-Sekret, jak uratować wynik meczu - wyjaśniła. Oczywiście same jej się zamknęły

Sadziła, że Tom powie jej, iż wierzy w Boga (przecież zawsze, kiedy udało mu się uratować wynik, wskazywał palcem niebo), albo wierzy w siebie, albo po prostu robi, co może (tak kazał im postępować trener piłki nożnej, powtarzał zawsze: "Rob, co możesz, reszta przyjdzie sama"), ale numer 36, stojący przy wąskim strumyku w lesie, udzielił jej zupełnie innej odpowiedzi.

-Musisz pokonać pierwszego wybijającego - powiedział. - Musisz rzucić mu wyzwanie pierwszym narzuceniem, narzucić piłkę tak, żeby nie zdołał jej odbić. On wchodzi na stanowisko, myślc sobie: "Jestem lepszy od tego faceta". Musisz pozbawić go złudzeń, a

z tym nie wolno czekać. Najlepiej załatwić sprawę od razu. Sekret ratowania wyniku to pokazanie przeciwnikowi, że jesteś od niego lepszy.

-Jaka pilka... - "narzucasz jako pierwsza" chciała zapytać Trisha, ale nim zdążyła dokończyć pytanie, zasnęła.

W pokoju motelowym w Castle Rock jej rodzice spali także przytuleni do siebie, bo przedtem, choć wcale tego nie planowali, kochali się z pasją. ...i przyjemnością. "Gdybyś mi kiedykolwiek powiedział... - pomyślała Quilla na chwilę przed zasnięciem, a Larry, zasypiając, pomyślał: "Nie powiem ci tego za skarby świata..."

Nad ranem tego wiosennego dnia, w małym pokoiku przylegającym do pokoju rodziców, najgorzej z całej rodziny spał Pete McFarland. Jeczal, przewracał się z boku na bok, siał pod siebie przepecona pościel. Śnił mu się, że kłoci się z matką; idą lesną ścieżką, kłocąc się przez cały czas, w którymś momencie on odwraca się z obrzydzeniem (a może tylko po to, by matka nie ucieszyła się widokiem łez, które napłynęły mu do oczu) i nie widzi Trishy. Śnił kończył się w tym momencie, był niby odlamek kości, który utkwił w gardle i dusi. Pete krecił się w łóżku, starając się wykrztusić ten obraz z wyobraźni, w blasku zachodzącego księżyca jasno śnił pot na jego czole i policzkach.

Odwrocił się i nie zobaczył Trishy. Odwrócił się i nie zobaczył Trishy. Odwrócił się i nie zobaczył Trishy. Widział tylko pustą ścieżkę.

Było zupełnie tak, jakby nigdy nie miał siostry.

Piąta rozgrywka

Kiedy Trisha obudziła się rano, szyja bolała ją tak bardzo, że dziewczynka właściwie nie była w stanie odwrócić głowy, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Słońce już weszło, oświetlając swymi promieniami niewielką lesną polankę, i tylko to ją obchodziło. Czuliła się niczym nowo narodzona. Pamiętała, jak obudziła się w nocy, pamiętała, że swędziało ją całe ciało i musiała zrobić siusiu, pamiętała, jak przy świetle księżyca poszła nad strumień, by posmarować błotem ułucia i uzadlenia, pamiętała, że Tom Gordon pilnował jej, i kiedy zasypiała, opowiadała! coś o tym, jak można uratować wynik meczu. Pamiętała także, że strasznie się przeraziła czegoś w lesie, ale to przecież oczywiste, że bała się, bo była sama, w ciemności; to oczywiste, że nic jej nie obserwowało. Coś ukrytego głęboko w jej głowie próbowało protestować, ale dziewczynka nie dopuściła tego czegoś do głosu. Noc się skończyła. Nie zamierzała powracać do niej, tak jak nie zamierzała powracać do upadku ze zbocza doliny, który zakończył się przy drzewie z gniazdem os. Zaczął się nowy dzień, w całym lesie pełno już jest ekip poszukiwawczych, które z nich z pewnością ją znajdzie. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Zasługiwała na to, żeby zostać ocaloną, w końcu spędziła sama w lesie całą noc!

Wypelzła spod drzewa, popychając przed sobą plecak, wstała, włożyła czapeczkę i na

zesztywniałych nogach podeszła do strumienia. Zmyła błoto z twarzy i dłoni, przyjrzała się chmurze muszek już formującej się nad jej głową i niechętnie posmarowała się świeżą warstwą mazi. Przypomniła sobie przy tym, jak kiedyś z Pepsi, jeszcze jako małe dziewczynki, bawiły się w salon piękności. Zrobiły wówczas taki balagan w kosmetykach pani Robichaud, że mama Pepsi wyrzuciła je z domu, krzycząc, żeby się wynosiły, wynosiły jak najszybciej, nie myły się, nie wycierały, tylko wyniosły się z domu, nim ona straci cierpliwość i spierze je tak, że przez miesiąc będą spały na brzuchach. Więc wyniosły się z domu wypudrowane, wysmarowane rozem, z wymalowanymi na srebrno oczami i na fioletowo ustami, wyglądając prawdopodobnie jak najmłodsze striptizerki świata. Poszły do domu Trishy. Kiedy Quilla je zobaczyła, najpierw oniemiała ze zdumienia, potem dostała ataku śmiechu, aż się popłakała. Wzięła dziewczynki za ręce, zaprowadziła do łazienki i dała im krem, żeby jakos doprowadziły się do porządku.

-Smarujcie od dołu do góry i delikatnie, dziewczynki -powiedziała cicho Trisha.

Skonczyła z twarzy, umyła ręce w strumieniu, zjadła resztę kanapki z tunczykiem i połowę zabranych lodyżek selera. Zwinęła torebkę ze śniadaniem, czując się nieco niepewnie. Nie miała już jajka, nie miała kanapki, nie miała chipsów, miała batoników. Pozostało jej tylko połowa butelki Surge (niecałe połowa butelki), połowa butelki wody i kilka lodyżek selera.

"Nie szkodzi - powiedziała sobie, wkładając do plecaka pustą torebkę i pozostałe selery, do których dodała jeszcze podarty, brudny płaszcz przeciwdeszczowy. - Nie szkodzi, ponieważ w lesie pełno jest ekip poszukiwawczych i jedna z nich na pewno mnie znajdzie. Kolację zjem w jakiejś restauracji: hamburger, frytki, koktajl czekoladowy, wielka gorąca szarlotka". Na te myśli zaburzało jej w żołądku.

Zapakowawszy rzeczy, Trisha posmarowała błotem także ręce. Słońce oświetliło tymczasem całą polankę, zapowiadał się pogodny, upalny dzień, i w jego blasku poruszała się z powolnością. Przeciągnęła się, przebiegła kilka kroków w miejscu, żeby się rozruszać, i parę razy przekrzywiła głowę to na jedno ramię, to na drugie, przewycieczając sztywność karku. Przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując ludzkich głosów, szczekania psów, może nawet nieregularnego łoskotu łopaty wirnika helikoptera, ale usłyszała tylko stukanie dziecięcia, pracownika wygrzebującego sobie spod kory śniadanie.

"Nic nie szkodzi, mamy mnóstwo czasu - pomyślała. - Przecież to dopiero czerwiec, wiesz? a na czerwiec przypadają najdłuższe dni w roku. Idź wzdłuż strumienia. Nawet jeśli ratownicy cię nie znajdą, idąc wzdłuż strumienia, trafisz między ludzi". Ruszyła w drogę.

Powoli zbliżało się południe, a strumień nadal prowadził ją tylko i wyłącznie przez las. Robiło się z każdą chwilą goręcej. Pot rzeźbił coraz szersze strumyki na oblepiającym ciało dziewczynki błocie, duże ciemne plamy pojawiły się pod pachami koszulki z napisem "36 Gordon", na plecach również wyrosła plama w kształcie drzewa. Włosy, ubłocone tak, że Trisha wyglądała raczej na brunetkę niż blondynkę, zwisały jej nieporządnie wokół bazi. Po nadziei, z którą o siódmej ruszyła z polanki, o dziesiątej nie pozostało już prawie nic, o

jedenastej zas zdarzylo sie cos, co jeszcze bardziej pogorszylo jej samopoczucie.

Weszla wlasnie na szczyt pagorka po lagodnym tym razem, uslanym iglami i liscmi zboczu. Zatrzymala sie, by chwilke odpoczac, gdy nagle znow poczula to niechciane cos, cos, co nie mialo nic wspolnego ze swiadomoscia, niepokoja, napinajace uwage. Byla obserwowana. Nie probowala nawet wytlumaczyc sobie, ze to przywidzenie, poniewaz z cala pewnoscia byla obserwowana.

Powoli obrocila sie dookola. Nie dostrzegla niczego, lecz w lesie znow zapanowala ta dziwna cisza. Wiewiorki nie buszowaly juz w lisciach i krzakach, nie skakaly z galezi na galaz. Nie skrzeczaly sroki. Dzieciol nadal pracowicie stukal w drzewo, gdzies daleko wciaz krakaly wrony, ale poza tym bylo tak, jakby w jej najblizszym sasiedztwie pozostaly tylko bzyczace moskity.

-Kto tu jest? - krzyknela.

Oczywiscie nikt jej nie odpowiedzial, wiec zaczela schodzic z pagorka, wzdluz strumienia, przytrzymujac sie krzakow, poniewaz ziemia zrobila sie sliska. "To tylko wyobraznia" - pomyslala... ale wlasciwie byla pewna, ze nie.

Strumien zwezal sie - i tego juz z cala pewnoscia sobie nie wyobrazila. Zwezal sie stopniowo, w miare jak sledzila go wzdluz lagodnego, porosnietego sosnami zbocza, a potem wsrod drzew lisciastych, gdzie poszycie bylo za geste i zdecydowanie zbyt kolczaste, az w koncu mial najwyzej ze trzydziestci centymetrow szerokosci. Znikl wreszcie w gestej kepie krzakow. Trisha przebila sie przez nie, zamiast je obejsc, bo bala sie, ze w ogole straci go z oczu. Oczywiscie wiedziala, ze nawet jesli strumien zniknie, nie bedzie to mialo zadnego praktycznego znaczenia, poniewaz z niemal calkowita pewnoscia mogla juz powiedziec, ze nie plynie bynajmniej tam, dokad ona chce dojsc, a prawdopodobnie lada chwila w ogole przestanie plynac, ale to akurat nie robilo jej jakos rozniczy. Prawda wygladala w ten sposob, ze nie traktowala go obojetnie, ze - jak by to powiedziala matka - "wytworzyla sie miedzy nimi wiez" - i Trisha nie byla w stanie tak po prostu go zostawic. Bez strumienia bylaby tylko mala dziewczynka, zablakana w lesie i krazaca po nim bez planu. Na sama mysl o tym poczula, ze dlawi sie ze strachu, a serce zaczelo mocno bic w jej piersi.

Przedarla sie przez krzaki i strumyk znow sie pojawil. Szla wzdluz niego ze wzrokiem wbitym w ziemie i glebokim marsem na czole, skupiona niczym Sherlock Holmes tropiaczy slady psa Baskerville'ow. Nie zauwazyla, ze zmienia sie poszycie - krzakow bylo coraz mniej, za to pojawily sie paprocie - nie dostrzegla tez, ze drzewa, miedzy ktorymi wil sie jej strumyczek, byly w wiekszosci martwe. Nie zwrocila uwagi, ze ziemia pod jej stopami robi sie nieprzyjemnie miekka. Cala uwage poswiecila wylacznie strumieniowi. Szla wzdluz niego z opuszczona glowa, istny wzor skupienia wszystkich sil umyslowych na jednym celu, a kiedy strumien zaczal sie rozszerzac (bylo to okolo poludnia), pozwolila sobie nawet na odrobine nadziei: pomyslala, ze moze jednak nie zniknie, w chwile pozniej uswiadomila

sobie, że wprawdzie rzeczywiście się poszerzył, ale jest teraz znacznie płytszy, że zmienił się właściwie w rzadek następujących po sobie kaluz, w większości zarosniętych i pełnych wodnych robali, w mniej więcej dziesięć minut później stopa zapadła jej się w ziemię, choć w rzeczywistości nie była to wcale ziemia, tylko warstwa mchu rosnąca na rzadkim błocie. Błoto wlało się do buta i Trisha wyciągnęła nogę z cichym okrzykiem obrzydzenia. Musiała nia szarpnąć i reebok do połowy zjechał jej ze stopy. Krzyknęła jeszcze raz, chwyciła się pnia martwego drzewa i najpierw wytarła stopę trawą, a potem włożyła but z powrotem.

Następnie rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w upiornym lesie duchów, który splonął kiedyś, dawno temu. Przed sobą, a także wokół siebie, widziała tylko labirynt martwych drzew. Ziemia pod jej stopami była wilgotna, bagnista, z nieruchomych oczek zarosniętej wody wynurzały się niskie garby, porosnięte trawą i chwastami. Powietrze drżało wręcz od bzyczenia moskitów, tańczyły w nim chmury wazek. Słyszała co najmniej kilka stukających pracowicie dzieciolów; tyle tu było martwych drzew, ptaki musiały się strasznie spieszyć.

Jej ukochany strumyk wpłynął w bagno i znikł.

-i co mam teraz zrobić? - spytała beznadziejnie, a w jej głosie brzmiała zapowiedź leż. - Może ktoś powiedziałby mi, co powinnam zrobić?

Ze znalezieniem miejsca, gdzie mogłaby usiąść i wszystko sobie przemyśleć, nie miała kłopotu, wokół pełno było powalonych drzew, większość ze śladami ognia na białych od wilgoci pniach. Pierwsze, na którym spróbowała przysiąść, zawałiło się jednak pod jej ciężarem; spadła wprost na bagnisty grunt. Krzyknęła głośno, czując wilgoc przesączająca się przez dzinsy - Boże, jak bardzo nienawidziła mieć mokrego siedzenia! - i poderwała się na równe nogi. Drzewo przegniło na bagnie i w miejscu, w którym się obłamało, pełno było korników. Trisha przypatrywała się im przez chwilę z pełną obrzydzenia fascynacją, a potem podeszła do drugiego obalonego pnia i najpierw go sprawdziła. Robił wrażenie zdrowego, więc usiadła na nim ostrożnie, przyjrzała się bagnu, w które wpadła, nieswiadomie potarła swędzący od ugryzien komarów kark i usiłowała zdecydować, co dalej.

Nie myślała tak jasno jak wówczas, kiedy się obudziła, myślała znacznie mniej jasno, nadal jednak zdawała sobie sprawę z tego, że ma przed sobą alternatywę: może pozostać na miejscu, czekając na ekipę ratunkową, może także iść przed siebie, na jej spotkanie. Miała wrażenie, że pozostanie w miejscu nie byłoby takie całkiem głupie, nie traciłaby energii i w ogóle, a poza tym, utraciwszy strumień jako przewodnika, dokąd właściwie miałaby iść? Jedno wiedziała na pewno: że na pewno nie wie, jak wybrać właściwy kierunek. Być może każdy krok zbliża ją do cywilizacji, być może też, że ja od niej oddala. Niewykluczone również, że ona po prostu chodzi w kółko.

Z drugiej strony ("Zawsze jest jakaś druga strona, kochanie" - powiedział jej kiedyś ojciec) tu nie miała nic do jedzenia, na dodatek śmierdziało błotem i gnijącymi drzewami, i w ogóle było kompletnie do luzu. Nagle uswiadomiła sobie, że jeśli zostanie na miejscu i do wieczora

nie pojawi się pomoc, będzie musiała tutaj nocować! Co za potworna perspektywa! Mała polanka w kształcie polskiej w porównaniu z tym koszmarnym otoczeniem wydawała się po prostu rajem.

Trisha wstała i spojrzała w kierunku, w którym płynął strumyk... nim znikł. Przede wszystkim dostrzegła gestwie szarawych pni i koronki splatających się ze sobą galezi, w tle jednak zauważyła coś zielonego. Coś wznoszącego się wysoko i zielonego, a jeśli to było wzgórze? Być może nawet porośnięte golteriami? Hej, czemu nie? Przecież mijala gesty kepki ich krzaczków. Powinna je właściwie zbierać do plecaka, ale po drodze tak bardzo koncentrowała się na strumyku, że nawet jej to do głowy nie przyszło. Teraz jednak strumień znikł, a Trisha znów była głodna. Nie śmiertelnie głodna, przynajmniej jeszcze nie teraz, lecz z całą pewnością głodna.

Zrobiła dwa kroki do przodu, stąpnęła na kawałek miękkiej ziemi i z głębokim niesmakiem przyjrzała się wodzie, natychmiast wypełniającej ślad po jej reeboku. Czy ma iść dalej? Czy ma iść dalej wyłącznie dlatego, że wydawało się jej, iż widzi drugą stronę?

-Moga tu być lotne piaski - powiedziała do siebie.

"Ależ oczywiście - zgodził się z nią natychmiast chłodny głos w jej głowie. Wydawał się rozbawiony. - Lotne piaski! Krokodyl! Żeby już nie wspomnieć o małych szarych ludzikach z <<Z archiwum X>>, wtykających ci sondy w pupę".

Cofnęła się kilka kroków, usiadła i znów rozważała sytuację. Nieswiadomie przygryzała dolną wargę. Nie widziała wirujących jej nad głową owadów. Iść czy zostać? Zostać czy iść?

Dziesięć minut później ruszyła przed siebie, kierowana ślepa nadzieją... i myślą o jagodach. Niech to diabli, była już prawie gotowa jeść liście! Oczami wyobraźni ujrzała sama siebie, zbierającą jaskrawoczerwone golterie na zboczu przyjemnego, zielonego wzgórza, niczym dziewczynka z ilustracji w podręczniku (zapomniała już o błocie na twarzy i potarganych, brudnych włosach). Tak, oczami wyobraźni ujrzała sama siebie, zbierającą golterie, wspinającą się na szczyt pagórka, spoglądającą ze szczytu i widzącą...

"...drogę" - pomyślała. Zwykła gruntowa droga z żywopłotami po obu stronach... konie pasące się na łące, a w oddali stodoła. Czerwona stodoła z pomalowanymi na biało deskami na rogach.

Zwariowała. Oglupiała z kretelem.

Ale... czy naprawdę zwariowała? a może zaledwie pół godziny marszu dzieli ją od bezpiecznego miejsca, nadal zagubiona w lesie, bo boi się zrobić te kilka kroków.

-Doskonale - powiedziała głośno, wstając i nerwowo poprawiając paski plecaka. - Doskonale, idziemy na jagody.

Ale jeśli zrobi się zbyt obrzydliwie, wracam. - Po raz ostatni sprawdziła, czy paski trzymają się mocno, po czym ruszyła przed siebie, ostrożnie, przy każdym kroku sprawdzając spójność ziemi, szerokim łukiem omijając stojące jeszcze martwe drzewa i leżące na ziemi stosy przegniłych gałęzi.

Szła tak może z pół godziny, może czterdzieści minut, nim wreszcie odkryła to, co przed nią odkryły tysiące, a może nawet miliony ludzi: kiedy robi się zbyt obrzydliwie, najczęściej za późno jest również, by wrócić. Przeniosła nogę z wilgotnego, lecz dość twardego kawałka ziemi na garb, który wcale nie był garbem, lecz tylko go udawał, i jej stopa zanurzyła się w zimnym obrzydlistwie, za gestym na wodę, ale za rzadkim na błoto. Straciła równowagę, złapała wystającą suchą gałąź, krzyknęła ze strachu i obrzydzenia, kiedy ta gałąź pękła jej w reku, i padła na splachetek trawy, na której roily się robale. Podciągnęła kolano do piersi i zdołała wyrwać stopę z mazi. Stopa z niej wyszła, ale reebok utkwil tam na dobre.

-Nie! - krzyknęła Trisha tak przeraźliwie, że na jej głos poderwał się w powietrze wielki biały ptak, podciągając pod siebie długie czarne łapy, w innym miejscu i innym czasie Trisha przyglądałaby mu się z pełnym zdumieniem zachwytem, w tej chwili jednak załedwie go zauważyła. Obrocila się na klockach - prawa noga pokryta miała aż po kolano Isniaca czarna mazia - i zanurzyła dłoń w wypełniająca się błyskawicznie wodą dziurę w ziemi, w której jeszcze przed chwilą tkwiła jej stopa.

-Nie dostaniesz go! - krzyczała. - Jest mój i ty go nie dostaniesz!

Macala w grzaskim błocie, zrywając te korzenie, które były wystarczająco cienkie, by je zerwać, i omijając te, których zerwać nie zdołała. Coś najwyraźniej w świetle żywego otarło się jej o dłoń, w chwili później złapała but i wydołała go na światło dzienne. Przyjrzała mu się, wypełnionemu i całkowicie pokrytemu błotem: but z błota w sam raz dla dziewczynki z błota, błoto z błotem, "totalne gie", jak zwykle mawiać Pepsi, i rozplakala się. Kiedy przechyliła reebok, z jego wnętrza polala się czarna ciecz, i na ten widok Trisha rozesmiała się. Przez kilka chwil siedziała na wżgorku względnie twardej ziemi, trzymając na kolanach brudny but, śmiejąc się i płacząc na przemian, mała dziewczynka, będąca jądrem wszechświata muszek i moskitów, strzeżona przez martwe drzewa, wśród których niezmordowanie cykały świerszcze.

Przestała w końcu płakać i tylko szlochala, przestała się śmiać i tylko prychała z rzadka, bez wesołości. Trawa oczyszczała reebok z zewnątrz najlepiej, jak tylko się dało, następnie zaś otworzyła plecak, wyjęła pustą torebkę na śniadanie i użyła jej, niby papierowego ręcznika, do wytarcia środka. Kawalki mokrego papieru zgniatała i wyrzucała za siebie. Jeśli ktoś zechce ją aresztować za śmiecenie w tym obrzydliwym i obrzydliwie śmierdzącym miejscu, proszę bardzo, niech aresztuje.

Wstała, nadal trzymając w dłoni ocalony z bagna but, rozejrzała się dookoła i tylko jęknęła: "O, kurwa!" Poraz pierwszy w życiu wypowiedziała głośno to właśnie słowo (Pepsi mówiła

je czasami na głos, ale Pepsi to Pepsi i tyle). Widziała teraz wyraźnie to coś zielonego, co poprzednio wzięła za wzgórze, i okazało się, że to tylko wysepki względnie suchej ziemi, nic więcej niż małe wysepki. Pomiedzy nimi była tylko stojąca, porosnięta rzesza woda i drzewa, w większości martwe, choć kilka miało jeszcze na szczycie zielone kępy liści. Słyszała kumkanie żab, i nigdzie nie było żadnego wzgórza. Ze zwykłego podmokłego lasu trafiła na bagno, z deszczu pod rynnę.

Odwrociła się, spojrzała za siebie, nie potrafiła jednak powiedzieć, w którym miejscu weszła w to piekło. Gdyby pomyślała, oznaczyła miejsce, z którego ruszyła, czymś jaskrawym, choćby kawalkiem okropnego, starego podartego płaszcza przeciwdeszczowego, mogłaby próbować wrócić. Nie pomyślała o tym jednak - i tyle.

"Przecież możesz przynajmniej spróbować - tłumaczyła sobie. - Znasz mniej więcej kierunek, w którym powinnas iść".

Może tak, może nie, ale Trisha nie miała zamiaru powtarzać błędów, z powodu którego w ogóle znalazła się w tej sytuacji.

Spojrzała przed siebie. Względnie suchych wysepek w bagnie było sporo, słońce odbijało się w stojącej pomiędzy nimi wodzie. Nie brakowało też drzew, których mogłaby się przytrzymać. No i bagno musiało się gdzieś kończyć, prawda?

"To szalenstwo choćby myśleć o tym".

Jasne. Sama sytuacja jest szalona.

Trisha nie ruszała się jeszcze przez chwilę. Myślała o Tomie Gordonie i o tym, jak Tom specjalnie nieruchomieje, jak stoi na stanowisku, obserwując kogoś z chwytających Czerwonych Skarpet, Hatteberga lub Yeriteka, i czekając, aż dadzą mu znak. Stał nieporuszony (i ona teraz stała tak jak Tom), i ten bezruch wydawał się promieniować z jego ramion, otulać go jak płaszcz, a potem Gordon przyjmował pozycję i narzucał. "Ma w zylach wodę z lodem" - powtarzał tata.

Bardzo pragnęła wydostać się stąd, przede wszystkim z tego okropnego bagna, a potem z tego okropnego lasu, pragnęła wrócić tam, gdzie są ludzie, sklepy, centra handlowe i gdzie przyjazny pan policjant wskazuje ci drogę, jeśli się zgubiła, i wydawało jej się, że ma na to szansę. Jeśli będzie dzielna. Jeśli w jej żyłach płynie choć odrobina dobrej, starej wody z lodem.

Trisha poruszyła się wreszcie. Zdjęła drugi but, związała sznurowadła obu i przewiesiła je przez szyję, tak że przypominały ciężarki starego zegara. Przez chwilę wahała się nad skarpetkami, ale postanowiła zostawić je na nogach - był to swego rodzaju kompromis (przez głowę przeleciało jej słowo: "zabezpieczenie"). Podwinęła nogawki dzinsów do kolan, wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

-McFarland odchyła ramię, McFarland narzuca - powiedziała. Poprawiła czapeczkę Czerwonych Skarpet i obrocila ją daszkiem do tyłu, bo tak było fajniej, po czym ruszyła przed siebie.

Przestępowała z wysepki na wysepke ostrożnie i rozważnie, od czasu do czasu podnosząc głowę, wybierając sobie kolejne punkty orientacyjne i podążając w ich kierunku, dokładnie tak, jak to robiła wczoraj. "Tylko że dziś nie wpadnę w panikę, nie będę biec na ślepo - myślała. - Dzisiaj w moich żyłach płynie woda z lodem".

Minęła godzina, a potem druga. Ziemia pod jej nogami nie twardniała bynajmniej, wręcz przeciwnie, robiła się coraz bardziej grzaska, w końcu pozostało tylko bagno i rozrzucone tu i owdzie pagorki. Trisha przechodziła z jednego na drugi, tam gdzie mogła, przytrzymując się galezi i krzaków, gdzie indziej rozposcierając szeroko ramiona niczym tancerka na linie. Dotarła wreszcie na miejsce, gdzie nie było żadnego pagorka, na który mogłaby choćby przeskoczyć. Wahała się przez chwilę, zacisnęła zęby i weszła do stojącej wody, płosząc setki unoszących się na jej powierzchni owadów. Poruszona woda, która nie sięgała jej do kolan, śmierdziała słodkim rozkładem. Trisha deptała po czymś, co wydawało jej się chłodną, nierówną galareta. Na powierzchni wody pojawiły się żółtawe bąble, w których wirowały czarne kawałki nie wiadomo czego.

-Obrzydliwe - jęknęła, kierując się w stronę najbliższego garbu. - Obrzydliwe, obrzydliwe, obrzydliwe.

Parła przed siebie chwiejnymi krokami, z których każdy kończył się szarpnięciem, kiedy próbowała wyciągnąć ugrzeszła w wodzie stopę. Próbowała nie myśleć o tym, co się zdarzy, gdy noga utkwi jej na dobre w swinstwach na dnie, a ona zacznie się zapadać w bagno.

-Obrzydliwe, obrzydliwe, obrzydliwe - powtarzała raz po raz, aż stało się to dla niej czymś w rodzaju zaklecia. Pot ściekał jej po twarzy wielkimi ciepłymi kroplami, szczypał w oczy. Świerzcze darły się na jednej, przeraźliwie wysokiej nucie. Ze wzgórka, który miał się stać jej następnym przystankiem, zeskoczyły trzy zaby, jedna po drugiej, plum, plum, plum.

-a gdzie Buweiser? - spytała i uśmiechnęła się słabo.

W żółto-czarnej, otaczającej ją mazi pływały tysiące kijanek. Kiedy na nie patrzyła, nadepnęła nagle na coś twardego i śliskiego, może galaz? Przeszła nad nią jakos i dotarła do pagorka. Dysząc ciężko, wspięła się nań i przede wszystkim obejrzała ociekającą mazią stopy i łydki, spodziewając się znaleźć na nich mnóstwo pijawek albo czegoś jeszcze gorszego, nie było jednak nic, a przynajmniej niczego nie znalazła, niemniej upaprzała się aż po kolana. Zdjęła skarpetki, całe czarne; biała skóra pod nimi wyglądała bardziej jak skarpetki niż same skarpetki. Wydawało jej się to tak zabawne, że wybuchnęła histerycznym śmiechem. Podparła się na łokciach, odrzuciła głowę do tyłu i wręcz wyla ze śmiechu, choć wcale nie chciała się tak śmiać, nie chciała śmiać się (śmiechem szalenca) jak idiotka, ale przez dłuższy czas po prostu nie mogła przestać. Uspokoili ją wreszcie, włożyła skarpetki

i wstala. Przygladala sie czekajacej ja drodze, oslaniajac oczy rekami, dostrzegla charakterystyczne drzewo z gruba nizsza galezia, odlamana i zanurzona w wodzie, i zdecydowala, ze bedzie ono jej kolejnym celem.

-McFarland odwodzi reke, McFarland narzuca - powiedziala zmeczonym glosem, ruszajac przed siebie. Nie myslala juz o jagodach, chciala po prostu wydostac sie z tego bagna w jednym kawalku.

Jest taka chwila, w ktorej, zdani sami na siebie, ludzie przestaja zyc, a staraja sie zaledwie przezyc. Ciało, które wykorzystalo wszystkie dostepne zrodla energii, zaczyna korzystac z wlasnych zapasow. Powoli przestaje sie myslec. Zdolnosc postrzegania swiata zaweza sie, lecz to, co jeszcze sie dostrzega, widzi sie niezwykle jasno. Kontury rzeczy sprawiaja wrazenie zamazanych. Podczas drugiego popoludnia w lesie Trisha McFarland zblizyla sie do granicy pomiedzy zyciem a przezyciem.

To, ze kieruje sie w tej chwili wprost na zachod, nie niepokoilo jej, zakladala (prawdopodobnie slusnie), ze w najlepszym wypadku stac ja wylacznie na to, by maszerowac w jednym kierunku, obojetne w ktorym. Byla glodna, ale i z tego nie zdawala sobie wlasciwie sprawy, zbyt usilnie koncentrowala sie na tym, by isc w linii prostej. Gdyby w ktoryms momencie skrecila w ktorakolwiek strone, pewnie pozostalaby na bagnie az do zmierzchu, a myśli o tym po prostu nie byla w stanie zniesc. Raz przystanela i napila sie wody z butelki, a okolo czwartej dokonczyla Surge, prawie tego nieswiadoma.

Martwe drzewa przestawaly powoli wygladac jak drzewa, wydawaly sie raczej starymi, pokreconymi, zlowrogimi straznikami o stopach zanurzonych w ciemnej wodzie. "Niedlugo zacne rozrozniac ich twarze" - pomyslala. Mijala wlasnie jedno z nich (w odleglosci dobrych dziesieciu metrow w kazda strone nie bylo zadnych pagorkow), kiedy znow potknela sie o zatopiony korzen lub galaz i tym razem przewrocila sie, machajac rekami i dlawiac sie. Do ust Trishy dostala sie brudna, zgrzytajaca w zebach woda; wyplula ja z krzykiem. Widziala swe rece pod jej powierzchnia, byly zolte, woskowe, jak cos, co utonelo bardzo dawno temu. Wyciagnela je blyskawicznie i uniosla do gory.

-Nic mi nie jest - powiedziala szybkim, zdyszanyim glosem i byla niemal swiadoma tego, ze przekracza jakas bardzo wazna granice, jakby przekroczyła granice obcego kraju, w ktorym mowi sie nieznanym, dziwnym jezykiem, a pieniadze wygladaja zabawnie. Wszystko sie zmienialo. Ale...

-Nic mi nie jest - powtorzyla. - Tak, nic mi nie jest. - No i udalo jej sie nie zamoczyc plecaka, a to bylo bardzo wazne, poniewaz w plecaku miala walkmana, a walkman stanowil jedyna wiez z rzeczywistym swiatem.

Brudna, w przemoczonym z przodu podkoszulku, Trisha uparcie parla przed siebie. Jej nowym celem bylo uschle drzewo, ktorego pien pekl tak, ze teraz wygladalo jak czarna litera Y na tle zachodzacego slonca. Po drodze minela wzgorek, ale tylko nan spojrzala i

poszła dalej. Po co jej jakiś wzgórek? Szybciej było brnąć przez wodę. Obrzydzenie, jakim przepelniało ją chłodne, galaretowate dno, też zelzało. Jeśli człowiek musi, przyzwyczai się do wszystkiego. Dopiero teraz się o tym dowiedziała.

Niedługo po tym, jak przewrocila się po raz pierwszy, znow zaczęła rozmawiać z Tomem Gordonem. Najpierw wydało się jej to straszne, wręcz niesamowite, lecz w miarę jak upływały długie godziny popołudnia, traciła rezerwy i wreszcie przemawiała do niego całkiem naturalnie, opowiadając, co obrala sobie jako kolejny cel, tłumacząc mu, że bagno powstało najprawdopodobniej wskutek pożaru lasu, upewniając go, że wkrótce się stąd wydostana, że tak dalej być nie może. Mówiła mu też, że ma nadzieję, iż w dzisiejszym meczu Czerwone Skarpety dokonają dwudziestu pełnych obiegów, więc będzie mogła sobie odpoczywać na ławce... i nagle przerwała.

-Słyszysz? - spytała.

Nie wiedziała, jak Tom, ale ona z całą pewnością słyszała regularne "lup, lup, lup" łopatek wirnika helikoptera. Dobiegało z daleka, ale tego dźwięku nie sposób było pomylić z żadnym innym. Kiedy go usłyszała, odpoczywała właśnie na jednym z pagórków. Poderwała się na równe nogi, obrocila o trzysta sześćdziesiąt stopni, dłoń osłoniła zmrużone, białe w horyzont oczy, ale nie dostrzegła niczego i dźwięk wkrótce umilkł.

-o cholera - powiedziała, niepocieszona. No, ale przynajmniej nadal jej szukano. Zabija siedzącego na karku moskita i ruszyła w dalszą drogę.

Dziesięć, może piętnaście minut później, w brudnych, rozpadających się skarpetach stojąc na na wpol zanurzonym pniu, patrzyła przed siebie, zdumiona i zaskoczona. Za granicą nierównej linii połamanych drzew, na której się teraz znajdowała, bagno otwierało się w szeroki, płytki staw. Na jego środku dostrzegła linie wzgórek... ale były one jakies inne, brązowe, utworzone chyba z połamanych i pogryzionych galezi. Na szczytach kilku z nich siedziały wpatrzone w nią tłuste, również brązowe zwierzątka.

Powoli, bardzo powoli, zmarszczki na czole Trishy wygładziły się. Zapomniała o tym, że ciągle jeszcze znajduje się na bagnie, że jest mokra, zablocona i śmiertelnie zmęczona, zapomniała o tym, że zablądziła w lesie.

-Tom - powiedziała cichym, lekko zdyszonym głosem. - To przecież bobry siedzące na zeremiach, czy jak to się tam nazywa. To bobry, prawda, Tom?

Wspięła się na palce. Trwała nieruchomo, przytrzymując się galezi drzewa, by nie stracić równowagi, wpatrzone z zachwytem w staw. Bobry siedziały na swoich domkach i... czyżby ją obserwowały? Najwyraźniej tak, a zwłaszcza ten pośrodku, większy od innych. Miała wrażenie, że nie spuszcza czarnych oczek z jej twarzy. Miały wasy i wspaniałe ciemnobrązowe futerko, rudawe na tłustym zadzie. Wyglądał jak z ilustracji do "O czym szumia wierzb".

W koncu Trisha zesła z korzenia i poszła dalej, ciągnąc cien daleko za sobą. Wódz Bobrow (tak o nim myślała) natychmiast wstał, cofnął się, aż pupa dotknął wody, i klasnął w jej powierzchnię ogonem, w gorącym, nieruchomym powietrzu ten ostry dźwięk zabrzmiał donośnie niczym wystrzał. Niemal w tej samej chwili wszystkie bobry zeskoczyły ze swych domków, zgodnie i równo niczym jakiś balet na wodzie. Trisha wpatrywała się w nie ze złożonymi na piersiach dłońmi i szerokim uśmiechem na buzi. Była to jedna z najbardziej zdumiewających rzeczy, jakie widziała w życiu, no i doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdy nie uda się jej nikomu wyjaśnić, dlaczego Wódz Bobrow przypominał jej starego, mądrego nauczyciela albo kogos takiego.

-Tom, spojrz! - Rozesmiała się, wyciągając rękę. - Spojrz na wodę. Tam są. Tak, właśnie tam!

Na powierzchni ciemnej, brudnej wody pojawiły się fale w kształcie litery V, oddalające się od bobrowych zeremi. Nagle znikły i Trisha postanowiła iść dalej. Skierowała się na większy od innych pagórek, porośnięty paprociami niczym potarganymi włosami. Podchodziła do niego po łuku, nie wprost. Spotkanie z bobrami było po prostu wspaniałe -jak by powiedziała Pepsi, "doskonale cudowne" - ale nie miała szczególnej ochoty na spotkanie z bobrami pływającymi pod wodą. Oglądała obrazki i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nawet nieduże bobry mają wielkie zęby. Kilka razy zapiszczała cicho, ocierając się o zatopione pasmo trawy czy chwast, najzupełniej pewna, że to Wódz Bobrow lub któryś z jego sług pragnie skłonić ją, by wyniosła się z okolicy.

Mając bobrowe apartamenty po prawej, zbliżyła się do wielkiego wzniesienia i w miarę jak się do niego zbliżała, w jej sercu rosła nadzieja. Ciemnozielone paprocie nie były po prostu paprociami, jadła takie paprocie od trzech lat, z matką i babką; przed sobą, jeśli wzrok jej nie mylił, miała przed sobą właśnie jadalne liście małych paproci, w Sanford skończyły się już przed miesiącem, ale mama wytłumaczyła jej, że w glebi łąki dojrzewają później i na bagnach można je spotkać aż do lipca. Trudno było uwierzyć, że w tym okropnym i śmierdzącym zakątku świata dało się znaleźć coś dobrego, ale po kilku krokach miała niemal całkowitą pewność - wzniesienia porastały jadalne liście paproci, a jadalne liście paproci są wspaniałe. Nawet Pete, co na całej drodze życia nie spotkał warzywa, które by mu smakowało (wyjawszy może mrożony groszek ...Birds Eye", przeprowadzony przez mikrofalówkę), jadł pędy jadalnej paproci.

Trisha nadal powtarzała sobie, że nie powinna spodziewać się cudu, nie minęło jednak pięć minut od chwili, gdy dostrzegła tę wysepkę, a już wiedziała, że się nie myli. Nie miała przed sobą tylko nieco większego wzniesienia, lecz prawdziwą Paprociową Wyspę. Wystarczyło jednak jeszcze kilka kroków, by uświadomiła sobie, że powinna ją nazwać raczej Wyspą Owadzia. Oczywiście dookoła wszędzie pełno było owadów, a jednak, pokrywając się od czasu świeżym błotem, właściwie o nich zapominała... do tej chwili. Powietrze nad Paprociową Wyspą aż od nich wirowało, i to nie tylko od małych muszek, lecz także zwykłych dużych much. Słyszała już ich uroczyste, niskie brzęczenie.

Kilka kroków przed wysepka zatrzymała się nagle, nie zwracając uwagi nawet na to, że stopy zapadają jej się w ukryty pod wodą mul. Rosliny po tej stronie wysepki były poszarpane i zdeptane, tu i tam po wodzie pływały wyrwane z korzeniami paprocie. Nieco dalej na tle zieleni widziała jaskrawe czerwone plamy.

-Nie podoba mi się to - szepnęła i zamiast iść wprost przed siebie, skreśliła lekko w lewo. Paprocie paprociami, ale na tej wyspie było jakieś stworzenie martwe lub ciężko ranne. Może bobry walczyły między sobą o żony czy coś takiego? Nie była na razie wystarczająco głodna, by podczas zbierania paproci ryzykować spotkanie z rannym bobrem, w ten sposób można łatwo stracić rekę albo oko.

W połowie drogi wokół wyspy paproci zatrzymała się nagle. Nie chciała patrzeć na to, co widziała, ale w pierwszej chwili nie była w stanie oderwać od tego czegoś wzroku.

-Tom, Tom - jęknęła wysokim, drzacym głosem. - Och, Tom, jakie to okropne.

Patrzyła na oderwany łeb jelonka. Stoczył się on po zboczu wysepki, pozostawiając po sobie ślad krwi i pogniecionych paproci, i leżał teraz pyszczkiem w dół na samej granicy wody. Nad oczami unosił się roj muszek, kark obsiadły większe muchy w takiej ilości, że ich brzęczenie przypominało warkot niewielkiego silnika.

-Widzę jego język - powiedziała do siebie Trisha głosem, który jej samej wydał się cichy, dobiegał słabym echem z bardzo daleka.

Odblask słońca na wodzie stał się nagle zbyt jaskrawy i dziewczynka poczuła, jak nogi się pod nią uginają.

-Nie - szepnęła - nie pozwól mi na to, nie mogę...

Choć mówiła ciszej, jej głos wydawał się bliższy, dzwiczniejszy. Jaskrawy przed chwilą blask słońca już nie raził w oczy. Dzięki Bogu, z pewnością nie pragnęła zemdlec, stojąc po pas w zatechłej, nieruchomej wodzie. Nie naje się paproci, ale także nie zemdleje. Jakas równowaga została niemal zachowana.

Ruszyła przed siebie, szybciej i nie zwracając już aż takiej uwagi na to, czy stawia nogę na stabilnym podłożu. Szła krokiem przesadnie chwiejnym, mocno pracując biodrami, jej ramiona krótkimi łukami poruszały się na zmianę w przód i w tył. Gdyby miała na sobie kostium, wyglądałaby chyba jak gość dnia w "Workout with Wendy". "Słuchajcie wszyscy, dziś będziemy mieć zupełnie nowe ćwiczenie. Nazwałam je: <<Ucieczka przed urwanym łbem jelonka>>. Poruszajcie biodrami, napijcie mięśnie pośladków, pracujcie ramionami!"

Patrzyła wprost przed siebie, nie mogła jednak po prostu nie słyszeć ciężkiego, sytego brzęczenia much. Co zabiło jelonka? z całą pewnością nie bobr. Żaden bobr nie urwał nigdy łba jelonkowi, niezależnie od tego, jak ostre miał zęby.

"Przecież znasz odpowiedź na to pytanie - odezwał się w jej głowie chłodny głos. - To coś. To wyjątkowe coś. To coś, co obserwuje cię w tej chwili".

-Co za cholera, przecież nic mnie nie obserwuje - wydyszała Trisha. Zaryzykowała, obejrzała się przez ramię i z radością przyjęła widok oddalającej się, coraz mniejszej wyspy paproci. Nie oddalała się ona jednak wystarczająco szybko. Po raz ostatni dziewczynka dostrzegła leżący tuż nad wodą urwany łeb, brązowy kształt z ruchomym, brzęczącym naszyjnikiem much. - Nic mnie nie obserwuje, gówno prawda, no nie, Tom?

Ale Tom jej nie odpowiedział. Tom nie mógł jej odpowiedzieć. Tom był teraz prawdopodobnie na Fenway Park, zartując z kolegami z drużyny, wkładając czystki, biały stroj gospodarzy meczu. Tom Gordon, który siedział z nią przez bagno... przez to niekonczące się bagno... był tylko czymś w rodzaju homeopatycznego lekarstwa na samotność. Bo ona była przecież samotna.

"Ależ skąd, kochanie, ależ skąd. Przecież wcale nie jesteś samotna".

Trisha bała się strasznie, że ten chłodny głos, nie będący przecież jej przyjacielem, mówi jednak prawdę. Znowu doznawała uczucia, że coś ją obserwuje, i było to uczucie znacznie silniejsze niż poprzednio. Próbowala przypisać je nerwom (każdemu zszargalby nerwy widok urwanej głowy jelonka), i prawie jej się to udało, lecz natrafiła na swej drodze na drzewo z kilkoma długimi, pionowymi nacieciami na obumarłej korze. Zupełnie jakby coś bardzo dużego i w bardzo złym humorze zamachnęło się na nie, przechodząc obok!

-Mój Boże, przecież to ślady po pazurach - powiedziała Trisha.

"To coś już na ciebie czeka. Wyprzedziło cię i czeka, z pazurami i całą resztą".

Przed sobą dziewczynka widziała jeszcze więcej tego samego: nieruchomej, zarosniętej wody i wznoszących się nad nią pagórków, a dalej kolejny, większy wzgórek (ale już raz została w ten sposób oszukana). Nie widziała natomiast żadnego potwora... lecz potwora nie miała oczywiście zobaczyć, prawda? Potwór robił zapewne to, co robią wszystkie potwory, nim rzuci się na ofiarę, jest na to nawet właściwe słowo, ale Trisha była zbyt zmęczona, przerażona i w ogóle czuła się zbyt okropnie, by je teraz pamiętać.

"Czają się - podpowiedział jej chłodny głos. - Właśnie tak, to właśnie robią, czają się. Tak, mała. Czają się, zwłaszcza te niezwykle, jak twój nowy przyjaciel".

-Czają się - wychrypiła Trisha. - Otoż to, tak właśnie brzmi to słowo. Dziękuję ci.

Ruszyła przed siebie, ponieważ zaszła już zbyt daleko, by wracać. Nawet jeśli tam, z przodu, coś czekało, żeby ją zabić, zaszła za daleko, żeby się teraz cofać.

Tym razem to, co wyglądało na stały grunt, okazało się rzeczywiście stałym gruntem. Trisha przyjęła początkowo ten fakt z niedowierzaniem, ale kiedy, postępując krok po

kroku, nadal nie widziała pasm wody między gestymi krzakami i niewysokimi drzewami, zaczęła nabierać nadziei. Woda, przez którą brnęła, także była płytsza, sięgała jej zaledwie do kostek, nie do kolan czy nawet ud. No i jadalne paprocie rosły na co najmniej dwóch pagórkach w zasięgu jej wzroku. Nie było ich aż tyle, ile na wyspie paproci, zerwała jednak te, które mogła zerwać, i od razu zjadła. Były słodkie, pozostawiały jednak w ustach lekko kwaśny posmak. Jak świeże warzywa; Trisha musiała przyznać, że są naprawdę wspaniałe. Zebrałaby trochę na zapas, do plecaka... gdyby rosło ich więcej. Ale nie rosło. Nie martwiło jej to, cieszyła się tym, co ma, z prawdziwie dziecięca, prostą radością. Na razie miała tyle, ile jej było potrzeba, o resztę zatroszczy się później. Pozerając paprocie, przede wszystkim miękkie pędy, a potem twardsze łodygi, wydostała się na stały grunt. Nie zwracała już uwagi na wszechobecne bagno, nie czuła poprzedniego obrzydzenia.

Sięgnęła po kilka ostatnich paproci rosnących na wzniesieniu i zamarła. Znowu usłyszała niskie, monotonne bzyczenie much, tym razem znacznie głośniejsze. Chętnie ominęłyby owady, gdyby mogła, ale wysychające bagno pozostawiło po sobie gestwe zatopionych gałęzi i splatanych krzaków. Przez ten labirynt biegła najwyraźniej tylko jedna w miarę dostępna droga, która po prostu musiała iść, jeśli nie chciała spędzić dwóch dodatkowych godzin, przedzierając się przez podwodne zatory, najprawdopodobniej kosztem pociętych stop.

Nawet w tym wąskim kanale zmuszona została do przejścia przez leżące drzewo. Runoło ono najwyraźniej całkiem niedawno - zresztą "runoło" nie było tu właściwym słowem. Trisha dostrzegła na pniu kolejne ślady pazurów i chociaż zasłaniały go krzaki, widziała świeże, białe ślady na martwej korze. Drzewo musiało zastąpić czemś drogie, a to coś po prostu usunęło z niej przeszkodę, łamiąc ją jak wykalaczkę.

Brzeczanie much stawało się coraz wyraźniejsze. Resztką jelonka - w każdym razie większość reszty jelonka - leżała wśród wyjątkowo gęstego skupiska jadalnych paproci, tuż koło miejsca, w którym Trisha, śmiertelnie zmordowana, wypelzła wreszcie z bagna. Leżała w dwóch częściach, połączonych cienkim pasemkiem obleganym przez muchy wewnątrz. Oderwana noga zwierzęcia stała oparta o pień najbliższego drzewa niczym łaska staruszka.

Trisha przykryła usta grzbietem prawej dłoni i przyspieszyła kroku, dławiąc się, próbując usilnie nie patrzeć na to, co zobaczyła, i całym wysiłkiem woli powstrzymując się od mdłości. Być może stworzenie, które zabiło jelonka, pragnęło, by wymiotowała. Czy to możliwe? Jakies jej racjonalne "ja" (a pozostało go jeszcze całkiem sporo) odpowiadało "nie", miała jednak wrażenie, że to coś z rozmysłem i umyślnie zniszczyło miejsca, w których jadalne paprocie rosły najobficiej i najgęściej, okrutnie zabijając w tym celu niewinnego jelonka. Jeśli rzeczywiście było do tego zdolne, czy niemożliwe jest, że chce także, by wymiotowała te odrobiny jedzenia, która udało jej się spożyć po drodze?

"Ależ oczywiście. To przecież całkiem możliwe. Nie udawaj idiotki. Daj sobie spokój. I, na miłość boską, nie rzygaj".

Dławiła się niczym w napadzie zdrowej, dziecięcej czkawki, ale coraz rzadziej. Szła dalej na zachód i teraz, kiedy słońce wisiało nisko nad horyzontem, utrzymanie właściwego kierunku nie sprawiało jej najmniejszych problemów. Bzyczenie much cichło powoli, a kiedy wreszcie ucichło zupełnie, Trisha przystanęła, zdjęła skarpetki i włożyła reeboki na boso nogi. Wyzwała skarpetki, po czym przyjrzała się im uważnie. Nie zapomniała jeszcze, jak wkładała je w domu, w Sanford; siedziała na łozku, wciągała je i podśpiewywała: "Obejmij mnie... bo chce się do ciebie przytulić". Był to przeboj "Boyz To Da Maxx"; obie z Pepsy uważały, że "Boyz To Da Maxx" są fajni jak nikt inny, a już zwłaszcza Adam. Pamiętała, jak promień słońca układał się na podłodze. Pamiętała wiszący na ścianie plakat z "Titanica". Wspomnienie o tym, jak wkładała skarpetki, siedząc na brzegu łozka w pokoju, pozostało w jej pamięci bardzo jasne, lecz także bardzo odległe. Prawdopodobnie starzy ludzie, na przykład dziadek, w ten sposób wspominają czasy, kiedy byli dziećmi. Skarpetki były w tej chwili niczym więcej niż zbiorem dziur utrzymywanych w kupie przez cienkie nitki, co omal nie wywołało kolejnego ataku płaczu (być może spowodowanego tym, że sama Trisha czuła się jak zbiór dziur trzymany w kupie przez cienkie nitki), ale i płacz udało jej się opanować. Zwinęła skarpetki i wsunęła je do plecaka. Zaciskała paski klapy, kiedy znowu usłyszała loskot helikoptera, i tym razem hałas był niewątpliwie bliższy. Zerwała się na równe nogi i obrocila tak gwałtownie, że podarte ubranie aż załopotalo wokół niej, i rzeczywiście, tam, na wschodzie, na tle błękitnego nieba dostrzegła dwa niewielkie czarne punkciki, jako żywo przypominające wazki z Bagna Zabitego Jelonka. Wydało jej się bez sensu wymachiwać do nich ramionami i krzyczeć, znajdowały się mniej więcej miliard kilometrów od niej, ale i tak wymachiwała ramionami i krzyczała, jakos nie potrafiła się powstrzymać. Przestała dopiero wówczas, gdy uswiadomiła sobie, jak bardzo boli ją gardło.

-Popatrz tylko, Tom - powiedziała, śledząc ich lot z lewa na prawo, czyli... zaraz... z północy na południe. - Popatrz, nadal próbują mnie znaleźć. Gdyby tylko przyleciały nieco bliżej...

Ale helikoptery nie przyleciały nieco bliżej. Znikły za ścianą lasu, Trisha zaś pozostała w miejscu, w którym stała, czekając, aż loskot rotora ucichnie w pieśni cykających swierszczy. Następnie westchnęła głęboko i przykleknęła, by zawiązać sznurowadła. Najważniejsze, że nie czuła, aby coś ją obserwowało.

"Wstretna klamczucho - powiedział chłodny głos, najwyraźniej rozbawiony. - Och, ty wstretna klamczucho!"

Ale Trisha nie kłamała, a przynajmniej nie kłamała świadomie. Była tak zmęczona, tak niepewna siebie, że właściwie nie wiedziała, co czuje... tyle że nadal dokuczały jej głód i pragnienie. Teraz, kiedy oddaliła się nieco od bagna i smrodu (by nie wspomnieć już o rozdartym ciele jelonka), bardzo wyraźnie czuła głód i pragnienie. Uznała nagle, że właściwie mogłaby wrócić, nazbierać pedów jadalnej paproci, z całą pewnością potrafiłaby ominąć zwłoki jelonka, a przynajmniej te najgorsze, najbardziej krwawe ochłapy...

Pomyślała też o Pepsi, która czasem niecierpliwiała się, gdy jej przyjaciółka zraniła się w kolano, kiedy jeździły na rolkach, albo spadła z galezi, kiedy wspinały się na drzewo. Widząc łzy w jej oczach, mówiła najczęściej: "Nie próbuj grać przede mną małej dziewczynki, McFarland". Bog wie, że nie powinna udawać małej dziewczynki nawet wobec ciała zabitego jelonka, nie w sytuacji, w jakiej się znalazła, ale...

...ale bała się, że to coś, co zabiło jelonka, może być gdzieś tu, w pobliżu, obserwując ją i czekając, z nadzieją, że sama do niego przyjdzie.

Jeśli zaś chodzi o picie wody z bagna, również mogłaby być mądrzejsza. Zwykły brud to jedno, martwe owady i jajeczka moskitów to coś zupełnie innego. Czy moskity mogą wylegnąć się w żołądku człowieka? Prawdopodobnie nie, ale Trisha nie miała najmniejszej, ale to najmniejszej ochoty tego sprawdzać.

-Pewnie znajdzie jeszcze mnóstwo jadalnych paproci - powiedziała do siebie. - Prawda, Tom? Żeby już nie wspomnieć o golteriach.

Tom nie odpowiedział, a Trisha, zamiast zastanawiać się i myśleć, znów ruszyła przed siebie. Szła trzy godziny; najpierw powoli, potem nieco szybciej, znalazła się bowiem w wyższym, starszym lesie. Bolały ją nogi i krzyż, ale nie zwracała większej uwagi na te dolegliwości. Nie przejmowała się nawet tym, że jest głodna, w miarę bowiem jak światło dnia zrobiło się najpierw złote, a potem czerwone, coraz bardziej chciało jej się pic. Gardło miała suche i obolale, język szorstki i jakby zapiaszczony. Przeklinała siebie za to, że nie napiła się wody z bagna, kiedy miała okazję, i raz nawet zatrzymała się, myśląc: "Pieprze wszystko i wracam".

"Lepiej nie próbuj, kochanie - powiedział zimny głos. - Nie znajdziesz drogi, nie ma mowy, a nawet gdybyś miała szczęście i wrocila prosiutko po własnych śladach, nim dojdiesz na miejsce, zapadnie zmrok... a kto wie, co może się czać w ciemności?"

-Och, zamknij się - odparła głośno. - Zamknij się, ty głupia stara suko. - Ale oczywiście głupia stara suka miała rację. Trisha odwróciła się w kierunku pomarańczowego już słońca i ruszyła przed siebie, w tej chwili bardzo bała się pragnienia, jeśli tak okropnie dokucza jej o osmej, co będzie o północy? a w ogóle jak długo można żyć bez wody? Nie pamiętała, choć dowiedziała się kiedyś tego przy jakiejś okazji, na pewno, w każdym razie krocej niż bez jedzenia.

Jak to jest umrzeć z pragnienia?

-Nie umre z pragnienia w tym cholernym, obrzydliwym lesie, prawda, Tom? - spytała, ale Tom jej nie odpowiedział. Prawdziwy Tom Gordon prawdopodobnie obserwował w tej chwili gre. Tim Wakefield, sprytny specjalista od kreconych pilek, przeciw młodemu leworecznemu wybijajacemu Jankesów, Andy'emu Pettitte'owi. Gardło bolało ją coraz bardziej, aż trudno jej było przelykać. Przypomniła sobie padający deszcz (podobnie jak

wspomnienie o wkładaniu skarpetek rano, także obraz deszczu wydał się jej jednocześnie wyraźny i daleki) i pomyślała, że byłoby miło, gdyby teraz także spadł. Wyszłaby na ulewę i tańczyła z wyciągniętymi do nieba rękami i otwartymi ustami, tańczyłaby jak Snoopy na szczycie budy.

Przedzierała się wśród świerków i sosen, wyższych i stojących w większej odległości od siebie, w miarę jak las robił się starszy. Przez galezie przedzierały się promienie zachodzącego słońca, coraz bardziej poziome, o coraz głębszym kolorze. Gdyby nie była tak spragniona, podziwiałaby drzewa oświetlone pomarańczowo-złotym blaskiem za ich piękno... nawet cierpiąca, jednak to piękno zauważyła. Tylko że światło wydawało się zbyt jaskrawe. Krew pulsowała jej w skroniach, głowa bolała, miała też uczucie, że gardło przebija ją ostre igły.

W tej sytuacji szum płynącej wody potraktowała w pierwszej chwili jako halucynację. Bo to przecież nie mogła być prawdziwa woda, takie cuda się nie zdarzają. Niemniej jednak skreśliła w kierunku tego dźwięku i szła teraz na południowy zachód, a nie dokładnie na zachód, pochylając się, kiedy przechodziła pod niskimi galeziami, i przelazła przez zwalone nie niczym w hipnotycznym transie, a kiedy szum płynącej wody stał się zbyt głośny, by pomylić go z czymkolwiek innym, zaczęła biec. Dwukrotnie poslizgnęła się na miękkim podłożu z igiel, a raz przebiegła przez kepe pokrzyw, które parzyły jej ramiona i grzbiet dłoni, ale nawet tego nie poczuła, w dziesięć minut od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszała niewyraźny szmer płynącej wody, dobiegła nad strome zbocze małego wąwozu, w którym spod cienkiej warstwy ziemi i dywanu igiel widac było skałę macierzystą w postaci szeregu szarych kamiennych wzniesień. Nieco niżej, rzęski i bystry, płynął nowy strumień, w porównaniu z którym tamten pierwszy, kończący się na bagnach, przypominał stróżkę wody wyciekającą z ogrodowego weza, kiedy zamknie się kran.

Trisha szła wzdłuż krawędzi wąwozu, całkowicie nieswiadoma tego, co robi, chociaż, gdyby się poslizgnęła, spadłaby dobre siedem metrów w dół i być może by się zabiła. Pięć minut marszu w górę strumienia zawiodło ją do czegoś w rodzaju przewężenia między granicą lasu i korytem strumyka, naturalnego kanału, wysłanego liśćmi i igłami gromadzącymi się tu od dziesięcioleci.

Usiadła w tym miejscu ze spuszczone nogami i przesuwała się powoli w przód, aż wreszcie zajęła odpowiednią pozycję do zjazdu, niczym dziecko siedzące na zjeżdżalni. Po czym ruszyła w dół, ciągnąc za sobą ręce i używając nog jako hamulców. Mniej więcej w połowie drogi przestała kontrolować zjazd, nie próbowała się jednak zatrzymać, wówczas bowiem niemal na pewno zaczęłaby wywijać fikolki, jak poprzednio, lecz położyła się po prostu, splótła dłonie nad głową, zamknęła oczy i miała nadzieję, że nie stanie jej się nic złego.

Dojechała na dół szybko, choć nie bez przygod. Prawym biodrem zahaczyła o jeden z wystających kamieni, inny kamień uderzył w chroniące głowę, splecione palce tak mocno, że niemal straciła w nich czucie. Pomyślała później, że gdyby nie osłoniła głowy,

prawdopodobnie rozciąłby ją do krwi, a pewnie nawet jeszcze gorzej. "Na złamanie karku" - to kolejne powiedzenie dorosłych pochodziło ze skarbnicy mądrości babci McFarland.

Wyhamowała na dnie gwałtownie, z hukiem, i nagle poczuła w reebokach lodowato zimną wodę. Wyciągnęła je z niej, obróciła się, padła na brzuch i pila, aż poczuła, jak w czoło wbija się jej ostry drut; takiego uczucia doznał chyba każdy, kto kiedykolwiek, w upał, zbyt szybko jadł lody. Podniosła ubłoconą, ociekającą wodą twarz i spojrzała w ciemniejące niebo, dysząc i usmiechając się błogo. Czy kiedykolwiek woda smakowała jej aż tak? Nie. Nic nigdy nie smakowało jej nawet w przybliżeniu tak wspaniale, ta woda była klasa sama dla siebie. Znow zanurzyła w niej twarz i znow pila, w końcu uklekła, beknęła zdrowo i radosnie, a potem rozesmiała się niepewnie. Brzuch miała nabrzmiąły, twarde jak beben. Na razie przynajmniej wcale nie czuła głodu.

Zbocze wawozu było zbyt strome i zbyt śliskie, by zdołała wydostać się po nim na górę; być może zdołałaby wspiąć się do jego połowy lub nawet wyżej, lecz w końcu z pewnością zjechałaby z powrotem. Po drugiej stronie strumyka sprawa wyglądała jednak znacznie lepiej, tu także zbocze było strome i zalesione, z mniejszą jednak ilością krzaków, no i widziała kamienie, na których z łatwością dałoby się oprzeć stopy. Mogła przemaszerować jeszcze ładny kawałek przed zapadnięciem zmroku, dlaczego nie? Teraz, z brzuchem pełnym wody, znow czuła się silna, cudownie silna, i pewna siebie. Przeszła bagna, znalazła kolejny strumień. Dobry strumień.

"Doskonale, ale co z tym niezwykłym czymś?" - spytał chłodny głos, i Trisha znow się go przeraziła. To, co mówił, było wystarczająco straszne, straszniejsze wydawało się jej jednak, że odkryła coś tak mrocznego i groźnego w sobie samej. "Zapomniałaś o tym niezwykłym czymś?"

-Jeśli w ogóle istnieje to niezwykle coś - powiedziała głośno - to już odeszło. Może wróciło do jelonka.

I pewnie była to prawda, w każdym razie mogło się tak wydawać. Znikło gdzieś wrażenie, że jest obserwowana, a być może nawet śledzona. Chłodny głos doskonale o tym wiedział i dlatego się nie odzywał. Trisha odkryła, że potrafi nawet wyobrazić sobie, jak wygląda jego właścicielka: twarda, słodka mała dziewczyneczka, przypadkowo i niespodziewanie trochę do niej podobna (podobienstwo takie jak między dalekimi kuzynkami). Odchodziła teraz sztywno wyprostowana, z zacisniętymi pięściami, istny portret urazonej niewinności.

-Właśnie, idź sobie i więcej nie wracaj - powiedziała Trisha głośno. - Nie przestraszysz mnie. - Umilkła na chwilę, po czym zakończyła: - Pieprz się! - No proszę, znow to powiedziała, słowo, które Pepsi nazywała "okropnym swinstwem", i wcale nie było jej z tego powodu głupio. Potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak czestuje nim Petera, kiedy brat zaczął sprzedawać jej całe to gówno o Malden podczas powrotu ze szkoły. Malden to i Malden tamto, tata to i tata tamto, a co będzie, jeśli zamiast słuchać go uważnie, udając współczucie, albo dostać napadu dobrego humoru, zartować, śmiać się i zmieniać temat,

ona rzuci po prostu: "Hej, Pete, pieprz się i postaraj się sam sobie z tym poradzić"? Powie mu: "Pieprz się, ty głupi kretynie", ot tak, najzupełniej swobodnie. Widziała go nawet oczami wyobraźni, widziała, jak gapi się na nią ze szczeka opadła na piers, i zachichotała.

Wstała, podeszła do strumienia, znalazła cztery kamienie, po których mogłaby przejść, i po kolei rzucała je do wody. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, ruszyła przed siebie z biegiem wody. Wąwóz schodził w dół coraz bardziej stromo, strumień hałasował wesoło w skalistym korycie, więc gdy wreszcie dotarła do miejsca, które wydawało się jej względnie płaskie, postanowiła zostać tu na noc. Zrobiło się już ciemno, las był pełen cieni; idąc dalej, ryzykowałyby upadek. Poza tym nie było tutaj wcale tak źle, przynajmniej widziała niebo.

-Te owady sa jednak okropne - powiedziala glosno, odpedzajac moskity krazace wokol twarzy i zabijajac kilka, ktore znalazly dostep do skory na karku. Podeszla do strumienia, chcac nabrac swiezego blota, ale - cha, cha, los zakpil sobie z ciebie, dziewczynko - nie miala skad go wziac. Kamieni bylo wokol pelno, blota ani sladu. Na chwile przysiadla w kucki, podczas gdy muszki wykonywaly skomplikowane manewry w szyku przed jej oczami, przemyslala sobie wszystko i skinela glowa. Oczyszcila z igiel kawalek gruntu, poslugujac sie krawedziami dloni, dotarla do warstwy ziemi i napelnila butelke woda ze strumienia. Nastepnie z ziemi i wody ugniotla bloto palcami, uwazajac to za doskonala zabawe. Myslala przy tym o babci Anderson, o tym, jak w kuchni babci Anderson w niedzielne poranki zagniatala ciasto na chleb, stojac na stolku, bo kuchenny blat byl dla niej za wysoki. Ta mazia wysmarowala twarz. Kiedy skonczyła, bylo juz prawie ciemno. Wstala, wcierajac teraz bloto w ramiona, i rozejrzala sie dookola. Nie znalazla wprawdzie zadnego wygodnego, przewroconego drzewa, pod ktorym moglaby spac, ale jakies szesc metrow dalej, po tej stronie strumienia, dostrzegla kilka martwych sosnowych galezi. Podciagnela je do wysokiej jodly stojacej blisko wody i oparla o jej pien niczym odwrocone do gory nogami wachlarze. Powstalo dzieki temu miejsce, do ktorego mogla wpelznac, cos w rodzaju szalasu. Jesli tych galezi nie przewroci wiatr, ona przespi noc w calkiem znosnych warunkach.

Kiedy niosla dwie ostatnie galezie, poczula charakterystyczny bol brzucha. Przystanela na chwile, z jedna galezia w prawej rece, a druga w lewej, i czekala, co bedzie dalej. Bol przeszedl po chwili, minelo takze ssanie w zoladku, lecz nadal nie czula sie zbyt dobrze. Coz, czula sie niepewnie. Babcia Anderson czesto

mowila, ze czuje sie niepewnie, ale miala wtedy na mysli to, ze jest zdenerwowana, a Trisha wlasciwie wcale nie czula sie zdenerwowana. Prawde mowiac, sama nie wiedziala dokladnie, o co chodzi.

"Wszystko przez te wode - powiedzial chlodny glos. - Cos bylo w wodzie, skarbie. Najprawdopodobniej umrzesz przed wschodem slonca".

-Jesli mam umrzec, umre - oznajmila, dorzucajac ostatnie dwie galezie do zaimprovizowanego szalasu. - Bardzo chcialo mi sie pic. Nie potrafilam sie powstrzymac.

Zdjela plecak, postawila go na ziemi i bardzo ostroznie wyjela walkmana. Wlozyla na glowe sluchawki i wlaczyła go. WCAS dalo sie slyszec bez wiekszych problemow, ale sygnal nie byl tak silny jak poprzedniej nocy. Trisha poczula sie dziwnie; niemal udalo sie jej wyjsc poza zasieg stacji radiowej, zupełnie tak, jak czasami wyjezdza sie z jej zasiegu podczas dluzszej podrozy samochodem. Dziwne to bylo, doprawdy dziwne. Tak dziwne, ze znow poczula ssanie w zoladku.

-Doskonale - powiedzial Joe Castiglione. Jego glos byl niewyraźny, płaski, jakby dobiegal z bardzo duzej odleglosci. - Mo na stanowisku, zaczynamy czwarta runde.

Nagle Trisha poczula ssanie nie tylko w zoladku, takze w gardle. Dostala czkawki. Zdolala jeszcze odtoczyc sie od szalasu i kleknac, po czym zwymiotowala w cien miedzy dwoma drzewami, lewa reka trzymajac sie jednego z nich, prawa zas przyciskajac do zoladka.

Pozostala w tej pozycji, dyszac ciezko i spluwajac, by pozbyc sie smaku na wpol przetrawionych jadalnych paproci, ostrego i kwasnego, Mo tymczasem chybil trzy wybicia. Nastepny byl Troy O'Leary.

-No coz, Czerwone Skarpety znalazly sie w pozycji nie do pozazdroszczenia - wtracil Troop. - Przegrywaja siedem do jednego na poczatku czwartej, a Andy Pettitte wlasnie narzucil prawdziwe чудо.

-o kurka wodna! - krzyknela Trisha i znow zwymiotowala. Nie widziala, czym wymiotuje, na to bylo za ciemno; i bardzo dobrze, miala jednak wrazenie, ze to nic konkretnego, raczej jakas ciecz niz konkretna rzecz. Te dwa slowa prawie sie rymowaly, "ciecz" i "rzecz", i na te mysl zoladek znow jej sie skrecil. Nadal na kolanach, wycofala sie spomiedzy drzew, gdzie wymiotowala, i nagle poczula kurcze, cos znacznie gorszego niz poprzednio.

-o kurka wodna! - wrzasnela, rozpaczliwie szarpiac guzik dzinsow. Byla pewna, byla absolutnie pewna, ze nie zdazy, ale okazalo sie, ze jednak zdolala sciagnac dzinsy i majteczki wystarczajaco nisko, by zeszly z linii strzalu. Wszystko, co moglo, wylalo sie z niej goracym strumieniem. Znow krzyknela i jakis ptak odpowiedzial na ten krzyk, jakby ja drwiaco przedrzeznial. Kiedy wreszcie wszystko sie skonczylo, sprobowala wstac i nagle zakrecilo jej sie w glowie. Stracila rownowage, siadajac dokladnie w tym, co zrobila.

-Zabladzilam i siedze we wlasnej kupie - powiedziala cicho. Po policzkach ciekly jej lzy, lecz jednoczesnie sie smiala, ta sytuacja bowiem wydawala sie jej zabawna. "Zabladzilam i rzeczywiscie siedze we wlasnej kupie" - pomyslala. Wstala, placzac i smiejac

się na przemian, z dzinsami i majteczkami przy kostkach (spodnie były podarte na obu kolanach i sztywne od błota, ale udało się ich nie zabrudzić kupa, przynajmniej na razie). Zdjęła jedno i drugie, po czym podeszła do strumyka, naga od pasa w dół, trzymając walkmana w dłoni. Kiedy straciła równowagę, siadając we własnej kupie, Troy O'Leary zdołał przesunąć bazowego o baze, gdy zaś wchodziła na bosaka do lodowatej wody, Jim Leyritz wykluczył dwóch. Kompletnie wariactwo.

Pochyliła się, umyła pupę, plecy i uda.

-To przez tę wodę, Tom - powiedziała. - To przez tę cholerną wodę, ale co właściwie powinnam zrobić? Tylko popatrz, co się stało!

Gdy wreszcie wyszła ze strumienia, stopy miała zdrewniałe, pupę także, przynajmniej jednak była czysta. Ubrała się i właśnie zapinała dzinsy, kiedy znowu poczuła skurcz żołądka, w dwóch długich susach znalazła się pomiędzy drzewami, złapała się szybko tego samego, co przedtem i - oczywiście - zwymiotowała. Tym razem nie miała już w żołądku niczego choćby odrobiny stałego, czuła się zupełnie tak, jakby wyrzuciła z siebie dwa kubki gorącej wody. Pochyliła się i oparła czoło na chropawej, lepkiej sosnowej korze. Przez chwilę wyobrazała sobie, że na drzewie wisi znak, taki, jaki ludzie wieszają czasami na domkach letniskowych: "Rzygawka Trishy". Rozesmiała się, ale to nie był dobry śmiech. Tymczasem poprzez powietrze, wprost ze świata, który tak lekkomyślnie uznawała za swój, dobiegł do niej dobrze znany śpiewny sygnał reklamowy: "Zadzwoń 1-800-54-GIANT".

I znowu żołądek wydawał się na zmianę to kurczyć, to rozkurczać.

-Nie - powiedziała, nie odrywając czola od drzewa. Oczy miała zamknięte. - Nie, proszę, tylko nie to. Pomóż mi, Boże, niech to się więcej nie zdarzy.

"Oszczędzaj tchu - powiedział chłodny głos. - Nie ma sensu modlić się do Niesłyszalnego".

Ten skurcz zelzał jednak bez nieprzyjemnych konsekwencji. Trisha wróciła do swego szalasu; szła powoli na osłabłych, uginających się nogach. Krzyż bolal ją od pochylania się, mięśnie brzucha miała przedziwnie napięte i bardzo gorąca skóra. Pomyślała, że pewnie ma gorączkę.

W Czerwonych Skarpetach do narzucania wyszedł Derek Lowe. Jorge Posada trzykrotnie wybił na prawe zapole. Trisha wpełzła do szalasu, bardzo uważając, by nie otrzec się o którąś z gałęzi ramieniem lub biodrem, bo gdyby się otarła, cała konstrukcja zapewne natychmiast by się zawaliła. Kiedy znowu będzie "musiała się pośpieszyć" (w każdym razie tak mówiła mama, Pepsi nazywała to raczej "wyciskaniem soczku Hersheya" albo "kibelkowa polka"), prawdopodobnie i tak ją za wali, na razie jednak miała coś w rodzaju dachu nad głową.

Chuck Knobloch wybił coś, co Troop nazwał "baaardzo wysoka i baaardzo szybka piłka". Darren Bragg złapał ją, ale Posada zdobył punkt. Osiem do jednego dla Jankeesów. Można powiedzieć, że ma dzisiaj dobrą passę, ma dzisiaj bardzo dobrą passę.

-"Co robisz, gdy w samochodzie peknie ci szyba? - zanuciła pod nosem, leżąc na warstwie sosnowych igiel. - Dzwonisz 1-800-54-GI..."

Nagle dostała dreszczy. Nie czuła już gorączki, lecz przejmujący chłód. Złapała się pokrytymi błotem palcami za pokryte błotem ramiona i skuliła z nadzieją, że nie zwali sobie na głowę tak troskliwie poukładanych galezi.

-Woda - jeknela. - Ta cholerna obrzydliwa woda, nie tknie więcej tej cholerniej obrzydliwej wody.

Czerwone Skarpety, które przegrywały w tej chwili osiem do pięciu, wypełniły bazy i w końcu dziewiątej miały tylko jednego wykluczonego. Nomar Garciaparra wybił daleko na środek pola. Gdyby wyautował, Skarpety wygrałyby dziewięć do osmiu, ale Bernie Williams wyskoczył tuż przed ławkami zawodników i zdołał złapać piłkę. Skarpetom udało się jeszcze wybić na jedną bazę, ale tylko na to było ich stac. Na boisko wyszedł O'Leary, wybijając przeciw Mariano Riverze, i tak skończyło się to nieszczególne spotkanie. Trisha natychmiast wyłączyła walkmana, oszczędzając w ten sposób baterie. Potem, leżąc z głową na złożonych ramionach, rozplakała się cicho, rozpaczliwie i bezsilnie. Bolał ją brzuch, miała rozwolnienie, Skarpety przegrały, a Tom Gordon nie wyszedł nawet na to głupie boisko! Co za gówniane życie.

W momencie kiedy Trisha poddała się i po raz drugi pila ze strumienia, w koszarach policji stanowej stanu Maine w Castle Rock zadzwonił telefon. Na magnetofon, który rejestrował wszystkie przyjmowane połączenia, nagrana została następująca rozmowa:

Początek rozmowy: godzina 21.46.

Dzwoniący: Dziewczynka której szukacie, została porwana ze

szlaku przez Francisca Raynonda Mazzerole'a, na początku "M" jak mikroskop. Ma trzydziści sześć lat, krótkie włosy ufarbowane na blond, nosi okulary. Zapisaliscie?

Telefonista: Proszę pana, czy mogę prosić...

Dzwoniący: Niech pan się zamknie i słucha. Mazzerole prowadzi niebieską polciezarówkę Forda, ten model nazywa się chyba Econohne. Zdążył już dojechać co najmniej do Connecticut. To kawał chorego sukina. Sprawdźcie w swoich aktach, to sami się przekonacie. Jeśli dziewczynka nie będzie mu sprawiać kłopotów, popieprzy ją parę dni, więc być może macie trochę czasu, ale potem ją zabije. Robił to przedtem.

Telefonista: Proszę pana, czy ma pan może numer rejestracyjny...

Dzwoniący: Dostaliście nazwisko i opis samochodu. Macie wszystko, czego potrzebujecie. Robił to przedtem.

Telefonista: Proszę pana...

Dzwoniący: Mam nadzieję, że go zabijecie.

Koniec rozmowy: 21.48.

Udało się ustalić, że rozmowę prowadzono z budki telefonicznej w Old Orchard Beach. Nic to nie dało.

Okolo drugiej nad ranem, w trzy godziny po tym, jak policja stanów Massachusetts, Connecticut, Nowy Jork i New Jersey rozpoczęła poszukiwanie niebieskiej polciezarówki marki Ford, prowadzonej przez mężczyznę o krótkich jasnych włosach, w

okularach, Trisha obudziła się, czując mdłości i skurcze żołądka. Zawałowała się, wpełzając z niego, sięgnęła dzinsy i majteczki i wydalila coś, co wydawało się jej jakąś niesamowitą ilością słabego kwasu. Pupa bolała ją, paliła i swędziała, zupełnie jakby usiadła na niej w pokrzywach. Kiedy skończyła, podpełzła do "Rzygawki Trishy" i po raz kolejny objęła to samo drzewo. Skóra miała gorąca, włosy zlepione potem, ale zarazem drżała na całym ciele i szczekała zębami.

"Boże, proszę, może już wymiotować. Boże, proszę. Jeśli zacznę znowu wymiotować, umrę".

Wówczas właśnie po raz pierwszy rzeczywiście zobaczyła Toma Gordona. Stał najwyżej dwadzieścia metrów od niej, a jego biały strój wydawał się płonąć w świetle świecącego przez drzewa księżyca. Na dłoni miał rękawice. Prawą rękę schował za plecy; wiedziała, że trzyma w niej piłkę, że obraca ją długimi palcami, wyczuwając szwy, i że przestanie to robić dopiero wówczas, gdy palce znajdą się dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć, a chwyt będzie doskonały.

-Tom - szepnęła - nie dali ci dziś szansy, prawda?

Tom w ogóle jej nie zauważył. Czekal na znak. Czekal w bezruchu, bezruch spływał mu z ramion i okrywał go jak płaszcz. Stał w świetle księżyca tak rzeczywisty, jak skaleczenia na jej ramionach, tak prawdziwy, jak szarpnięcie żołądkiem i przelykiem mdłości, całe to okropienstwo. Był nieruchomy i czekał na znak. Nie doskonale nieruchomy, schowana za plecami dłoń cały czas obracała piłkę, obracała piłkę, szukając najlepszego chwytu, ale tego ruchu nie było widac, tak, miała, Tom, wcielenie bezruchu czekające na znak. Zastanowiła się, czy ona też by tak mogła,

czy mogłaby znieruchomiec i czekać, aż dreszcze i skurcze żołądka spłyną po niej jak woda po gęsi, stać nieruchomo, ukryć to, co porusza się w jej żołądku.

Trzymając się kurczowo drzewa, spróbowała. Nie stało się to od razu (tata lubił powtarzać, że nic, co dobre, nie zdarza się od razu), ale jednak się stało: poczuła wewnętrzny spokój, błogosławiony bezruch. Bardzo długo stała tak, nieruchoma. Czy wybijający zechce zejść ze stanowiska, ponieważ uzna, że przerwa między narzuceniami jest za długa? Jeśli tak, to świetnie. Jej to nie dotyczyło, niech robi, co chce. Ona stała, nieruchoma; była wcielonym bezruchem i czekała tylko na właściwy znak i właściwy chwyt piłki. Bezruch spływał jej z ramion, uspokajał, pomagał się skoncentrować.

Dreszcze zlagodniały, a potem uspokoiły się całkowicie, w pewnej chwili uswiadomiła sobie, że żołądek też przestał jej dokuczać. Nadal bolał trochę, ale już nie tak jak poprzednio. Księżyc zaszedł. Tom Gordon znikł. Oczywiście tak naprawdę nigdy go tam nie było, wiedziała o tym doskonale, mimo wszystko...

-Tym razem wyglądał naprawdę zupełnie jak żywy -wychrypiała. -
Tak żywy jak rzeczywistość.

Oderwała się od drzewa i powoli wróciła na miejsce, gdzie stał niegdyś jej szalasy. Choć pragnęła tylko skulić się na sosnowych igłach i zasnąć, odbudowała schronienie gałęzi po galezi, po czym do niego wpełzła, w pięć minut później spała już jak zabita, a kiedy spała, coś podeszło, by ją obserwować, i obserwowało bardzo długo. Poruszyło się, dopiero gdy na niebie, na wschodzie, pojawiła się linia światła... ale nie odeszło daleko.

Szosta rozgrywka

Kiedy Trisha się obudziła, ptaki śpiewały głośno i pewnie, słońce zaś świeciło jasno, mocno; najprawdopodobniej był już późny rano. Być może spałaby jeszcze dłużej, ale poczuła głód. Czula go, niczym wielka ssaka proznie od gardła aż do kolan, pośrodku zaś bolał, po prostu bolał. Zupełnie jakby ktoś szczypał ją w brzuch. Trishę przeraziło to uczucie. Wcześniej bywała już przecież głodna, ale nigdy tak głodna, by bolało. Wypelzła z szalasu, przewracając oczywiście galezie, wstała i pochyłona, trzymając dłonie na krzyżu, chwiejnym krokiem podeszła do strumienia. Prawdopodobnie wyglądała jak prababka Pepsi Robichaud, głucha i chora na artretyzm do tego stopnia, że nie mogła się poruszać bez specjalnego wózka. Pepsi nazywała ją Jeczaca Babcia. Trisha ukleknęła przy brzegu, podparła się dłońmi i piła jak koń z koryta. Jeśli będzie później chorować, a prawdopodobnie będzie, cóż, trudno. Musiała czymś napelnić pusty żołądek.

Wstała, rozejrzała się tępo dookoła, podciągnęła dzinsy (dawno, dawno temu, kiedy wkładała je w sypialni domu w Sanford, pasowały jak ulał, ale teraz były na nią za luźne) i ruszyła w dół, z biegiem strumienia. Nie miała już nadziei, że wyprowadzi ją z lasu, chciała po prostu oddalić się od "Rzygawki Trishy"; na to z pewnością było ją stać.

Przeszła może sto kroków, kiedy twarda slicznotka przemówiła. "Zapomniałaś o czymś, prawda, kochanie?" Twarda slicznotka wydawała się nieco zniechęcona, ale jej głos był po dawnemu ironiczny, chłodny. No i oczywiście miała także racje. Trisha stanęła na chwilę z opuszczoną głową (splątane włosy zasłoniły jej buzię), zawróciła i ruszyła powoli pod górę. Po drodze do

miejsca, w którym spędziła noc, musiała przystawać dwukrotnie, by dać odpoczynek walacemu jak oszalałemu sercu. Przeraziła ją własna słabość.

Napełniła butelkę wodą, schowała ją oraz smętne pozostałości płaszcza przeciwdeszczowego do plecaka, podniosła go, westchnęła z rozpaczą, taki był ciężki ("Przecież nic w nim nie ma, do diabła" - pomyślała) i znowu ruszyła przed siebie. Szła powoli, pociągając nogami, i choć droga prowadziła w dół, i tak musiała przystawać mniej więcej co kwadrans. Bolała ją głowa. Wszystkie kolory wydawały jej się zbyt jaskrawe, a kiedy na gałęzi wrzasnęła sówka, dźwięk ten przeszył uszy niczym ostrą igłą. Udawała, że jest z nią Tom Gordon, że dotrzymuje jej towarzystwa, a po jakimś czasie nie musiała już wcale udawać. Tom siedział przy niej i choć wiedziała, że jest halucynacją, w słońcu wyglądał na tak samo rzeczywistego, jak przy księżycu.

Okolo południa Trisha potknęła się o kamień i przewróciła wprost na rozrosłe, kolczaste, splątane krzaki jeżyn. Leżała, z trudem łapiąc oddech, a serce waliło jej tak mocno, że przed oczami widziała tańczące w jego rytm białe iskierki. Spróbowała wstać, ale nie starczyło jej na to siły. Poczekala chwilę, przymknęła oczy, znieruchomiała, szukając wewnętrznego spokoju i spróbowała po raz drugi. Tym razem odczepiła się jakos od krzaka, ale kiedy usiłowała się podnieść, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i doprawdy trudno było im się dziwić, w ciągu ostatnich czterdziestu osmiu godzin zjadła jajko na twardo, kanapkę z tunczykiem, dwa batoniki i kilka pedów jadalnej paproci a po drodze miała jeszcze rozwolnienie i wymiotowała.

-Umre w tym lesie, Tom, prawda? - spytała spokojnym, normalnym, wyraźnym głosem.

Odpowiedziala jej cisza, wiec podniosla glowe i rozejrzala sie dookola. Numer 36 znikl. Podeszla do strumienia i znow napila sie wody. Nie miala zadnych klopotow zoladkowych. Nie wiedziala, czy dlatego, ze jej organizm przyzwyczail sie do wody, czy tez moze dlatego, ze nie mial juz sily pozbywac sie nieczystosci, trucizn.

Usiadla, wytarla usta i spojrzala na polnocny zachod, wzdluz biegu strumienia. Grunt wyrownywal sie tu, stary las znikal zas stopniowo, jodly ustepowaly miejsca mlodszym drzewom, rosnacym blisko siebie, splatany, oraz gestym krzakom, utrudniajacym marsz. Trisha nie miala pojecia, jak dlugo uda jej sie posuwac w wybranym kierunku, a gdyby probowala isc korytem strumienia, woda najprawdopodobniej szybko by ja przewrocila. Nie slyszala helikopterow, nie slyszala szczekania psow. Pomyslala, ze pewnie bez problemu potrafilaby je sobie wyobrazic, w koncu Toma Gordona widziala na kazde zyczenie, uznala jednak, ze lepiej nie probowac. Dzwiek, ktory ja zaskoczy, moze przeciez okazac sie dzwiekiem rzeczywistym.

Nie sadzila zreszta, by jakikolwiek dzwiek mial ja zaskoczyc.

-Umre w tym lesie - powiedziala glosno i tym razem nie bylo to pytanie.

Skrzywila usta w podkowke, ale nie rozplakala sie. Wyciagnela rece i przez chwile obserwowala, jak drza, po czym wstala i ruszyla przed siebie. Szla, chwytajac pnie i galezie drzew, zeby sie nie przewrocic, a tymczasem dwaj wywiadowcy z biura prokuratora generalnego przesluchiwali jej matke i brata. Po poludniu psychiatra wspolpracujacy z policja stanowa sprobował ich zahipnotyzowac i z Pete'em mu sie udalo. Pytania dotyczyly

przede wszystkim czasu, kiedy w ten sobotni rano dojeżdżali na parking i przygotowywali się do wycieczki. Czy widzieli niebieską polciezarówkę? Czy widzieli blondynę w okularach?

-Jezu Chryste - powiedziała Quilla i rozplakała się wreszcie; do tej chwili udawało jej się jakos uniknąć łez. - Jezu Chryste, myślicie, że ktoś porwał moją małą, prawda? Porwał ją, kiedy myśmy się kłócili.

Słyszac te słowa, Pete także się rozplakał.

Trishy nadal poszukiwano pomiędzy TR-90, TR-100 i TR-110, rejon poszukiwan znacznie jednak ograniczono, a członków ekip ratowniczych pouczono, by skoncentrowali się na terenie, gdzie dziewczynkę widziano po raz ostatni. Szukano przede wszystkim nie jej, ale śladów jej obecności: plecaka, płaszcza przeciwdeszczowego, fragmentów ubrania. Lecz nie majteczek - wywiadowcy z biura prokuratora generalnego oraz funkcjonariusze policji stanowej byli właściwie pewni, że nikt ich nie znajdzie. Faceci pokroju Mazzerole'a zatrzymywali na ogół białe ofiary na pamiątkę, choć ciała wrzucali do rowów i kanałów sciekowych.

Trisha McFarland, która w życiu nie widziała Francisza Raymonda Mazzerole'a, znajdowała się w tej chwili pięćdziesiąt kilometrów od północno-zachodniej granicy nowego, ograniczonego terenu poszukiwan. Przewodnicy stanowi z Maine oraz ludzie ze Służby Lesnej nie uwierzyliby w to nawet bez wprowadzającej w błąd informacji. Zresztą nie była już nawet w Maine; w poniedziałek, około trzeciej po południu, przekroczyła granice New Hampshire.

Mniej więcej godzinę później obok kępy stojących przy brzegu

strumyka brzoż dostrzegła krzaczki. Ruszyła w ich kierunku, nie wierząc własnym oczom. Nie osmieliła się im uwierzyć, nawet gdy dostrzegła jaskrawoczerwone jagody; przecież całkiem niedawno tłumaczyła sobie, że może widzieć i słyszeć, co zechce, jeśli tylko odrobine się postara.

To prawda... ale przecież tłumaczyła sobie także, że jeśli zaskoczy ją coś, co zobaczy, to to coś może być prawdziwe. Zrobiła jeszcze kilka kroków i już była pewna, że jagody istnieją naprawdę. Zwisły z gestych krzaczków jak małe jabłuszka.

-Golterie na horyzoncie! - krzyknęła chrapliwym, łamiącym się głosem i pozbyła się wszystkich wątpliwości, gdy ucztujące na opadłych owocach wrony poderwały się do lotu, kraczac na nią z wyrzutem.

Trisha była pewna, że idzie w kierunku krzaczków, i ze zdziwieniem zorientowała się, że nie idzie, lecz biegnie. Zatrzymała się przy nich gwałtownie. Oddychała ciężko, na jej policzkach pojawiły się cienkie czerwone linie. Wyciągnęła brudne ręce i natychmiast je cofnęła, w najgłębszej głębi serca nadal przekonana, że palce mogą po prostu przejść przez krzaczki, że znikną one wówczas, rozmyją się niby jakiś filmowy efekt specjalny (Peter uwielbiał "rozmycia"), i dopiero wówczas te splecione brązowe galezie jeżyn o kolcach gotowych wypić jej krew, poki płynie i jest jeszcze ciepła, okazała swoją prawdziwą naturę.

-Nie! - powiedziała i tym razem nie cofnęła wyciągniętej ręki. Przez chwilę jeszcze miała wątpliwości, a potem... och, a potem!

Trzymała w palcach niewielką, miękką jagodę. Rozgniotła ją,

zobaczyła czerwone krople soku i przypomniała sobie, jak obserwowała kiedyś golącego się tatę, i tata zaciął się w brode. Podniosła umazany sokiem palec, do którego przyczepił się także kawałek skorki, do ust. Poczula ostry, słodki smak, przypominający nie gumę Teaberry, lecz sok z dzikich jabłek nalany do szklanki wprost z butelki trzymanej w lodowce. Czując ten smak, rozplakala się, nie była jednak świadoma ciekących jej po policzkach łez. Obiema dłońmi zbierała z krzaków jagody, rozgniatała je w garści, wpychała do ust, przelykała, niemal nie gryząc, i natychmiast sięgała po więcej.

Jej ciało przyjmowało je z błogosławienstwem, pлавilo się w ich sycacej świeżości. Czula to, czula, jak się "gotuje", jakby powiedziała Pepsi. Postępowała całkowicie instynktownie, jej rozumne "ja" wydawało się przyglądać tej uczcie z daleka. Zrywała jagody z krzaków całymi pekami. Czerwone miała palce, potem dłonie, a po chwili także i usta, w miarę jak wchodziła głębiej i głębiej w krzaki, coraz bardziej przypominała dziewczynkę, która miała bardzo nieprzyjemny wypadek i powinna jak najszybciej znaleźć się w izbie przyjęć najbliższego szpitala.

Wraz z jagodami zjadła kilka liści i okazało się, że mama i tu miała rację - były dobre nie tylko dla świstaków. Dodawały energii. Połączenie dwóch smaków przypomniało Trishy babcię McFarland i jej galaretkę podawaną do pieczonego kurczaka.

Mogłaby tak przebijac się przez krzaczki na południe, pozerając wszystko, co napotkała na drodze, jeszcze przez długi czas, gdyby nie to, że jagodowa wysepka nagle się skończyła. Trisha wylazła spomiedzy kilku ostatnich krzaczków i stwierdziła, że patrzy wprost w łagodny, lekko zdziwiony pysk i ciemnobrazowe

oczy sporej lani. Wypuszcila trzymane w garosci owoce i krzyknela ochryple; wargi miala tak czerwone, ze wygladaly jak uszminkowane po ciemku.

Lani nie oszedl specjalnie halas, ktory Trisha robila wsrod krzakow, a krzyk najwyrazniej tez jej nie przerazil, nawet nie zaniepokoil - pozniej dziewczynka pomyslala, ze ten szczegolny jelen bedzie mial szczescie, jesli przezyje jesienny sezon lowiecki. Tyle ze zwierze poruszylo uszami i wykonalo dwa taneczne kroki - wydawaly sie raczej skokami - z powrotem na polanke, poprzecinana promieniami zielonozlotego swiatla. Nieco dalej, z chwalebna ostroznoscia, scenie tej przygladaly sie dwa jelenki na niezdarnych, cienkich nozkach. Lania odwrocila leb, zerknela na Trishe i w nieprawdopodobnie lekkich podskokach podbiegla do dzieci. Obserwujaca ja z takim samym zachwytem, z jakim obserwowala bobry, dziewczynka pomyslala, ze lania porusza sie tak, jakby kopytka pokryte miala cienka warstewka lagumy[5]. Trzy jelenie staly na polance wsrod bukowego zagajnika, pozujac niemal do rodzinnego portretu. Potem lania tracila jedno ze swych dzieci (a moze nawet ugryzla je w bok) i wszyscy razem ruszyli swoja droga. Trisha dostrzegla tylko migniecie bialych ogonkow i juz miala polanke dla siebie.

-Do widzenia! - krzyknela za nimi. - Dzieki za odwiedziny i...

Przerwala, dopiero teraz bowiem zorientowala sie, co jelenie robily w tym miejscu. Na ziemi lezalo pelno orzechow bukowych, buczyny. Wiedziala o nich na odmiane nie od matki, lecz z lekcji przyrody w szkole. Pietnascie minut temu umierala z glodu, a teraz nagle znalazla sie przy czymys w rodzaju stolu zastawionego w Swieto Dziekczynienia na wspaniala uczte. Coz z tego, ze byla to jej wegetarianska wersja?

Przykleknęła, podniosła buczyne i spróbowała rozlupac skorupkę tym, co zostało jej z paznokci. Nie spodziewała się zbyt wiele, ale skorupka dała się rozlupac równie łatwo jak u orzeszków ziemnych. Orzeszki miały wielkość mniej więcej kostki palców, jadro zaś było rozmiarów ziarenka słonecznika. Spróbowała go, trochę niepewnie, ale okazało się równie wspaniałe jak golteria, i jej ciało przyjęło je tak samo radośnie.

Najgorszy głód zaspokoila jagodami; nie miała pojęcia, ile ich właściwie zjadła, żeby już nie wspomnieć o liściach, żeby miała teraz pewnie tak zielone jak Arthur Rhodes, ten przerażający dzieciak, mieszkający przy tej samej ulicy co Pepsi, a poza tym żołądek chyba się jej skurczył, teraz więc powinna...

-Zbierz zapasy - powiedziała cicho. - Tak, kochana, zbierz tyle zapasów, ile się da.

Zdjęła plecak, świadoma tego, jak wiele energii już odzyskała - było to zdumiewające, wręcz cudowne - i otworzyła go. Pelzała po polance, zgarniając buczyne brudnymi dłońmi. Brudne włosy opadały jej na oczy, brudna bluzka powiewała w podmuchach wiatru, od czasu do czasu Trisha musiała podciągać dzinsy, które pasowały na nią doskonale, kiedy wkładała je mniej więcej tysiąc lat temu, ale teraz wciąż się zsuwały. Cały czas nucila pod nosem reklamówkę z radia: "1-800-54-GIANT". Kiedy wypełniła już orzechami dno plecaka, jeszcze raz przeszła przez polankę jagod, zbierając część ich do plecaka, część do ust. Kiedy wróciła do miejsca, od którego wszystko się zaczęło, na miejsce, w którym stała wcześniej, zbierając odwagę, by dotknąć pierwszego krzaczka, zdała sobie nagle sprawę z tego, że czuje się niemal sobą. Nie całkiem, ale i tak było niezłe. Czowała się cała; o tym słowie pomyślała przede wszystkim i spodobało się jej ono

tak bardzo, że dwukrotnie powtórzyła je głośno.

Wrocila na brzeg strumienia, ciagnac za soba plecak. Przysiadla pod drzewem, w wodzie dostrzegla mala plamiasta rybke, plynaca w dol strumienia, zapewne malego pstraga. Byc moze byla to szczesliwa wrozba?

Siedziala pod drzewem przez dluzsza chwile, wystawiajac twarz do slonca. Nastepnie wciagnela plecak na kolana, wsadzila reke do srodka i wymieszala jagody z buczyna. Pomyslala przy tym o Scrooge'u McDucku, igrajacym pieniędzmi w skarbcu, i rozesmiala sie radosnie. Obraz ten byl calkowicie absurdalny, a jednak w pewien sposob doskonale pasowal do rzeczywistosci.

Wylowila kilkanascie buczyn, zmieszala je z mniej wiecej ta sama iloscia jagod, tym razem wprawnie i z akuratnoscia godna prawdziwej damy odrywajac jagody od lodyzek, po czym wrzucila te mieszanke do ust w trzech garsciach; bylo to cos w rodzaju deseru, ktory smakowal bosko, zupełnie jak wysokoenergetyczna mieszanka platkow sniadaniowych z orzechami, czekolada i rodzynkami, ktora mama tak chetnie jadala na sniadanie. Po trzeciej garsci poczula sie nie tyle najedzona, ile wrecz obzarta. Nie wiedziala, jak dlugo potrwa to uczucie, buczyna i jagody mogly przeciez przypominac chinskie dania, ktore wprawdzie doskonale wypelniaja zoladek, ale po godzinie czlowiek czuje sie tak glodny, jakby nie zjadal nic, na razie jednak brzuch miala niczym skarpetke wypchana swiatecznymi prezentami. Jak cudownie bylo czuc sie najedzona! Dziewiec lat przezyla, nie wiedzac, jakie to cudowne uczucie, a teraz miala nadzieje, ze nigdy go nie zapomni. To cudownie byc najedzona.

Rozsiadla sie wygodnie, oparla o drzewo i spojrzala na plecak z

uczuciem szczescia i glebokiej wdziecznosc. Gdyby nie byla tak syta ("zbyt ciezka, by skakac" - przyszlo jej do glowy kolejne powiedzenie ze swiata doroslych), wsunelaby glowe do plecaka niczym klacz wsadzajaca leb do worka z owsem, tylko po to, by nasycic sie cudownym zapachem golterii i buczyny.

-Ocalilyscie mi zycie, kochane - powiedziala glosno. - Ocalilyscie moje cholerne zycie.

Po drugiej stronie bystrego strumienia znajdowala sie mala polanka, zaslana sosnowymi iglami. Oswietlaly ja promienie sloneczne, w ktorych tanczyly pyłki kwiatow i lesny kurz, w blasku slonca plasaly motyle, to nurkujac ku ziemi, to wznoszac sie w powietrze. Trisha skrzyzowala dlonie na zoladku, ktory nie sprawial jej teraz nawet najmniejszych problemow, i przygladala sie im leniwie, w tej jednej chwili nie tesknila za matka, ojcem, bratem, najlepsza przyjaciolka, w tej jednej chwili nie pragnela nawet wrocic do domu, choc nadal czula sie obolala, a pupa swedziala ja i dokuczala przy kazdym ruchu, w tym momencie byla spokojna, wiecej niz spokojna, w tym momencie byla tak zadowolona, jak jeszcze nigdy w zyciu. "Jesli uda mi sie jakos stad wydostac, nigdy nie zdolam wyjasnic im tego, co czuje" - pomyslala. Przygladala sie tanczacym po przeciwnej stronie strumienia motylom i oczy powoli jej sie zamykaly. Byly tam dwa biale i jeden aksamitny, ciemnobrazowy, a moze czarny?

"Wyjasnic im czego?" - spytala twarda slicznotka, ale jej glos tym razem wcale nie byl chlodny, zaledwie ciekawy.

"Tego, co prawdziwe. Tego, co takie proste. Najesc sie... nawet nie to, miec cos do jedzenia, a potem nie czuc glodu".

-Nieslyszalne - powiedziala glosno. Przygladala sie motylom. Dwa biale, jeden ciemny, polatujace to w gore, to w dol w blasku popoludniowego slonca. Myslala o malym czarnym Sambo, siedzacym na drzewie, o tygrysach biegajacych pod drzewem, dracych jego nowe piekne ubranie, biegajacych, biegajacych w kolko, az pozostalo po nich swieze maslo i to, co tata nazywal maslanka.

Splecione na brzuchu dlonie Trishy rozlaczyly sie, zsunely i plasko opadly na ziemie. Uniesienie ich i ponowne zlaczenie wydawalo sie dziewczynce praca zbyt ciezka, by mogla jej podolac, wiec niech leza tam, gdzie spoczely.

"Nieslyszalne co, skarbie? o co ci wlasciwie chodzi?"

-No coz... - powiedziala powoli sennym, pelnym namyslu glosem - ...to nie tak, zeby nie bylo niczego, prawda?

Twarda slicznotka nie odpowiedziala. Trishe bardzo to ucieszilo. Byla spiaca, najedzona, czula sie doskonale. Jednak nie zasnela i nawet pozniej, kiedy wiedziala, ze przeciez musiala zasnac, nie wydawalo jej sie, by spala. Pamietala, ze myslala o ogrodzie za nowym, mniejszym domem taty, gdzie trawa wymaga przyciecia... krasnale wygladaja tak chytrze... jakby wiedzialy cos, czego ty nie wiesz... i o tym, jak tata nagle wydal jej sie stary, smutny... jego oddech i skore stale teraz czuc bylo piwem. Uswiadomila sobie, ze zycie moze byc smutne i ze przewaznie jest bardzo smutne. Wszyscy udaja, ze nie jest, klamia dzieciom (zaden film i zaden program telewizyjny nie przygotowal jej na przyklad do utraty codziennego swiata i do siadania we wlasnej kupie), pewnie po to, by ich nie straszyc, nie oniesmielac, ale tak naprawde zycie rzeczywiscie potrafi byc smutne. Zycie to zebaty

stwor, gotow gryzc cie, kiedy tylko zechce. Te prawde zdazyła juz poznac bardzo dobrze. Miala zaledwie dziewiec lat, ale poznala te prawde i - co wiecej - byla chyba zdolna ja zaakceptowac, w koncu niedlugo zacznie dziesiaty rok i jest wysoka jak na swoj wiek.

"Nie wiem, dlaczego mam placic za wasze bledy". Te slowa uslyszala z ust Petera ostatnie i zaraz potem zabladzila. Pomyslala, ze teraz zna odpowiedz na to pytanie. Nieprzyjemna odpowiedz, ale prawdopodobnie prawdziwa: dlatego, a jesli nie smakuje ci ta odpowiedz, prosze bardzo, wyjdz z kolejki i zrob miejsce innym.

Trisha przypuszczala, ze pod wieloma wzgledami jest teraz starsza od Petera.

Powiodla wzrokiem wzdluz biegu strumienia i dostrzegla, ze mniej wiecej czterdziesti metrow dalej wplywa do niego inny strumien, spadajac niewielkim wodospadem, i doskonale. Tak wlasnie powinno to wygladac. Ten drugi strumien bedzie wiekszy, coraz wiekszy i w koncu doprowadzi ja do ludzi. No i...

Spojrzala na polanke po drugiej stronie swojego strumyka. Dostrzegla na niej trzy przygladajace sie jej postacie. To znaczy zalozyla, ze sie jej przygladaja, tak naprawde bowiem nie widziala ich twarzy. Nie byla w stanie dojrzec takze ich stop, gdyz postacie mialy na sobie dlugie szaty, niczym mnisi z filmow o dawnych czasach ("W czasach wieczornych pacierzy, w czasach dzielnych rycerzy, gdy damy pokazywaly to, czego nie nalezy" - podspiewywala czasem Pepsi Robichaud, kiedy skakaly przez skakanke). Dlugimi plaszczami zamiataly okrywajace polane sosnowe igly. Kaptury naciagnely na twarzy. Trisha przygladala

sie im lekko zaskoczona, lecz bez strachu... no, przynajmniej na razie bez strachu. Postac stojaca posrodku okrywala czarny plaszcz, dwie pozostale mialy plaszczki biale.

-Kim jestescie? - spytala. Sprobowała sie wyprostowac i stwierdzila, ze nie moze. Za bardzo sie najadla. Po raz pierwszy w zyciu odkryla, ze mozna oszolomic sie jedzeniem. - Czy moglybyscie mi pomoc? Zabladzilam. Blakam sie w lesie od... - Nie pamietala, od kiedy. Od dwoch dni, moze od trzech. - ...od bardzo dawna. - Proszę, czy moglybyscie mi pomoc?

Trzy postacie staly, milczac, i tylko wpatrywaly sie w ma (w kazdym razie przypuszczala, ze sie w nia wpatruja), tak ze i w tym momencie Trisha naprawde sie przestraszyla. Skrzyzowaly ramiona na piersiach, nie widziala nawet ich dloni, zaslonietych dlugimi rekawami plaszczy.

-Kim jestescie? Powiedzcie mi, kim jestescie?!

Postac stojaca po lewej wysunela sie o krok naprzod, a kiedy podniosla rece do kaptura, rekawy szaty zsunely sie z jej dloni o dlugich palcach. Pod kapturem kryla sie inteligentna, choc nieco konska twarz z cofnietym podbrodkiem. Przypominala pana Borka, nauczyciela biologii ze szkoly podstawowej w Sanford, ktory uczyl ich o zwierzetach i roslinach Nowej Anglii... w tym, oczywiscie, o swiatowej slawy buczynie. Wiekszosc chlopkow i niektore dziewczyny (na przyklad Pepsi Robichaud) nazywaly go oczywiscie Borkiem Rozporkiem.

Postac ta spojrzala na nia poprzez strumien oczyma ukrytymi za malymi okularkami w zlotej oprawie.

-Jestem posłancem Boga Toma Gordona - powiedziała. - Tego Boga, na którego Tom wskazuje palcem, kiedy uda mu się uratować wynik meczu.

-Doprawdy? - spytała uprzejmie Trisha. Nie bardzo wiedziała, czy powinna zaufać temu facetowi. Gdyby powiedział, że jest Bogiem Toma Gordona, wiedzialaby z całą pewnością, że nie wolno jej zaufać. Była skłonna uwierzyć w wiele rzeczy, lecz nie w to, że Bog wygląda dokładnie tak, jak nauczyciel biologii z czwartej klasy. - To bardzo... bardzo interesujące.

-Niestety, nie mogę ci pomóc - powiedział Bork. - Mielismy dziś bardzo ciężki dzień. Weźmy na przykład trzesienie ziemi w Japonii, i to silne, a w ogóle Bog rzadko interweniuje w sprawy ludzi, jakkolwiek muszę przyznać, że jest zapalonym kibicem. Choć niekoniecznie kibicem Czerwonych Skarpet.

Cofnął się o krok i ukrył twarz pod kapturem. Po chwili wystąpiła druga postać w białym kapturze... i Trisha tego właśnie się spodziewała. Wszystko, co się działo, odbywało się w zgodzie z pewnym rytuałem: trzy życzenia, skrzyżowanie trzech dróg, trzy siostry, trzy szanse odgadnięcia imienia złego czarodzieja. By już nie wspomnieć o trzech jeleniach jedzących buczynie.

-Czy ja śnię? - zadała sobie pytanie, podnosząc rękę i dotykając opuchlizny po ukaszeniu os na lewym policzku. Opuchlizna pozostawała na swoim miejscu i choć nie dokuczyla już tak jak przedtem, jej dotknięcie nadal bolało, a więc to nie był sen. Lecz kiedy druga postać w białym płaszczu odrzuciła kaptur i okazała się podobna do jej ojca -nie dokładnie, w takim stopniu, w jakim pierwsza przypominała Borka Rozporka - pomyślała, że tak właśnie powinno być a skoro było, nie przypominało żadnego z

jej snow.

-Tylko nic nie mów - powiedziała. - Jesteś posłancem Niesłyszalnego, prawda?

-No, właściwie to jestem samym Niesłyszalnym - powiedziała przepraszająco postać, do złudzenia przypominająca jej ojca. - Musiałem przybrać obraz kogoś, kogo znasz, żeby ci się pojawić, bo w gruncie rzeczy jestem bardzo słaby. Nie mogę nic dla ciebie zrobić, Trisho. Bardzo mi przykro.

-Jesteś pijany? - spytała Trisha i nagle się rozgniewała. - Jesteś pijany, prawda? Czuje ten zapach, o rany!

Niesłyszalny uśmiechnął się do niej zawstydzony, nie odpowiedział nic, tylko cofnął się o krok i ukrył twarz pod kapturem.

Przyszła chwila na postać w czarnym płaszczu i Trisha nagle się przestraszyła.

-Nie - powiedziała. - Tylko nie ty. - Próbowала wstać, ale nie była w stanie się poruszyć. - Tylko nie ty, odejdz, daj mi spokój.

Ramiona okryte czarnym płaszczem uniosły się jednak, obnażając żółte szpony... szpony, które pozostawiły ślady na korze, szpony, które oderwały łeb jelonka, a potem rozdarły jego ciało.

-Nie - szepnęła Trisha. - Nie, proszę, nie. Nie chcę tego widzieć.

Postać w ciemnym płaszczu nie zwróciła uwagi na jej słowa. Zdjęła kaptur. Pod kapturem nie było twarzy, lecz tylko

niekształtna głowa - gniazdo os. Osy laziły po sobie nawzajem, ocierały się o siebie i brzęczały, w niektórych miejscach widac było żalostne fragmenty ludzkich rysów: pusty oczodoł, skrzywione w grymasie uśmiechu usta. Postać wydawała niskie dźwięki, przypominające bzyczenie much nad rozszarpaną szyją jelonka, jakby miała motor zamiast mózgu.

-Przychodze od stworzenia z lasu - powiedziała brzęczącym, nieludzkim głosem. Trishy przypominał on trochę głos człowieka z radia, radzącego ludziom, żeby rzucili palenie, człowieka, który miał raka gardła i któremu wycięto struny głosowe, więc musiał mówić przez specjalne urządzenie elektroniczne. - Przychodze od Boga Zagubionych. Obserwuje cie. Czeka na ciebie. To twój cud i ty jesteś jego.

-Odejdź! - Trisha próbowała wykrzyknąć to słowo, z jej ust wydobył się jednak zaledwie ochryply szept.

-Na świecie sprawdzają się zawsze najgorsze przypuszczenia, obawiam się więc, że to, co wyczuwasz, jest prawdziwe - mówił dalej nieludzki, brzęczący głos. Żółte szpony przesunęły się powoli po skroni, zdzierając z niej osy i obnażając ukryta pod nimi kości. - Skóra świata utkana jest z żadła, czego bez wątplenia zdążyłaś się już nauczyć, pod nią zaś istnieje już tylko kość i Bóg, którego wyznajemy oboje. Nie uważasz, że to bardzo przekonujący obraz?

Przerazona, zapłakana, Trisha odwróciła wzrok od postaci w ciemnym płaszczu. Spojrzała na strumień. Odkryła, że kiedy nie patrzy na obrzydliwego kapłana os, może się trochę poruszać. Podniosła dłonie do policzków, wytarła łzy i znowu spojrzała na polankę.

-Nie wierze ci. Nie...

Kaplan os znikl. Zniknely wszystkie postacie w plaszczach, w strugach swiatla jak przedtem tanczyly motyle, byl ich osiem albo dziewiec, nie trzy, wszystkie inne i wszystkie kolorowe, a nie tylko czarne i biale. Swiatlo tez bylo inne, nabralo zloto-pomaranczowego odcienia. Minely co najmniej dwie godziny, a moze nawet trzy? a wiec zasnela. "A wszystko to ci sie przysnilo..." -jak pisza autorzy niektorych ksiazek... tylko ze nie pamietala chwili zasniecia, nie pamietala zadnej przerwy w procesie swiadomego myslenia. No i to, co przezyla, bynajmniej nie przypominalo snu.

Nagle przyszla jej do glowy mysl dosc przerazajaca, a jednoczesnie pocieszajaca. Byc moze orzechy i jagody nie tylko dostarczyly jej energii, lecz takze oszolomily ja niczym narkotyki? Wiedziala, ze niektore grzyby maja wlasciwosci narkotyczne, czasami dzieciaki jedza je, by zakosztowac odlotu. Jesli moga do tego doprowadzic grzyby, to dlaczego nie jagody?

-Albo liscie - powiedziala glosno. - Moze to przez liscie? Zaloze sie, ze tak. Dobra, dajmy sobie spokoj z liscmi, niezaleznie od tego, ile przywracaja czlowiekowi energii.

Trisha wstala, skrzywila sie, czujac bol brzucha, pryknela i natychmiast poczula sie lepiej. Podeszla do strumienia, wypatrzyła kilka tkwiacych w nim kamieni i przeszla po nich na druga strone. Pod pewnymi wzgledami czula sie jak nowa: byla swieza, pelna energii, nadal jednak przesladowala ja mysl o kaplanie os i doskonale zdawala sobie sprawe z tego, ze wspomnienie to powroci znacznie zywsze, gdy tylko zajdzie slonce. Jesli nie bedzie uwazac, przezyje straszne chwile, jesli

jednak udowodni sama sobie, że to był tylko sen, spowodowany zjedzeniem golterii albo picciem wody, do której jej organizm nie jest jeszcze całkiem przystosowany...

Kiedy znalazła się na polance po drugiej stronie strumienia, poczuła zdenerwowanie, zupełnie jak postać z filmowego horroru, głupia dziewczyna, wchodząca do domu mordercy-psychopaty ze słowami: "Hej, jest tam ktoś?" Spojrzała za siebie, natychmiast poczuła, że coś obserwuje ją zza linii drzew, i odwróciła wzrok tak szybko, że omal się nie przewróciła. Nie widziała niczego. Jeśli o nią chodzi, nie widziała zupełnie niczego.

-Głupia jesteś - zganila się, ale nadal czuła, że coś ją obserwuje, nie miała wątpliwości, że coś ją obserwuje. "Bóg Zagubionych - powiedział kapłan os. - Obserwuje cię, czeka na ciębie". Kapłan os powiedział też wiele innych rzeczy, ale te jego słowa zapamiętała najlepiej: "Obserwuje cię, czeka na ciębie".

Trisha podeszła do miejsca, w którym - była tego całkiem pewna - widziała tamte trzy postacie. Szukała jakiegoś śladu, który powinny pozostawić, ale nie znalazła żadnego. Nie znalazła w ogóle niczego. Przykleknęła i dokładniej przyjrzała się ziemi. Nadal nic, nie widziała nawet wglebienia w warstwie sosnowych igiel, w której, przestraszona, mogłaby dostrzec ślad ludzkiej stopy. Wyprostowała się, odwróciła, by przejść z powrotem przez strumyk, i wówczas, w lesie, dostrzegła coś ciekawego. Ruszyła w tym kierunku i przystanęła przed gęstym, mrocznym zagajnikiem, gdzie młode drzewka o cienkich pniach walczyły między sobą bezlitosnie o przestrzeń i światło nad ziemią, z poszyciem i krzakami zaś o wilgoc i miejsce na korzenie pod ziemią. Tu i tam wśród ciemnej zieleni stały brzozy niczym

wynedzniale duchy. Na korze jednej z nich widac bylo ciemna plame. Trisha obejrzała sie nerwowo przez ramie, po czym ruszyła powoli przez zagajnik w kierunku drzewa. Serce walilo jej w piersi, powtarzała sobie, że zachowuje sie jak idiotka, jak kretyńska, jak ostatnia dupa, lecz mimo to szła przed siebie.

Na ziemi pod brzoza lezal ochlap wnetrznosci, krwawiacy i wyrwany z ciala tak niedawno, ze nawet muchy jeszcze sie nim nie zainteresowaly. Zaledwie wczoraj na widok czegos podobnego Trisha dlawilaby sie od mdlosci, powstrzymywalaby je calym wysilkiem woli, od wczoraj jednak jej zycie zmienilo sie i sprawy wygladaly zupełnie inaczej; nie doznala sciskania w zoladku, nie dostala zwiastujacej mdlosci czkawki, nie poczula instynktownej koniecznosci ucieczki lub chocby odwrocenia wzroku. Czula tylko spokoj i chlod, pod pewnymi wzgledami znacznie gorsze. Miala wrazenie, ze tonie, ale nie w wodzie, tylko w czymś, co rodzi sie wewnatrz niej.

Obok, przy wnetrznosciach, zauwazyla klebek brazowego futra z bialymi plamami. Nie miala watpliwosci, ze zginial jelonek, jeden z tych, ktore spotkala razem z lania na bukowej polance. Glebiej wsrod drzew, gdzie las ciemnial juz z nadchodzacych wieczorem, stal wysoki klon, na ktorego korze dostrzegla slady szponow. Znajdowaly sie one bardzo wysoko, tak wysoko mogl siegnac jedynie naprawde potezny mezczyzna. Trisha nie wierzyła jednak, by pozostawil je czlowiek.

"Obserwuje cie". Oczywiscie, obserwowal ja wlasnie w tej chwili. Czula jego wzrok na swej skorze, dokladnie tak, jak czula na niej male muszki. Byc moze trzej kaplani przysnili sie jej albo miala halucynacje, ale jelenie wnetrznosci i slady szponow juz jej sie nie przysnily. Spojrzenie tych oczu tez nie wydawalo sie

halucynacja.

Oddychając ciężko, spoglądając to w lewo, to w prawo, Trisha wycofywała się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk strumienia, spodziewając się, że w każdej chwili dostrzeże jego, Boga Zagubionych. Wydostała się wreszcie z gestwiny i chwytając galezie dla równowagi, tyłem dotarła nad sam brzeg. Odwróciła się jak najszybciej i przeskoczyła po kamieniach na drugą stronę, pewna, że to coś wyskoczyło z lasu i ściga ją, potwór z kłó, szponów i zadel. Poślizgnęła się na drugim kamieniu, z najwyższym trudem złapała równowagę, omal nie wpadła do wody i nareszcie wydostała się na brzeg. Obejrzała się przez ramię. Pusto. Nawet motyle odleciały... nie, dwa tancyły jeszcze, nie przyjmując do wiadomości, że dzień już się kończy.

Prawdopodobnie trafiła na miejsce idealne, by spędzić w nim noc, w pobliżu krzaczków jagod i bukowych orzechów, czuła jednak, że nie jest w stanie przenocować tam, gdzie widziała kapłanów. Prawdopodobnie jej się przysnili, ale ten w czarnym płaszczu wydawał się straszny nawet we śnie. No i był jeszcze ten mały jelonek. Kiedy muchy wreszcie się pojawiają, wszędzie na polance będzie słychać ich brzęczenie.

Trisha otworzyła plecak, wyjęła z niego garść jagod i zawahała się.

-Dziękuję wam - powiedziała - bo niczego smaczniejszego jeszcze nie jadłam.

Poszła wzdłuż strumienia, obierając buczyne i jedząc je. Po kilku chwilach zaczęła śpiewać, najpierw z wahaniem, a później na cały głos: "Obejmij mnie... chce się do ciebie przytulić... Kochaj

mnie na wieki... przy tobie czuje, ze plone..."

No tak, mala.

Początek siodmej

Zmierzch powoli ustępował miejsca nocy. Trisha znalazła się na skalistej polance przy zboczu niewielkiej, pogrążonej w fioletowych cieniach dolinki. Nur krzyknął gdzieś z daleka, na jego krzyk odpowiedziała wrona i tyle. Rozejrzała się dookoła i dostrzegła szereg niskich skalistych występów; nawiane przez wiatr sosnowe igły wypełniały miejsca między nimi, tworząc miękkie hamaki. Zdjęła plecak, ułożyła go pod jednym z występów, podeszła do najbliższego sosnowego zagajnika i narwała gałęzi, z których zrobiła sobie materac. Nie przypominał wprawdzie w niczym Serta Perfect Sleeper, ale lepszy rydz niż nic. Zapadający zmrok wywołał znajome uczucie samotności i żalostnej tęsknoty za domem, Trisha nie czuła jednak wcześniejszego, przeraźliwego strachu. Znikło także uczucie, że jest obserwowana. Jeśli rzeczywiście w lesie coś na nią czyhało, to teraz odeszło i zostawiło ją w spokoju.

Trisha wróciła nad brzeg strumienia, przyklekła i napiła się wody. Przez cały dzień odczuwała niezbyt dotkliwie skurcze żołądka, nie wątpiła jednak, iż jej organizm powoli przystosowuje się do wody ze strumienia.

-Orzechy i jagody też są w porządku - powiedziała głośno i uśmiechnęła się. - No, jeśli nie liczyć koszmarów i takich tam.

Zrobiła kilka kroków z powrotem do improwizowanego łóżka, wyjęła z plecaka walkmana i założyła słuchawki na uszy. Powiał

chłodny wiatr, który wyraźnie odczuła na spoconej skórze. Zadrzała. Wygrzebała z dna plecaka podarty płaszcz przeciwdeszczowy i przykryła się brudnym plastikiem jak kocem. Niespecjalnie ją to ogrzało, ale -jak mawiała mama - liczy się przede wszystkim pomysł.

Włączyła walkmana. Nie próbowała go przestroic, usłyszała jednak wyłącznie szum zakłóceń. Zgubiła WCAS.

Sprawiła całe pasmo FM, w pasmie 95 odebrała słabo muzykę klasyczną, w pasmie 99 kazał sobie wrzeszczącego coś o wybawieniu. Wybawienie akurat bardzo ją interesowało, ale niestety, nie takie, o jakim rozprawiał ten facet w radiu; modliła się w tej chwili wyłącznie do Boga, od którego dostałaby helikopter pełen przyjaznych, machających rękami ludzi. Przesuwała strzałkę po skali, na 104 głośno i wyraźnie usłyszała Celine Dion, zawahała się i zdecydowała dalej obracać pokrętło. Zależało jej wyłącznie na tym, by usłyszeć transmisję meczu Czerwonych Skarpet, a nie Celine śpiewającą o tym, jak to się będzie kochać... i kochać... i kochać...

Na FM nie znalazła baseballu, na FM nie znalazła w ogóle niczego. Przełączyła się na AM, na 850, czyli WEEI w Bostonie, WEEI było stacją Czerwonych Skarpet. Nie spodziewała się doskonałego odbioru, ale pewna nadzieja istniała, wieczorami dawano się złapać całą kupe stacji na AM, a WEEI miała silny sygnał. Będzie najpewniej pojawiał się i zanikał, ale z tym mogłaby się ewentualnie pogodzić, w końcu nie musiała dziś rozstrzygać żadnych wielkich problemów, nie umówiła się na randkę ani nic z tych rzeczy.

WEEI odbierało całkiem niezłe, właściwie to nawet wspaniale,

ale, niestety, nie odbierało Joego i Troopa. Ich miejsce zajął facet z gatunku tych, których jej tata nazywał "teleturniejowymi idiotami". Ten, na którego trafiła, był "teleturniejowym idiotą sportowym". Czyżby w Bostonie padło? Czyżby odwołano mecz, czyżby trybuny były puste, czyżby siedzenia przykryto plastikowymi plachtami? Trisha z powatpiewaniem zerknęła w widoczne nad drzewami, pogodne niebo, na którym rozbłysły właśnie pierwsze gwiazdy, niczym cekiny na czarnym aksamicie. Już niedługo będzie ich tyle, że wrecz nie da się policzyć, na niebie nie dostrzegła ani jednej, nawet najmniejszej chmury. No oczywiście, od Bostonu dzieliło ją przeszło dwieście kilometrów, może nawet więcej, ale...

Teleturniejowy idiota rozmawiał przez telefon z Waltem z Framingham. Walt miał telefon komórkowy w samochodzie. Kiedy teleturniejowy idiota spytał go, gdzie jest, Walt z Framingham odparł: "Gdzieś koło Danvers, Mike", wymawiając nazwę miejscowości tak, jak wymawiają ją ludzie z Massachusetts, Danvizz, zupełnie jakby nie była to nazwa miasteczka, lecz lekarstwa na ból brzucha. "Zabłądziłeś w lesie? Piles wodę wprost ze strumienia i przez to rzygałeś dalej, niż widzisz? Wystarczy łyżeczka Danvizz, żebyś poczuł się lepiej!"

Walt z Framingham chciał wiedzieć, dlaczego Tom Gordon zawsze, gdy tylko uda mu się uratować wynik, wskazuje niebo ("Wiesz, Mike, chodzi o ten jego palec" - sam tak to ujął), i Mike, teleturniejowy idiota, wyjaśnił, że numer 36 w ten sposób dziękuje Bogu.

-Uważam, że powinien raczej wskazywać na Joego Kerrigana - powiedział Walt z Framingham. - To przecież Kerrigan wpadł na pomysł, by wystawić go w koncowce meczu. Jako

rozpoczynający grę nie nadawał się do niczego.

-Może Bog podpowiedział Kerriganowi ten pomysł, przyszło ci to do głowy, Walt? - spytał idiota. - Dla tych, którzy nie wiedzą: Joe Kerrigan jest trenerem miotających Czerwonych Skarpet.

-Ja to wiem, ty glupku - burknęła niecierpliwie Trisha.

-Rozmawiamy dziś przede wszystkim o Czerwonych Skarpetach, podczas gdy Skarpety cieszą się rzadkim w tym sezonie wolnym wieczorem - powiedział Mike, teleturniejowy idiota. - Jutro zaczynają trzydniówkę w Oakland. Dowiedcie się o wszystkim, co się dzieje na Zachodnim Wybrzeżu, od nas, na WEEI, ale dziś mamy wolny wieczór.

Wolny wieczór, to wyjaśniało wszystko. Trisha poczuła wielkie przygnębienie i w jej oczach pojawiły się łzy (choć w Danvizz nazywano je "zzami"). Tak łatwo przychodziło jej teraz płakać, gotowa była płakać dosłownie z byle powodu. Ale przecież czekała na ten mecz, do cholery, nie wiedziała, jak bardzo potrzebne są jej głosy Joego Castiglione i Jerry'ego Trupiano, dopoki nie dowiedziała się, że ich nie usłyszy.

-Odbieramy telefony od słuchaczy - powiedział teleturniejowy idiota - niech więc słuchacze do nas dzwonia. Czy jest tam ktoś, kto sądzi, że Mo Vaughn powinien przestać zachowywać się jak szczeniak i po prostu złożyć podpis na umowie? Ile chce zarobić ten facet? To dobre pytanie, prawda?

-Kretynskie pytanie, kretynie - syknęła Trisha. - Gdybys umiał wybijać jak Mo, też zazadałbys kupić forsy.

-Chcecie porozmawiac o cudownym Pedro Martinezie?

Darrenie Lewisie, znakomitym rezerwowym narzucajacym Czerwonych Skarpet? Mila niespodzianka ze strony druzyny, czyz nie? Zadzwońcie, powiedzcie, co myslicie. Przerwa na reklame.

Wesoly glos zaspiewal na znajoma melodyjke: "Do kogo dzwonicie, kiedy peknie wam szyba?"

- "1-800-54-GIANT" - odspiewala Trisha i przekrecila pokretlo walkmana, uwalniajac sie od WEEI. Moze uda sie jej znalezc jakis inny mecz? Nawet mecz znienawidzonych Jankesow bylby lepszy niz nic. Nim jednak udalo jej sie znalezc baseball, uslyszala swoje nazwisko i zamarla.

-...coraz mniejsze szanse na odnalezienie dziewiecioletniej Patricii McFarland, zaginionej od sobotniego poranka.

Glos czytajacego wiadomosci byl slaby, to znikal, to sie pojawial wsrod szumu zaklocen. Trisha pochyliła sie, glebiej wciskajac w uszy sluchawki walkmana.

...sily policyjne Connecticut, biorac pod uwage anonimowy telefon, ktory otrzymala policja w Maine, aresztowaly w dniu dzisiejszym Francisa Raymonda Mazzerole'a z Weymouth w Massachusetts, i przesluchiwaly go przez szesc godzin w zwiazku z zaginieniem Patricii McFarland. Mazzerole, robotnik budowlany, ostatnio zatrudniony przy budowie mostu w Hartford, byl juz skazany dwukrotnie za napastowanie nieletnich. Zostal aresztowany w zwiazku z wnioskiem o ekstradycje do stanu Maine z oskarzenia o napasc seksualna i napastowanie

nioletnich, w tej chwili wydaje się jednak, że nie wie on nic o Patricii McFarland, z kregów zbliżonych do policji dowiadujemy się, iż w ciągu ostatniego weekendu przebywał w Hartford, co potwierdza wielu świadków...

Głos zanikł. Trisha wyłączyła walkmana i wyjęła słuchawki z uszu. Czy nadal jej szukano? Prawdopodobnie tak, choć miała nieodparte wrażenie, iż ostatnie kilka godzin szukający jej spędzili na przesłuchiwaniu Mazzerole'a.

-Co za banda kretynów - orzekła rozgoryczona, wkładając walkmana do plecaka. Położyła się na sosnowych gałęziach, przykryła płaszczem przeciwdeszczowym; wierciła się tak długo, aż wreszcie mogła powiedzieć, że jest jej prawie wygodnie. Wiał wiatr, cieszyła się więc, że leży między występami skalnymi. Było chłodno, a przed wschodem słońca mogło zrobić się wręcz zimno.

Na niebie, zgodnie z prognozami, świeciła niezliczona ilość gwiazd. Dokładnie niezliczona. Miały zblednąć wraz z wzejściem księżycy, na razie świeciły jednak wystarczająco jasno, by rzucać cienie na jej policzki. Jak zawsze, Trisha zastanowiła się, czy światło którejs z nich oświetla inne istoty żywe? Czy gdzieś istnieją dzungle i zamieszkujące je baśniowe stwory? Piramidy? Królowie i giganci? Czy gra się tam w coś, co przypomina baseball?

- "Gdzie dzwonisz, gdy pęknie ci szyba? - zaspiewała cicho. - 1-800-54..."

Przerwała. Odetchnęła, wciągając dolną wargę, jakby coś ją zabolalo. Niebo zabłysło białą - to spadła któraś z gwiazd. Jej

blysk przekreslil czarne tlo i zgasl. Nie byla to, oczywiscie, gwiazda, lecz raczej meteor.

Pojawil sie kolejny blysk, i kolejny. Trisha usiadla, otwierajac szeroko oczy, podarty plaszcz przeciwdeszczowy zsunal sie jej na kolana. Blyski przekreslaly teraz niebo we wszystkich kierunkach. Byl to prawdziwy deszcz meteorow.

I zupełnie tak, jakby ktos czekal, by sobie to uswiadomila, cale niebo rozjarzylo sie od jaskrawych blyskow. Trisha gapila sie na nie z uniesiona glowa, z ramionami skrzyzowanymi na plaskiej piersi, z dlonmi o ogryzionych z nerwow paznokciach wpitymi w przedramiona. Nigdy czegos takiego nie widziala, nie marzyla nawet, by cos podobnego zobaczyc!

-Och, Tom - szepnela drzacym glosem. - Tylko popatrz, Tom. Widzisz to, co ja?

Wikszosc blyskow trwala krotko, maly cienki przecinek na niebie znikajacy tak szybko, ze moglby sie wydawac halucynacja, gdyby nie byl jednym z tak wielu, jednak kilka -moze piec, a moze osiem - rozjasnilo trwale niebo jaskrawymi blyskami, niczym bezglosne fajerwerki, ktore po brzegach zdawaly sie swiecic pomaranczowym swiatlem. Byc moze pomaranczowy kolor wynikal z oslepienia oczu, tego jednak Trisha nie byla calkiem pewna.

Jaskrawe swiatla na niebie zaczely w koncu blednac. Trisha polozyla sie na wznak i krecila, poki nie znalazla wygodnej pozycji... no, moze nie wygodnej, ale najwygodniejszej z mozliwych. Przez caly czas wpatrywala sie jednak w niebo, w nieliczne juz teraz blyski kawalkow skaly, zbaczajacych ze swej

drogi znacznie dalej, niż ona zboczyła ze swojej, uchwyconych przez ziemską grawitację, czerwieniejących, w miarę jak przedzierały się przez coraz gęstsze warstwy atmosfery, aż wreszcie ginących w krótkich rozbłyskach światła.

Patrzyła na to przedstawienie, dopóki wreszcie nie zapadła w sen.

Jej sny były jednocześnie żywe i fragmentaryczne, przypominały umysłowy deszcz meteorów. Zaledwie jeden zapamiętała niejasno; sniła go tuż, nim przebudziła się w ciemności, zmarznięta, kaszląca, leżąc na boku z kolanami podciągniętymi pod brodę i drżąc na całym ciele.

W tym śnie wraz z Tomem Gordonem stała na zaniedbanej i porośniętej krzaczkami i młodymi drzewkami łące. Tom stał przy palu, spekanym, sięgającym mu do biodra. Na szczycie pala znajdował się metalowy krąg przezarty rdzą, aż czerwony. 36 przesuwiał go między palcami. Na szary kombinezon przyjezdnej drużyny narzucona miał kurtkę do rozgrzewki. Dzisiaj po południu miał przyjechać do Oakland. Spytała go, co wskazuje palcem. Oczywiście wiedziała co, ale mimo to spytała, być może dlatego, że spytał o to Walt z Framingham, a komorkowy dupek pokroju Walta z Framingham nie uwierzyłby przecież młodej dziewczynie, która zablądziła w lesie, Walt czekał na odpowiedź wprost ze źródła.

-Wskazuje niebo, ponieważ w naturze Boga leży to, iż objawia się u początku dziewiątej - powiedział Tom. Bawił się żardzewiałym metalowym krążkiem z czubka pala. Przesuwiał go między palcami, to w jedną stronę, to w drugą. Do kogo dzwonisz, gdy pęknie ci metalowy krążek? Ależ oczywiście,

dzwonisz 1-800-54-Metalowy Krazek. - Zwlaszcza gdy obsadziles bazy i masz tylko jedno wykluczenie. - Cos w lesie odezwalo sie kpiaco, slyszac te slowa. Glos stawal sie donosniejszy, az Trisha otworzyła oczy i zorientowała sie, ze to ona tak glosno szczeka zębami.

Wstala powoli, krzywiac sie, bo wszystko ja bolalo. Najgorzej bylo z nogami, a zaraz po nogach z krzyzem. Uderzył w nia podmuch wiatru, cos wiecej niz zwykly powiew, i omal nie przewrocil jej z powrotem na poslanie. Trisha musiala pomyslec o tym, jak bardzo schudla. "Jeszcze tydzien, a kiedy przywiazesz do mnie sznurek, ulece w powietrze niczym latawiec". Jednak zamiast rozesmiac sie na te mysl, zaczela kaszlec, kaszel wyrwal sie z glebi piersi przez gardlo. Stala, opierajac rece na nogach nieco powyzej kolan, opuscila glowe, kaszlala i nie mogla przestac. Wspaniale. Po prostu cudownie. Przylozyla dlon do czola, ale nie potrafila powiedziec, czy ma goraczke, czy nie.

Ruszyła powoli, na szeroko rozstawionych nogach; w ten sposob mniej dokuczala jej otarta pupa. Oblamala z sosny jeszcze kilka galezi, zeby sie nimi przykryc jak kocem. Zanosla jedna narecz na miejsce, ktore wybrala sobie do snu, i wlasnie niosla druga, gdy nagle przystanela w polowie drogi miedzy drzewami a pokrytym sosnowymi iglami wglebieniem, gdzie spala, i powoli obrocila sie dookola, oswietlona nieprawdopodobnym blaskiem gwiazd, blyszczacych o wczesnym swicie. Byla czwarta nad ranem.

-Zostaw mnie w spokoju! - krzyknela i natychmiast sie rozkaszlala. Kiedy minal atak, mowila juz ostrozniej, ciszej. - Nie moglbys po prostu przestac? Odczep sie ode mnie, daj mi zyc, dobrze?

Zamilkla, nasluchiwała, lecz nie słyszała nic oprócz szumu wiatru w galeziach sosen... a potem do jej uszu dobiegło chrzaknięcie; niskie, basowe i zupełnie, ale to zupełnie nieprzypominające żadnego z odgłosów, które mogłoby wydać człowiek. Trisha stała w miejscu, przyciskając do piersi wonne, ociekające żywica galezie. Dostała gęsiej skorki na całym ciele. Nie wiedziała, skąd dobiegło chrzaknięcie: z tej strony strumienia, z drugiej, spośród sosen? Nagle, z całą siłą pewności, uderzyła ją straszna myśl: tak, chrzaknięcie dobiegło spośród sosen. To coś, co ją obserwowało, czaiło się między sosnami. Kiedy zbierała galezie, którymi zamierzała się przykryć, pisk tego czegoś znajdował się być może niespełna metr od jej twarzy. Pazury, te same, które pozostawiły głębokie ślady na korze i rozerwały na strzepy oba jelenie, dzieliły pewnie zaledwie centymetry od jej dłoni, gnących sosnowe galezie w górę i w dół, najpierw kruszacych je, a potem odrywających od drzewa.

Trisha znów się rozkasła, i to wyrwało ją z bezruchu. Upuściła galezie i wpełzła między nie, nie starając się ich nawet uporządkować. Skrzywiła się i jęknęła, kiedy jedna z nich podrapała ją w uzadłone przez osy biodro, a potem znieruchomiała. Wyczuwała tę tajemniczą istotę, wyslizgującą się pomiędzy drzew i wreszcie, wreszcie, decydującą się zapożyczyć na nią, specjalne stworzenie twardej slichnotki, Boga Zagubionych, o którym opowiadał kapłan os. Miała ona wiele imion: władca mrocznych miejsc, cesarz zakamarków, najgorszy koszmar każdego dziecka. Niezależnie od nazwy, istota ta przestała się z nią drażnić, skończyła z zabawą w chowanego. Zaraz rozrzuci galezie, pod którymi ona się schowała, i pozre ją żywcem.

Kaszlac i drzac na calym ciele, utraciwszy kontakt ze swiatem i otaczajaca rzeczywistoscia, w tej chwili zupełnie oszalala z przerazenia, Trisha oslonila glowe ramionami i czekala na chwile, gdy rozedra ja pazury stworza, a dalszego dzieła zniszczenia dokonaja potezne kly w jego paszczy. Zasnela w tej pozycji, a kiedy obudzila sie we wtorkowy, jasny ranek, poczula, ze ramiona zdretwialy jej od lokci do nadgarstkow, kark zas zesztynial do tego stopnia, ze nie byla w stanie poruszyc glowa; do strumienia podeszla, trzymajac ja przechylona na ramie.

"Chyba nie bede musiala pytac zadnej babci, jak to jest byc stara - pomyslala, kucajac i robiac siusiu. - Teraz juz doskonale wiem".

Kiedy wrocila do kupki galezi, na ktorych przespala noc ("jak wiewiorka ziemna w swojej norze" - pomyslala, krzywiac sie lekko), dostrzegla, ze sasiednie wypelnione iglami zaglebiecie w ziemi wyglada dosc niezwykle. Igly zostaly rozrzucone, a spod nich w jednym miejscu wyzierala czarna ziemia. Byc moze wiec dzis, wczesnym rankiem, wcale nie oszalala ze strachu, a przynajmniej nie oszalala do konca. Kiedy bowiem wreszcie zasnela, cos jednak do niej przyszlo. Przyszlo do miejsca, gdzie spala, moze nawet przykucnelo w rozpadlinie i obserwowalo ja spiaca; namyslalo sie, czy skonczyc z nia teraz, i w koncu postanowilo, by dojrzewala przez jeszcze jeden dzien. Zeby przez ten dzien stala sie slodsza, niczym jagoda.

Trisha okrecila sie dookola, doznajac niejasnego wrazenia, ze kiedys juz to robila; nie pamietala jednak, ze przed zaledwie kilku godzinami obrocila sie dokladnie tak samo i w tym samym miejscu. Wykonala pelny obrot, zatrzymala sie w tej samej pozycji, ktora przybrala wczesniej, i kaszlnela nerwowo, zakrywajac usta dlonia. Od kaszlu poczula tepy bol gleboko w

piersi. Nie zaniepokoiło jej to; ból sprawiał przynajmniej wrażenie ciepłego, a ona była tak strasznie zmarznięta...

-Odeszło, Tom - powiedziała. - Czymkolwiek było, odeszło. Przynajmniej na razie.

"Owszem - odparł Tom. - Ale przecież wróci. Przedziej czy później będziesz musiała jakos sobie z tym poradzić".

-Niech dzień ten nie kończy się gorzej, niż się zaczął - rzekła dziewczynka. To powiedzenie zawdzięczała babci McFarland. Nie bardzo wiedziała, co ono właściwie ma znaczyć, ale wydawało jej się, że przynajmniej trochę rozumie i że pasuje ono do tej sytuacji.

Usiadła na kamieniu przy wiązce galezi i zjadła trzy wielkie garście mieszanki golterii z buczyna, wmawiając sobie, że to płatki śniadaniowe z suszonymi owocami. Jagody nie wydawały się już takie smaczne jak poprzednio, ba, wręcz twarde; spodziewała się, że jeszcze mniej smaczne i jeszcze twardsze wydadzą jej się po południu. Niemniej jednak zjadła pełne trzy garście, po czym poszła do strumyka napić się wody, w wodzie znowu dostrzegła małe pstragi i choć nie wydawały się jej większe od okonków lub dużych sardynek, powodowana nagłym impulsem postanowiła schwytac jednego z nich. Zesztywnienie ciała po nocy już tak nie doskwierało, słońce wstawało powoli i dzień robił się coraz cieplejszy, więc i Trisha czuła się odrobine lepiej. Niemal spodziewała się czegoś dobrego. Prawie wierzyła, że wreszcie dopisze jej szczęście. Nawet kaszel już jej tak bardzo nie dokuczał.

Powróciła do miejsca, w którym spędziła noc, znalazła załosne

pozostalosci plaszcz od deszczu i rozpostarla go na kamieniach. Następnie udala sie na poszukiwanie kamienia o ostrych krawedziach i znalazla jeden, znakomity, w miejscu, gdzie strumien spadal przez obla krawedz rowniny do znajdujacej sie ponizej dolinki. Zbocze bylo chyba tak samo strome, jak to, po którym zjechała pierwszego dnia (ten pierwszy dzien wydawal sie jej odlegly o dobre piec lat), uznala jednak, ze bardzo latwo bedzie nim zejsc, poniewaz gesto porastaly je drzewa, ktorzych moglaby sie chwycic w potrzebie.

Trzymajac kamien w dloni, wrocila do miejsca, gdzie przedtem rozlozyla plaszcz (rozpostarty na kamieniach wygladal niczym szereg wycietych z papieru laleczek), i zaczela odcinac od niego kaptur ponizej linii ramion. Wlasciwie nie wierzyła, by udalo jej sie schwytac rybe w odciety kaptur, ale zawsze przeciez mozna sprobowac i bedzie z tego niezla zabawa, a poza tym nie miala zamiaru schodzic po zboczcu, dopoki jej cialo nie odzyska dawnej sprezystosci. Pracujac, nucila pod nosem, najpierw piosenke "Boyz To Da Maxx", ktora od dawna chodzila jej po glowie, potem "MMM-Bop", pozniej fragmenty "Take Me Out to the Ballgame", ale najczesciej wracala do reklamowego refrenu "Do kogo dzwonisz, gdy peknie ci szyba?"

Chlodny wiatr, wiejacy noca, przeploszyl wiekszosc owadow, ale dzien robil sie coraz cieplejszy i wktrotce nad glowa Trishy unosila sie jak zwykle chmara malych powietrznych akrobatow. Juz prawie ich nie zauwazala, od czasu do czasu, gdy ktorys z nich za bardzo zblizyl sie do jej oczu, machala nan niecierpliwie reka.

Odcielala wreszcie kaptur i trzymajac go do gory nogami, przyjrzala sie swemu dziełu krytycznym okiem. Pewnie nie zadziala jak nalezy, ale wygladal fajnie. Po prostu fajnie.

-"Do kogo zadzwonisz, mala, ach, do kogo, kiedy ta cholerna szyba rozleci ci sie w drodze?" - zaspiewala cicho, podchodzac do brzegu strumienia. Wypatrzyła sterczące nad powierzchnia wody dwa kamienie i stanęła na nich. Spojrzała w dół, pomiędzy rozstawione nogi. Ujrzała kamieniste dno, drzące w miejscach, gdzie światło załamywało się w prądzie przejrzystej wody. Nie widziała na razie żadnej ryby, ale co z tego? Rybacy, nawet dziewczyny, muszą przecież być cierpliwi. "Otocz mnie ramionami, bo chce się do ciebie przytulic" - zaspiewala i rozesmiała się. Ale fajnie. Trzymając kaptur za długie strzepy materiału przy ramionach, pochylila się i zanurzyła w wodzie ten improwizowany wiecierz.

Prąd zepchnął kaptur nieco dalej między jej nogi, pozostał on jednak otwarty, więc wszystko było w porządku. Cały problem polegał na tym, że stała pochylona, z wypiętą w górę pupą i głową mniej więcej na wysokości brzucha. Nie da rady wytrzymać w tej pozycji długo, a gdyby próbowała kucnąć, zmęczone, obolałe nogi nie wytrzymałyby pewnie, a ona sama wpadłaby do wody. Zanurzenie z głową bez wątpienia niekorzystnie wpłynęłoby na kaszel.

Kiedy poczuła dudnienie serca w skroniach, zdecydowała się na pewien kompromis. Ugięła kolana, za to lekko wyprostowała się w pasie, w ten sposób musiała spojrzeć nieco w górę strumienia i nagle dostrzegła w wodzie trzy jasne błyski - rybki, bez najmniejszej wątpliwości rybki! - płynące szybko w jej kierunku. Gdyby miała czas, aby jakos zareagować, najprawdopodobniej poderwałaby kaptur i nie złapała niczego. Na szczęście wystarczyło jej czasu tylko na jedną jedyną myśl: "Sa jak podwodne spadające gwiazdy" - i nagle srebrne błyskawice

plynely juz pomiedzy kamieniami, na ktorych stala. Jednej rybce udalo sie ominac kaptur, ale dwie wplynely wprost do niego.

-Hura! - krzyknela Trisha, i byl to okrzyk nie tylko radosci, lecz takze zdumienia, wrecz szoku. Pochylila sie i zlapala dolna krawedz kaptura. Stracila przy tym rownowage i omal me wpadla do strumienia. Podniosla pelen przelewajacej sie przez brzegi wody kaptur, trzymajac go oburacz. Kiedy schodzila z kamieni na brzeg, scisnela go; woda przelala sie wiekszym strumieniem, moczac jej nogawke dzinsow od biodra do kolana z woda wyplynal jeden z malych pstragow, wijac sie i machajac ogonem w powietrzu, smignal do strumienia i natychmiast umknal.

-O, mamusiu! - krzyknela Trisha, lecz teraz takze sie smiala. Wspinala sie po zboczcu, trzymajac kaptur przed soba. Nagle dostala ataku kaszlu.

Znalazla sie wreszcie na mniej wiecej rownym terenie. Zajrzala do kaptura, przekonana, ze nic w nim nie zobaczy, druga rybka chyba takze jej uciekla, male dziewczynki nie lapia przeciez pstragow, nawet malutkich pstragow, a juz z cala pewnoscia nie w odciete kaptury plaszczy przeciwdeszczowych, musiala jej gdzies uciec, tyle ze ona tego nie zauwazyla. Ale pstrag wcale nie uciekl, wrecz przeciwnie -plywal po kapturze w kolko, wesolo niczym zlota rybka w akwarium.

-Boze, co mam teraz zrobic? - spytala Trisha, i byla to modlitwa najprawdziwsza z prawdziwych; brzmial w niej przestach i zdumienie. Na modlitwe te odpowiedzialo jej cialo raczej niz dusza. Widziala mnostwo filmow animowanych, w ktorych Wile E. Coyote widzial Strusia Pedziwiatra w postaci upieczonego indyka; i ona smiala sie na ten widok, i Pete, i nawet mama,

kiedy ogladala z nimi telewizje. Teraz jednak Trisha sie nie smiala. Jagody i buczyna wielkosci ziaren slonecznika byly oczywiscie wspaniale, ale z cala pewnoscia nie stanowily podstawy najpozywniejszej diety swiata. Nawet jesli jadlo sie je naraz, wmawiajac sobie, ze to platki sniadaniowe z owocami, nie wystarczaly. Jej cialo zareagowalo na dziesieciocentymetrowego pstraga, plywajacego w niebieskim kapturze plaszcza przeciwdeszczowego, gwaltownie, choc nie uczuciem glodu, lecz raczej uciskiem; sciskaniem w zoladku, oraz wywodzacym sie skadinad, nieartykulowanym krzykiem (DAJ MI TO!) niewiele majacym wspolnego z procesem myslenia, a przeciez byl to tylko maly pstrag, o wymiarach, ktore nie dozwalaly na polow, niemniej jednak niezaleznie od tego, co widzialy oczy dziewczynki, jej cialo wolalo o kolacje.

Trzymajac kaptur nad szczatkami plaszcza, ktory wygladal w tej chwili jak wycieta z papieru lalka bez glowy, Trisha powtarzala sobie w duchu: "Zrobie to, ale nikomu o tym nie powiem. Jesli kiedys mnie znajda, jesli kiedys mnie uratuja, opowiem im o wszystkim z wyjatkiem tego, jak usiadlam we wlasnej kupie... i pstraga".

Postepowala bez zadnego swiadomego planu, instyktownie, cialo odsunelo umysl w zapomnienie i przejelo kontrole nad swiadomoscia. Wylala zawartosc kaptura na pokryta sosnowymi iglami ziemie, przez pewien czas przygladala sie malej rybce, tanczacej na powietrzu, ktore dla mej oznaczalo smierc, a kiedy rybka wreszcie znieruchomiala, podniosla ja, polozyla na resztkach plaszcza i rozplatala jej brzuch ostrza krawedzia kamienia, ktorego uzyla wczesniej do odcięcia kaptura, z pstraga wylal sie naparstek wodnistogalaretowatego plynu,

przypominającego bardziej rzadki smark niż krew, w jego ciele widziała male, drobne wnętrzości. Usunęła je brudnym paznokciem kciuka. Przyszła teraz kolej na kregosłup. Próbowала go wyciągnąć; udało się jej to mniej więcej w połowie. Przez cały ten czas dziewczynki umysł zaledwie raz spróbował odzyskać kontrolę nad ciałem.

"Nie zjesz głowy - mówił spokojnie, lecz pod tym pozornym spokojem kryło się przerażenie i obrzydzenie. - Trisha, przecież... przecież tam są oczy! Oczy!" Po czym ciało przejęło nad nim kontrolę, tym razem odrobinię brutalniej niż przedtem. "Jeśli zechce wysłuchać twojej opinii, potrząśnij klatką, w której spisz" - jak to czasami mówiła Pepsi.

Trisha wzięła małą, wybebeszona rybkę za ogon, zaniósła z powrotem do strumienia i wymyśla, by oczyścić ją z igieł i brudu. Następnie odchyliła głowę w tył, otworzyła usta i odgryzła połowę małego pstrąga. Poczula pod zębami delikatne osci, umysł próbował podsunąć jej obraz oczu ryby wyskakujących z głowy i lądujących na języku niczym dwie krople galarety. Nim obraz ten zdążył się wyklarować, ciało po raz kolejny przejęło kontrolę nad umysłem, tym razem naprawdę brutalnie. Umysł może sobie funkcjonować, gdy ktoś będzie go potrzebował, wyobraźnia tak samo, lecz na razie rzadziło ciało, a ciało marzyło o kolacji, może to i poranek, nie wieczór, ale mamy kolację, a na kolację podano świeżą rybkę.

Górna połowa małego pstrąga smakowała niczym łyk oleju, pełnego jakichś grudek. Był to smak okropny, lecz w pewien sposób także cudowny. Trisha spojrzała na dolną połowę tylko po to, by wydłubać z niej kawałek osci i powiedzieć szeptem: "Zadzwoń 1-800-54-Swieża Rybka".

Pozarła całego pstrąga, nie wyłączając ogona, a kiedy go przełknęła, wstała i stojąc zwrócona twarzą do strumienia, zastanawiała się, czy przypadkiem nie wymiotuje pożywienia. Zjadła w końcu rybę na surowo i choć nadal czuła w ustach jej smak, trudno było doprawdy w to uwierzyć. Poczula ucisk w żołądku i pomyślała: "Oko, to właśnie to", ale tylko beknęła i wszystko okazało się w porządku. Odjęła dłoń od ust, dostrzegła na niej małe rybnie luski, wytarła ją o dzinsy, skrzywiła się i podeszła do plecaka. Włożyła do niego resztki płaszcza przeciwdeszczowego i - osobno - odcięty kaptur (okazał się całkiem przydatny, przynajmniej do łapania małych, głupich rybek), przykrywając nimi jagody i buczynie, a potem zarzuciła plecak na ramiona, w tej chwili czuła się jednocześnie silna, zawstydzona, dumna z siebie, rozgorączkowana i z lekka szalona.

"Nikommu o tym nie powiem - pomyślała. - Nie muszę nikomu o tym mówić i nikomu o tym nie powiem. Nawet jeśli się stąd wydostane".

-a przecież zasługuje na to, żeby się stąd wydostać - powiedziała cicho. - Każdy, kto zjadł rybę na surowo, zasługiwałby na to, żeby się stąd wydostać.

"Japonczycy codziennie jedzą rybę na surowo" - powiedziała twarda slichnotka. Trisha w tej chwili szła już wzdłuż strumienia.

-No więc im opowiem - obiecała głośno. - Jeśli kiedykolwiek pojedzie do Japonii, opowiem im wszystko.

Twarda slichnotka nie znalazła celnej riposty. Trishe niezwykle to ucieszyło. Zeszła ostrożnie po zboczu dolinki, której dnem

strumyk płynął sobie wesoło wśród mieszanego lasu. Drzewa liściaste rosły gęsto, za to mniej było tu krzaków i jeżyn. Trisha szła szybko. Nie czuła, by była obserwowana, surowa ryba dodała jej siły i energii. Udawała, że wraz z nią maszeruje przez las Tom Gordon; rozmawiali ze sobą przez cały czas, a ich rozmowa dotyczyła głównie jej. Tom najwyraźniej bardzo pragnął wszystkiego się o niej dowiedzieć: jakie przedmioty najbardziej ją interesują, dlaczego uważa pana Halla za złośliwego, bo w piątek zadaje pracę domową, jak Debra Gilhooly może być taka złośliwa suka, jak ona i Pepsi zamierzały obchodzić domy w Halloween przebrane za Spice Girls i jak jej mama powiedziała, że mama Pepsi może robić, co jej się żywnie podoba, ona jednak nie pozwoli, by dziewięcioletnia dziewczynka obchodziła domy w krótkiej spodniczce, pantoflach na wysokich obcasach i bardzo skąpym staniczku. Tom najwyraźniej rozumiał, dlaczego tak strasznie ją to zawstydzilo.

Opowiadała mu właśnie, jak z Pete'em zdecydowali, że kupią tacie puzzle w tej firmie w Yermencie, która je robi na zamówienie, a jeśli okaza się za drogie, dostanie od nich środek chwastobójczy, kiedy nagle zatrzymała się jak wrosnięta w ziemię.

Stała i milczała.

Przyglądała się strumieniowi przez pełną minutę. Usta wyginały jej się coraz bardziej w podkowkę, ręka machinalnie opędzała się od krzaków nad jej głową muszek. Wśród drzew widziała więcej gęstych krzaków, same drzewa zaś były wyraźnie niższe. Miała wrażenie, że światło słoneczne jest tu jasniejsze. Świeższe cykały donosnie.

-Nie - powiedziała. - Nie, nic z tego, nie ma mowy. Jeden raz wystarczy.

Strumień nie szemrał już tak rozgłosnie; ucichł, i to właśnie zwróciło jej uwagę na fakt, że coś się dzieje, oderwało ją od rozmowy z Tomem Gordonem (ludzie, których sobie wyobrazasz, potrafią tak doskonale słuchać). Zabrakło jej przede wszystkim szmeru strumienia. Strumień nie szemrał, ponieważ płynął znacznie wolniej. Na jego dnie rosło też znacznie więcej wodorostów i był szerszy niż w dolinie.

-Jeśli to początek kolejnego bagna, zabije się, Tom - powiedziała.

W godzinę później przedzierała się powoli przez gąszcz brzozy i topoli. Podniosła dłoń do czoła, by zgnieść szczególnie dokuczliwego komara, i nagle zamarła nieruchoma, niczym posąg, jak każdy człowiek od początku dziejów, zmordowany i nie wiedzący, co począć i gdzie się obrócić.

W którymś momencie strumień przelał się przez niskie brzegi na okoliczny grunt, tworząc płytkie bagno, zarosnięte trzcinami i palkami wodnymi. Słońce odbijało się od widocznych między roślinami kaluz stojącej wody. Świerszcze cykały, rechotały zaby, dwa jastrzębie kłazy w powietrzu, nie poruszając skrzydłami, skądś dobiegało krakanie wron.

To bagno nie wyglądało tak okropnie jak poprzednie, w którym brnęła od wzgórka do wzgórka pomiędzy martwymi, zgnilymi drzewami, rozciągało się jednak co najmniej na półtora kilometra, a może nawet dwa, aż do widocznego stada, zarosniętego sosnami pagórka.

Po strumieniu nie pozostał oczywiście choćby ślad.

Trisha usiadła na ziemi, zaczęła coś mówić do Toma Gordona i uswiadomiła sobie, jak to głupio udawać, kiedy jest jasne - i z każdą godziną staje się jasniejsze - że przyjdzie jej umrzeć niezależnie od tego, ile kilometrów przejdzie, ile ryb złapie i czy jakimś cudem zdoła je przelknąć. Rozplakała się. Objęła głowę ramionami, szlochając rozpaczliwie.

-Chce do mamy! - krzyknęła w nieruchome, obojętne powietrze. Jastrzębie odleciały, ale z dala, zza porośniętego sosnami grzbietu wzgorza, nadal slychac było krakanie wron. - Chce do mamy, chce do brata, chce do lalki, chce wrócić do domu! - Ząby rechotały, co przypomniało jej opowiadanie, które tata czytał jej, kiedy była mała, o samochodzie zapadniętym w błoto i ząbach rechocących: "Nie rruszsz, nie rruszsz". Okropnie ją to wówczas przeraziło.

Plakała i plakała, aż w którymś momencie rozszlościło ją, że płacze. Tyle łez, tyle tych wstętnych, obrzydliwych łez. Spojrzała w niebo; nad jej głową unosiła się chmara owadów. Nienawistne łzy nadal spływały po ubłoconych policzkach.

-Chce do mamy! Chce do brata! Chce się stąd wynieść, słyszycie mnie? - Wierzgnęła nogami w górę i w dół, tak mocno, że spadł jej but. Zdawała sobie sprawę, że właśnie dostała ataku dziecięcej wściekłości, pierwszego od czasu, gdy miała pięć czy sześć lat, ale w gruncie rzeczy nic jej to nie obchodziło. Rzuciła się na plecy, waliła w ziemię piściami, po czym rozwarła je, darła palcami trawę i wyrzucała ją w powietrze. - Chce się stąd wynieść! - krzyczała. - Wynieść do piekła! Dlaczego nie możecie mnie znaleźć, cholerne gnojki? Dlaczego nie potraficie mnie

znalezc? Ja... chce... do... domu!

Leżała, patrzac w niebo i oddychajac ciezko. Miesnie brzucha bolaly ja od placzu, gardlo od krzyku, ale poczula sie troche lepiej, jakby uwolnila sie od czegos bardzo niebezpiecznego. Przykryła glowe ramieniem i zasnela, nadal pochlipujac.

Kiedy sie obudzila, slonce zachodzilo juz za wzgorze po przeciwnej stronie bagien. Mijalo kolejne popoludnie. "Powiedz, Johnny, jakie nagrody moga wygrac nasi goscie? No coz, Bob, mamy kolejne popoludnie. Nie jest to zadna wielka nagroda, ale pary takich gnojkw jak my nie stac przeciez na nic lepszego".

Trisha usiadla i natychmiast zakrecilo jej sie w glowie. Przed oczami wirowaly ciemne plamy niczym stado wielkich, czarnych ciem. Przez chwile byla pewna, ze nic nie uratuje jej przed utrata przytomnosc. Slabosc minela, ale gardlo bolalo przy przelykaniu, a czolo wydalo sie gorace. "Nie powinnam spac na sloncu" - pomyslala, choc doskonale wiedziala, ze nie czuje sie zle od spania na sloncu. Zaczynala po prostu chorowac.

Wlozyla but, ktory spadl jej z nogi podczas tego glupiego ataku wscieklosci, zjadla troche jagod i popila woda ze strumienia, ktora napelnila butelke. Znalazla kilka jadalnych paproci, rosnacych na brzegu bagna, i takze je zjadla. Konczyly sie juz, byly twarde i nawet w przyblizeniu nie takie smaczne jak poprzednio, lecz zmusila sie do ich przelknienia. Spozywszy ten wytworny podwieczorek, wstala i spojrzala na przeciwlegly kraniec bagienka, tym razem oslaniajac oczy przed blaskiem zachodzacego slonca. Po chwili krecila glowa powoli, z wahaniem; byl to gest kobiety raczej, i to starej kobiety, nie dziecka. Wyraznie widziala wzgorze i byla pewna, ze jest tam

sucho, nie potrafiła jednak wyobrazić sobie siebie samej znow przedzierającej się przez błoto do kolan, z reebokami związanymi za sznurowadła i wiszącymi jej na szyi. Nawet jeśli to bagienko było płytsze od poprzedniego i nie takie obrzydliwe, nawet jeśli na jego drugim brzegu rosły najpyszniejsze na świecie jadalne paprocie, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Bo i dlaczego miałyby to robić, skoro i tak by nie szła z biegiem strumienia? Niewykluczone przecież, że w innym kierunku, gdzie iść było łatwiej, znajdzie pomoc, lub przynajmniej kolejny strumień.

Snując tego rodzaju myśli, ruszyła wprost na północ wzdłuż wschodniego brzegu bagienka, które wypełniało całe niemal dno lesnej dolinki. Odkąd zablądziła, podjęła wiele mądrych decyzji, o wiele więcej, niż skłonna była przypuszczać, teraz jednak uczyniła bardzo zły wybór, najgorszy od chwili, gdy w ogóle zdecydowała się zejść ze szlaku. Gdyby przekroczyła bagienko i wspięła się na wzgórze, z jego szczytu dostrzegłaby jezioro Devlin na przedmieściu Green Mount w New Hampshire. Jezioro było niewielkie, ale na jego południowym brzegu znajdowały się letnie domki, była też droga gruntowa, prowadząca do szosy numer 52.

W sobotę lub w niedzielę nawet z miejsca, w którym stała, z pewnością słyszałaby ryk motorówek, ciągnących spędzające weekend w letnich domkach dzieciaki na nartach wodnych. Po czwartym lipca słyszałaby ten ryk już w każdy dzień tygodnia, na jeziorze bywało tak wiele motorówek, że czasami musiały wykonywać gwałtowne uniki, żeby się nie zderzyć, w tej chwili jednak był środek tygodnia w połowie czerwca i na Devlin nie wypływał jeszcze nikt, może z wyjątkiem rybaków w łódeczkach z dwudziestokonnymi, brzęczącymi niczym komary silniczkami,

Trisha nie usłyszała więc nic z wyjątkiem śpiewu ptaków, rechotu żab i bzyczenia owadów. Zamiast iść w kierunku jeziora, skierowała się w stronę granicy kanadyjskiej i wchodziła coraz głębiej w las. Od Montrealu dzieliło ją jakieś siedemset kilometrów.

Pomiędzy nią i Montrealem nie było właściwie nic.

Siodma rozgrywka

Na rok przed separacją i rozwodem, podczas szkolnych ferii zimowych w lutym, McFarlandowie pojechali na tydzień na Florydę. Nie były to bynajmniej mile wakacje, za często dzieci ponuro przesypywały piasek, podczas gdy rodzice kłócili się, zamknięci w małym, wynajętym domku przy plaży (on za dużo pije, ona za dużo wydaje, przecież mi obiecales, dlaczego ty nigdy, ple, ple, ple, bo ty tak zawsze). Podczas lotu powrotnego do domu jakimś cudem to Trishy, a nie jej bratu, przypadło miejsce przy oknie. Samolot podchodził do lądowania na Logan przez warstwy chmur, lecąc tak ostrożnie, że przypominał grubą starszą damę, idącą chodnikiem, miejscami pokrytym lodem. Trisha siedziała z głową przycisniętą do szyby, zafascynowana widokiem. Lecieli przez doskonale biały świat... gdzieś nisko na moment przebłyskiwała ziemia lub stalowoszara woda bostońskiego portu... a potem znowu ogarniała ich biel i tylko gdzieś tam, na krótko, migła jakaś skrawek prawdziwego świata. Przez cztery dni od chwili, gdy podjęła decyzję nieprzekraczania bagienka, Trisha żyła jak wówczas, w samolocie... przede wszystkim w świecie białej pustki. Pozostały jej po tych dniach oderwane wspomnienia, którym nie ufała; mniej więcej we wtorek po południu granica między rzeczywistością a światem wyobraźni zaczęła się zacierać. Od

niedzielnego ranka, w tydzień potem, jak zablądziła (choć nie wiedziała, że minął tydzień, zdawała już stracić poczucie czasu), Tom Gordon był już jej stałym towarzyszem, nie udawanym, lecz uznanym za rzeczywistego. Przez pewien czas towarzyszyła jej także Pepsi Robichaud, śpiewały na głos ulubione piosenki "Spice Girls" i "Boyz To Da Maxx", ale w pewnym momencie Pepsi skryła się jednak za drzewkiem i już zza niego nie wyszła. Trisha zajrzała za to drzewko, nie zobaczyła za nim przyjaciółki, stała przez kilka chwil zdziwiona, ze zmarszczonym czołem, aż wreszcie zrozumiała, że Pepsi tam nigdy nie było. Usiadła na ziemi i rozplakała się. Kiedy szła przez wielką, usianą glazami polanę, nad jej głową zawisł złowrogi czarny helikopter, bardzo podobny do tych, jakimi latali zli faceci z rządu, ukrywający istnienie obcych w serialu "Z archiwum X". Wisiał tak w powietrzu, słychać było tylko bardzo ciche pulsowanie jego wirnika. Trisha machała jak szalona i krzyczała, faceci z helikoptera musieli ją widzieć, ale helikopter odleciał i już nie powrócił. Trafiała na las starych sosen, w wiszącym w powietrzu pył widziała przedzierające się przez ich galezie skośne promienie słońca i było zupełnie jak w katedrze, tylko z galezi tych sosen zwisały okaleczone ciała tysięcy jeleni, wymordowanej jeleniej armii, robaki pożywiały się tymi ciałami, wokół których krążyły muchy. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, gnijące jelenie tusze znikły. Znalazła strumień i przez jakiś czas szła z jego biegiem, ale potem albo strumień znikł, albo ona od niego odeszła, nim się to jednak stało, zajrzała do wody i dostrzegła w niej, na dnie, ogromną twarz topielca, w jakiś sposób jednak żywą, patrzącą na nią i poruszającą ustami, jakby coś mówiła. Trisha minęła wielkie siwe drzewo, przypominające pustą w środku dłoń z chudymi, powykrecanymi palcami, i z glebi tego drzewa usłyszała swoje imię, wymówione przez groźny, martwy

głos. Którejś nocy obudziła się, czując na piersi ucisk, i była pewna, że to coś z lasu wreszcie jej dopadło, ale kiedy wyciągnęła rękę, nie dotknęła niczego i po chwili znów mogła oddychać. Kilkakrotnie słyszała wołających ją ludzi, lecz kiedy sama krzyczała, nikt jej nie odpowiadał.

W białej pokrywie złudzeń błyskała od czasu do czasu rzeczywistość, niczym ziemia widziana z latającego samolotu. Dziewczynka pamiętała wielką polanę jagód na zboczu wzgórza; zbierała je, śpiewając: "Gdzie zadzwonisz, gdy pęknie ci szyba?" Pamiętała, jak napełniała butelkę po wodzie i po Surge z małego źródełka. Pamiętała, jak potknęła się o korzeń i spadła do małego, wilgotnego wgłębienia w ziemi, gdzie rosły najpiękniejsze kwiaty, jakie zdarzyło się jej widzieć w życiu: białe jak śnieg, pachnące, pełne wdzięku niczym dzwonki. Doskonale pamiętała, że widziała pozbawione głowy ciało lisa, które - w odróżnieniu od armii jeleni - nie znikło, gdy zamknęła oczy, policzyła do dwudziestu, a potem znów je otworzyła. Była także całkiem pewna, że widziała wronę wiszącą na gałęzi Ibem w dole i kraczącą na nią, i choć wydawało się to niemożliwe, wspomnienie owego wydarzenia miało - w odróżnieniu od wspomnienia helikoptera - żywy kolor i określony kształt. Pamiętała, jak w strumieniu, w którym później zobaczyła twarz topielca, próbowała znów łapać ryby w kaptur, lecz z braku pstrągów musiała zadowolic się kilkoma kijankami; potknęła je w całości, upewniwszy się przedtem, że nie żyją; przeraziła ją sama myśl o tym, że mogłyby przetrwać w jej żołądku i zamienić się tam w zaby.

Była chora, co do tego bynajmniej się nie myliła, ale jej organizm wyjątkowo uparcie walczył z infekcją płuc, gardła i zatok. Bywało

tak, że przez kilka godzin z rzędu gorączka pozerła ją i Trisha nie miała praktycznie żadnego kontaktu z rzeczywistością. Światło, nawet słabe, przefiltrowane przez gęste gałęzie drzew, raziło ją w oczy. Rozmawiała przez cały czas, przede wszystkim z Tomem Gordonem, lecz także z matką, bratem, ojcem, Pepsi oraz ze wszystkimi nauczycielami, którzy do tej pory ją uczyli, łącznie z panią Garmont z przedszkola. Pewnej nocy obudziła się, leżąc na boku, zwinięta w kłębek, z kolanami przycisniętymi do piersi, kaszłac tak ciężko, że aż bała się, że coś się w niej oberwie. Za każdym razem jednak, zamiast wzrastać, gorączka spadała lub znikła w ogóle, podobnie znikaly towarzyszące jej bóle głowy. Była taka noc (czwartkowa, choć ona oczywiście o tym nie wiedziała), która przespala bez przerwy, do rana, i obudziła się niemal wypoczeta; jeśli nawet kaszłała, to nie na tyle silnie, by kaszel ją obudził. Trujący bluszcz zranił ją w lewe ramię, lecz natychmiast rozpoznała niebezpieczeństwo i natarła rękę błotem. Podrażnienie nie rozszerzyło się.

Najwyraźniej pamiętała jednak chwile, kiedy leżała w szalaszach, które kleiła z gałęzi, i słuchała transmisji meczów Czerwonych Skarpet. Czerwone Skarpety wygrały dwa z trzech meczów w Oakland, w obu wypadkach dzięki Tomowi Gordonowi. Mo'Nique wybił na dwa pełne obiegnięcia, a Troy O'Leary (zdaniem Trishy, naprawdę fajny zawodnik) na jedno. Mecze odbierała na WEEI i choć odbiór był każdej nocy nieco gorszy, baterie sprawowały się doskonale; pamiętała, jak pomyślała raz, że jeśli uda jej się wyjść z lasu, będzie musiała napisać list wielbicielki do kroliczka Energizera. Zresztą dbała o nie, wyłączając radio za każdym razem, kiedy poczuła się senna. Ani razu nie pozostawiła go włączonego na noc, nawet w piątek, gdy drżała z gorączki, szarpały ją dreszcze i miała rozwolnienie.

Radio było jej liną ratunkową, mecze - tratwa na wzburzonym morzu. Gdyby nie oczekiwanie na transmisję, chyba by się w końcu poddała.

Dziewczynka, która weszła do lasu (mająca prawie dziesięć lat i wysoka jak na swój wiek), ważyła czterdzieści trzy kilogramy. Dziewczynka, która w siedem dni później prawie na ślepo wspiniała się na wzgórze w sosnowym lesie, a potem wyszła na niewielką polankę, porośniętą gęsto krzaczkami, ważyła najwyżej trzydzieści pięć. Twarz miała spuchnięta od ukąszeń komarów, w kąciku ust po lewej stronie wyrosł wielki, spowodowany zimnem wrzód. Jej ramiona wyglądały jak cienkie patyczki. Bezustannie i nieswiadomie podciągała opadające dzinsy. Śpiewała pod nosem: "Otocz mnie ramionami... chce się do ciebie przytulić", i w ogóle wyglądała jak jedna z najmłodszych na świecie ofiar heroiny. Do tej pory wykazywała się pomysłowością, miała szczęście do pogody (cieplej, lecz nie upalnej, suchej od dnia, kiedy zablądziła i zmokła w burzy), a poza tym udało jej się odkryć w sobie wielkie, choć ukryte rezerwy sił. Teraz jednak rezerwy te były na wyczerpaniu i Trisha, mimo że nie mogła już myśleć jasno, w jakiś sposób zdawała sobie z tego sprawę. Dziewczynka, która zataczając się, szła przez polankę na szczyt wzgórza, dotarła już niemal do kresu swej drogi.

W świecie, który pozostawiła za sobą, ludzie udawali jeszcze, że jej szukają, choć w głębi duszy wszyscy członkowie resztek ekip poszukiwawczych byli pewni, że nie żyje. Rodzice Trishy, z wahaniem i wciąż jeszcze z niedowierzaniem zaczęli zastanawiać się, czy powinni już przygotowywać uroczystości żałobne, czy też zaczekać z nimi do znalezienia ciała, a jeśli zdecydują się czekać, to jak długo? Nie zawsze przecież

znajdowano ciała zaginionych. Pete mówił niewiele, oczy miał podkrawzone, nie reagował na otoczenie. Zabrał Moanie Balogne do swojego pokoju. Posadził ją w kacie tak, że patrzyła na jego łozko, a raz, kiedy zobaczył, że matka się jej przygląda, powiedział: "Nie smiej jej dotknąć. Zabraniam".

W świecie elektryczności, samochodów i asfaltowych dróg Trishe uznano za zmarłą, w tym świecie, który istniał poza utartymi ścieżkami, w świecie, gdzie wrony zwisały czasami z gałęzi lebkami w dół, była bliska śmierci, lecz nadal parla przed siebie (jak zwykły mawiać jej ojciec). Zbaczała czasami na wschód, czasami na zachód, ale niezbyt często i nie aż tak, by robiło to jakas różnicę. Cechująca jej umysł zdolność do poruszania się w jednym, określonym kierunku była niemal tak samo cudowna, jak cechująca jej ciało zdolność do zwalczania infekcji płuc i zatok, nie wrosła jednak aż tak dobrze. Powoli, lecz wytrwale Trisha oddalała się od co gęściejszych skupisk miasteczek i wiosek New Hampshire, zagłębiając się w coraz dzikszy, dziewiczy las.

Stwor z lasu, kimkolwiek był, towarzyszył jej nieustępliwie. Choć nie uznawała za rzeczywiste większej części tego, co czuła, słyszała i widziała, bez wahania uznawała za rzeczywistą obecność tego, co kapłan os nazwał Bogiem Zagubionych, i nie brała poznaczonych pazurami drzew (oraz, by o nim nie zapomnieć, także bezgłowego lisa) za zwykłą halucynację. Kiedy czuła obecność stwora (lub słyszała go, kilkakrotnie bowiem dobiegł ją dźwięk łamanych przez niego gałęzi, a dwukrotnie także niskie, nieczłowiecze chrzkanie), nie miała najmniejszych wątpliwości, że stworzyciel rzeczywiście istnieje, a gdy wrażenie jego obecności opuszczało ją, nie wątpiła, że po prostu się oddalił. Byli ze sobą związani i pozostaną, dopóki ona nie umrze. Zdaniem Trishy,

mialo to nastapic niedlugo. Smierc "czekala na nia zarogiem", jak zwykla mawiac jej matka, tyle ze w lesie nie bylo rogow. Byly owady, bagna i strome zbocza dolinek, ale nie wegly, nie rogi. Nie wydawalo jej sie w porzadku, ze ma umrzec, choc tak dlugo i wytrwale walczyła o zycie, lecz ta fundamentalna niesprawiedliwosc nie powodowala juz wybuchow zlosci. Gniew odbieral energie. Odbieral zywnosc, a jej zaczynalo brakowac i jednego, i drugiego.

W polowie nowej polanki, ktora niczym nie roznila sie od wielu poprzednich, Trisha dostala ataku kaszlu. Od kaszlu bolaly ja pluca; czula sie tak, jakby w piers wbito jej wielki hak. Pochylila sie, zlapala sterczacy z ziemi ulamek drewna i kaszlala, poki z oczu nie poplynely jej lzy, tak ze wszystko widziala podwojnie. Kaszel oslabil wreszcie i ucichl, lecz przez pewien czas pozostawala jeszcze skulona, czekajac, az jej serce zwolni szalency bieg, a tanczace przed oczami wielkie czarne cmy zwina skrzydla i odleca tam, skad przylecialy. Dobrze, ze znalazl sie tu ten pieniek i mogla sie go przytrzymac, gdyby go nie bylo, z pewnoscia by sie przewrocila.

Spojrzala na pieniek i nagle przestala myslec, a kiedy oprzytomniala, jej pierwsza mysla bylo: "Nie widze tego, co wydaje mi sie, ze widze. To kolejne dzieło wyobrazni, kolejna halucynacja". Zamknela oczy i policzyla do dwudziestu, a kiedy je otworzyla, czarne cmy znikly, ale poza tym nic sie nie zmienilo. Pieniek drzewa nie byl pienkiem drzewa, lecz slupem. Na wierzchu przegnilego, miekkiego drewna widnialo przerdzewiale na czerwono kolko.

Trisha chwycila je i poczula dotyk prawdziwego zelaza, a kiedy podniosla dlon, na palcach zobaczyla slad rdzy. Zlapala je

znowu, poruszyła nim. Nagle ogarnęło ją uczucie, że już to kiedyś przeżywała, tylko tym razem było to jakby prawdziwsze i wiązało się jakos z Tomem Gordonem. Co?...

-To ci się sniło - powiedział Tom. Stał niespełna dziesięć metrów od niej, opierając się plecami o kłon. Ramiona skrzyżował na piersiach. Miał na sobie szary kostium do gry na wyjazdach. - Sniło ci się, że byliśmy w tym miejscu.

-Naprawdę?

-Oczywiście. Nie pamiętasz? Tego wieczoru, kiedy nie graliśmy. Tego wieczoru, kiedy słuchałaś Walta.

-Walta?... - Chyba pamiętała to imię, ale nie wiedziała, czy jest ono ważne, czy nie.

-Walta z Framingham. El Dopo z telefonem komórkowym.

Cos sobie przypomniła.

-To wtedy spadały gwiazdy?

Tom skinął głową potakująco.

Trisha obeszła słupki, cały czas trzymając w ręku metalowe kółko. Rozejrzała się uważnie dookoła. Tak naprawdę wcale nie była na polance, za dużo tu rosło trawy, wysokiej trawy, jak na polach i łąkach. Bo i stała na łące, a w każdym razie na czymś, co dawno temu było łąką. Kiedy zignorowało się brzozy i krzaki, kiedy ogarnęło się wzrokiem cały obraz, nie było wątpliwości. Stała na łące, a łąki są dziełem ludzi, to ludzie wbijają w ziemię słupki z metalowymi kółkami na gorze.

Przyklekła na jedno kolano i przesunęła dłoń wzdłuż słupka, uważając, by nie wbicić sobie przy tym drzazg, w połowie jego długości namacała dwa otwory i skrecony kawałek starego metalu. Wsunęła dłoń niżej, w trawę, nie znalazła niczego, poszukała dalej wśród sprzystych pasm i wreszcie, między wyschlą trawą i koniczyną, odkryła coś jeszcze; coś, co musiała wyrwać dwiema rękami. Na światło dnia wyjrzał stary, żółty zawias. Podniosła go do słońca. Jego promień przeszedł przez cienką dziurę po gwoździu i na policzku Trishy pojawił się jasny promień światła.

-Tom - westchnęła. Spojrzała na miejsce, gdzie stał, oparty plecami o kłon, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, pewna, że zniknął. Ale Tom nie zniknął. Nie uśmiechał się wprawdzie, miała jednak wrażenie, że w oczach i kącikach jego ust czai się uśmiech. Pokazała mu zawias.

-Popatrz tylko, Tom!

-To była brama - powiedział Tom.

-Brama! - powtórzyła zachwycona Trisha. - Brama! - Innymi słowami: dzieło człowieka. Mieszkańców magicznego świata elektrycznych świateł i środków przeciwko komarom.

-Masz ostatnią szansę, wiesz?

-Co? - Dziewczynka spojrzała na niego zaniepokojona.

-To już koncówka meczu. Nie popełnij błędu, Trisho.

-Tom, ty...

Ale Tom zniknal. Nie to, zeby widziala, jak znika, bo przeciez Toma wcale tu nie bylo. Dzialala wylacznie jej wyobraznia.

-w jaki sposob bronisz wyniku? - spytala go, nie za bardzo juz pamietajac kiedy.

-Musisz pokazac, kto jest lepszy - powiedzial Tom. Byc moze wlozyla w jego usta zapomniane slowa jakiegos komentatora sportowego, a moze slowa wypowiedziane podczas wywiadu po meczu, ktorego sluchala w objeciach taty, z glowa oparta na jego piersi. - i lepiej, zebys to zrobila od razu.

"Ostatnia szansa. Koncowka meczu. Nie popelnij bledu".

-Jak mam tego dokonac, skoro nie wiem nawet, o co chodzi?

Nie otrzymawszy odpowiedzi to pytanie, Trisha obeszla slup jeszcze raz, nie wypuszczajac z reki metalowego kolka, poruszajac sie powoli i godnie niczym starosaksonskie dziewczce tanczace podczas starozytnego rytualu slubnego wokol majowego slupa. Las otaczajacy zarosnieta lake wirowal przed jej oczami, zupełnie jakby krecila sie na karuzeli w Revere Beach w Old Orchard. Ten las nie roznil sie przeciez w najmniejszym nawet stopniu od lasow, ktorymi szla do tej pory, w ktora strone miala sie obrocic? Ktora strona byla wlasciwa? Miala do dyspozycji znak, ale przeciez nie byl to drogowskaz!

-Znak, ale nie drogowskaz - szepnela, przyspieszajac nieco kroku. - Co moze mi powiedziec ten znak, skoro jest to znak, a nie drogowskaz? Jakim cudem ktos tak glupi jak ja...

Nagle wpadla na pewien pomysl. Uklekla. Zranila lydke o

kamień, rana zaczęła krwawić, ale Trisha nawet tego nie zauważyła. Może był to jednak drogowskaz?

Bo tu stała brama.

Ponownie odszukała otwory w słupie, gdzie niegdys przytwierdzone były zawiasy. Ustawiała się z piętami przylegającymi do nich, następnie zaś ruszyła na czworakach przed siebie, pilnując tylko, by iść prosto. Kolano do przodu... drugie kolano do przodu... i znowu...

-Aj! - krzyknęła, podrywając rękę. Zabolalo ją bardziej niż obtarcie łydki. Podniosła dłoń do oczu; przez zaschłe błoto płynął cienki strumyk krwi. Pochyliła się, podparta na rękach, odsunęła trawę; wiedziała, co ją zraniło, a jednak pragnęła zobaczyć to coś na własne oczy.

W dłoń zranił ją ułamek drugiego słupa, sterczący z ziemi na wysokość najwyżej trzydziestu centymetrów, i doprawdy miała szczęście, że tylko się skaleczyła, bo mogła zrobić sobie prawdziwą krzywdę; z odłamka sterczały kilkucentymetrowe drzazgi, które wyglądały na naprawdę bardzo ostre. Nieco dalej, pogrzebana w starej, wyschłej i sprzyskiej trawie, zarosniętej czerwcową zielenią, leżała sprochniała reszta słupka.

"Ostatnia szansa. Koncówka meczu".

-Aha, i może ktoś tu spodziewa się cudów po dziecku - powiedziała głośno. Zdjęła plecak, otworzyła go, wyjęła resztki podartego płaszcza przeciwdeszczowego, urwała z niego strzep i zawiązała wokół złamanego pała. Pracowała, kaszłając nerwowo. Pot zalewał jej twarz. Muszki próbowały go pic, niektóre topiły się

w nim, ale Trisha nie zwracała na to uwagi.

Wstała, założyła plecak i ustawiła się między stojącym słupkiem a złamanym, oznaczonym kawałkiem niebieskiego plastiku.

-Tu była brama, dokładnie tu - powiedziała. Popatrzyła przed siebie, na połnocny zachód. - Nie wiem, dlaczego komus przyszło do głowy budować tu bramę, ale wiem, że bramę buduje się wtedy, gdy za nią jest droga, ścieżka, trakt, cokolwiek... Chce znaleźć tę ścieżkę. Jakąkolwiek ścieżkę. Gdzie ona jest? Pomóż mi, Tom!

Numer 36 nie odpowiedział. Sojka pokpiwała z niej, siedząc na gałęzi, coś poruszyło się w lesie (ale nie to coś, po prostu jakieś zwierze, być może jelen, przez kilka ostatnich dni widziała sporo jeleni), poza tym właściwie nic się nie działo. Przed jej oczami i wszędzie dookoła rozciągała się łąka tak stara, że mogła spokojnie ujść za jeszcze jedną lesną polankę, chyba że ktoś przyjrzałby się jej bardzo dokładnie. Łąka otaczał las, drzewa, których nazwy nawet nie знаła.

Nie widziała ścieżki.

"To twoja ostatnia szansa, wiesz?"

Odwrocila się, poszła polanka na zachód, doszła do granicy lasu i obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy idzie w linii prostej. Okazało się, że tak, więc znowu spojrzała przed siebie. Gałęzie drzew kołysały się na lekkim wietrze, plamy światła poruszały się w każdym możliwym kierunku; efekt był niemal taki, jak od wirującej kuli w dyskotece. Dostrzegła wielki, powalony pień i doszła do niego, przeslizgując się między gesto rosnącymi

drzewami, pod splatanymi gestami, niemal do szalenstwa galeziami, z nadzieją... ale nie, był to tylko powalony pień, nie zaś kolejny słupek. Podniosła wzrok, lecz nie dostrzegła niczego szczególnego. Wroczyła do miejsca, w którym niegdyś stała brama, serce biło jej szybko, oddychała ciężko, urywanie. Tym razem poszła na południowy zachód, jak poprzednio docierając do granicy lasu.

-No dobrze, więc sprawa wygląda tak - zwykły był mówić Troop. - Oto koncówka meczu i Czerwone Skarpety bardzo potrzebują bazowych.

Las, tylko las i nic więcej niż las, a w lesie tym nie było nawet ścieżki wydeptanej przez zwierzyne - a przynajmniej ona jej nie widziała - nie wspominając już o ścieżce wydeptanej przez ludzi. Poszła nieco dalej, usilnie próbując nie płakać, zdając sobie jednak sprawę, że wkrótce rozplacze się mimo wszystko. Dlaczego musi wiać ten okropny wiatr? Jakim cudem da się dostrzec cokolwiek w wirze tych cholernych plam słońca? Zupełnie jakby było się w planetarium albo w ogóle.

-a to co takiego? - spytał Tom, przemawiając zza jej ramienia.

-Co? - odpowiedziała pytaniem, nawet się nie obracając. Tom mógł się pojawić albo nie, tak czy inaczej, nie wydawało jej się to niczym wyjątkowym. - Nic tu nie widzę.

-Spojrz w lewo. Odrobinę. - Wskazał kierunek palcem nad jej ramieniem.

-To tylko ulamany pień - powiedziała, ale czy miała rację? Czy może tylko bała się, że...

-Nie sadze - oswiadczył numer 36, który oczywiście miał oczy baseballisty. - Moim zdaniem, to slupek, dziewczyno.

Trisha podeszła do niego i mocno musiała się przy tym napracować, drzewa rosły tu przerażająco gęsto, podłozę zaś było śliskie i zdradliwe, no i owszem, znalazła kolejny slupek. Przy tym słupku pozostały fragmenty drutu kolczastego, przypominającego małe, groźne muszki.

Trisha zatrzymała się z dłońmi na jednym ze słupków, przyglądając się uważnie przeswietlonemu słońcem, oszukanczemu lasowi. Nieco mglisto przypomniła sobie, jak pewnego deszczowego dnia siedziała w swoim pokoju, skupiona nad książeczką z zadaniami, którą przyniosła jej mama, w tej książeczce był obrazek przedstawiający mnóstwo rzeczy, a w obrazku tym należało znaleźć dziesięć ukrytych przedmiotów: fajkę, kłowna, pierścionek z brylantem, tego rodzaju drobiazgi.

Teraz musiała znaleźć ścieżkę. "Boże, pomóż mi znaleźć ścieżkę" - pomyślała i zamknęła oczy. Modliła się do Boga Toma Gordona, a nie do Niesłyszalnego taty. Nie siedziała przecież w tej chwili ani w Malden, ani w Sanford; potrzebowała więc Boga, który byłby tu, Boga, na którego można byłoby wskazać, gdy (jeśli) obroniłoby się wynikiem meczu. "Boże, proszę, wspomóż mnie w ostatnich rozgrywkach".

Otworzyła oczy najszerzej, jak potrafiła i spojrzała przed siebie, wcale przed siebie nie patrząc. Minęło pięć, piętnaście, trzydzieści sekund, i nagle to, czego szukała, pojawiło się przed jej oczami. Nie miała pojęcia, co dokładnie widzi, być może linie drzew rosnących nieco rzadziej, gdzie słońce świeciło trochę jasniej, być może zaledwie cienie układające się w jednym

kierunku, wiedziała jednak, że widzi to, co pozostało ze ścieżki.

"Będzie nia szła i nie zbocze z drogi, jeśli nie będę za wiele o tym myśleć" - powiedziała sobie w duchu i ruszyła niemal niewidoczna ścieżka. Znalazła następny słupek, mocno przechylony; kolejna zima ze śniegiem i mrozem, kolejna wiosna odwilży i deszczu - i z pewnością zniknie w trawie. "Jeśli zacznę się zastanawiać, czy dobrze idę, z pewnością zejść z tej ścieżki".

Pamiętając o tej prostej zasadzie, Trisha ruszyła śladem słupków, którymi w 1905 roku farmer Elias McCorkle oznaczył ścieżkę do ściągania drewna; wykarczował ją jako bardzo młody człowiek, zanim zaczął pić i przestało mu się chcieć. Szła z szeroko otwartymi oczami, nie wahając się (gdyby się zawahała, zaczęłaby wątpić, a wątpliwości mogłyby okazać się jej zgubą). Nie zawsze znajdowała słupki, ale nie zatrzymywała się, by szukać ich resztek wśród trawy i gęstych krzaków; kierowała się światłem, rzucanymi przez drzewa cieniami i własnym instynktem. Szła tak, nie przyspieszając i nie zwalniając, aż do wieczora. Omijała gęste kępy drzew i kolczaste krzaki jeżyn, nie spuszczać wzroku z nikłych śladów ścieżki. Szła przez siedem godzin i kiedy była właściwie pewna, że kolejna noc spędzi, chroniąc się przed najdokuczliwszymi owadami pod podartym płaszczem przeciwdeszczowym, dotarła do granicy kolejnej polanki, gdzie dostrzegła rząd trzech słupków, z ostatniego z nich zwisały szczatki starej bramy, trzymające się kupy chyba tylko dzięki trawie, która gęsto zarosła dwa dolne krzaki. Za bramą zaś Trisha zobaczyła porośniętą trawą i stokrotkami koleiny drogi, biegnące na południe i zakrecające z powrotem w las. Przez chwilę stała nieruchomo, a potem opadła na kolana i na kolanach ruszyła jedna z kolein. Znowu się rozplakała. Nadal

na czworakach przeszła z jednej koleiny w druga; wysoka trawa laskotała ją w brode.

Pelzła niczym ślepiec, wołając przez łyżki: "Droga! Droga! Znalazłam drogę! Dzięki ci, Boże. Dziękuję ci za tę drogę!"

Zatrzymała się wreszcie i położyła w koleinie. "Zrobiły ją kółka wozu" - pomyślała, śmiejąc się przez łyżki. Przewróciła się na wznak i spojrzała w niebo.

Osma rozgrywka

W kilka minut później Trisha wstała. Szła droga przez dobrą godzinę, aż do zmierzchu. Na zachodzie, po raz pierwszy od dnia, kiedy zablądziła, słyszała groźne pomruki burzy. Powinna schronić się w najgęściej kępie drzew, jaka uda się jej znaleźć, choć ulewa przemoczyłaby ją pewnie i tam do suchej nitki, w tej chwili jednak czuła się tak dobrze, że było jej wszystko jedno. Zatrzymała się na drodze, między koleinami, i już miała zdjąć plecak, kiedy kawalek dalej, mimo mroku, dostrzegła coś. Coś ze świata ludzi, coś kanciastego. Poprawiła plecak na ramionach i ruszyła powoli prawą stroną drogi, przypatrując się temu czemuś jak ktoś, komu popsul się wzrok, jest jednak zbyt próżny, by włożyć okulary. Na zachodzie grzmot odezwał się nieco głośniejsze.

Znalazła polciezarówkę, a właściwie jej szoferkę, zagrzebaną w gęstym poszyciu; maske miała długa, niemal całkowicie zarosnięta bluszczem. Jej połowa była otwarta; dzięki temu widac było, że z samochodu wyjęto silnik, w którego miejscu rozrosły się paprocie. Szoferka zardzewiała, przechyliła się także na jedną stronę. Szyba znikła dawno, dawno temu, siedzenie

pozostalo na miejscu. Jego obicie uleglo jednak niemal calkowitemu zniszczeniu, czesciowo przegnile, a czesciowo zjedzone przez male zwierzatka.

Znow rozlegl sie grzmot. Tym razem Trisha dostrzegla blysk wsrod chmur, ktore zblizaly sie blyskawicznie, pozerajac po drodze gwiazdy.

Ulamala galaz, wsunela ja do srodka poprzez otwor po szybie i zaczela z calej sily walic w siedzenie. Przede wszystkim wywolala zdumiewajaco wrecz wielka i gesta chmure kurzu, wypelzajacego przez dziury po przedniej szybie i bocznych oknach niczym mgla. Jeszcze bardziej zdumiewajaca byla liczba wiewiork ziemnych, wiejacych spod podlogi przez tylna szybe w ksztalcie diamentu.

-Opuscic poklad! - krzyknela Trisha. - Uderzyliśmy w gore lodowa. Kobiety i wiewiorki... - Odetchnela kurzem, dostala rozrywajacego wnetrznosci ataku kaszlu, usiadla ciezko, nadal trzymajac w reku oberwana galaz, i konwulsyjnie lapala powietrze, niemal nieprzytomna. Zdecydowala, ze mimo wszystko nie spedzi nocy w szoferce polciezarowki. Nie bala sie oczywiscie tych kilku wiewiork ziemnych, ktore mogly tam pozostac, nie obawiala sie nawet wezy (gdyby w samochodzie zagniezdzily sie weze, wiewiorki prawdopodobnie wynioslyby sie stamtad juz dawno), nie miala jednak zamiaru spedzic osmiu godzin, oddychajac kurzem i kaszlac do uduszenia. Owszem, fajnie byloby przespac sie znow pod dachem, ale cena za to wydawala sie nieco zbyt wysoka.

Minela zagrzebana w krzakach polciezarowke, weszla do lasu. Usiadla przed wielkim swierkiem, zjadla troche buczyny, napila

sie wody. Zaczynalo jej brakowac jedzenia i picia, byla jednak zbyt zmeczona, by sie tym teraz martwic. Znalazla droge i to wydawalo sie jej w tej chwili najwazniejsze. Stara, nieuzywana droge, ale byc moze prowadzaca dokads. Oczywiscie, droga ta mogla w pewnym momencie po prostu zniknac, tak jak znikaly strumienie, o tym jednak nie miala zamiaru myslec. Na razie pozwolila sobie na nadzieje, ze dzieki drodze dotrze tam, gdzie nie zaprowadzila jej woda.

Noc byla rownie goraca, co krotka, apoteoza nowoangielskiego, zawsze niedlugiego, a czasem upalnego lata. Kolnierzykiem brudnej koszuli Trisha powachlowala brudna szyje, wysunela dolna warge i zdmuchnela wlosy z czola, po czym wlozyla czapeczke i polozyla sie z glowa na plecaku. Pomyslala, czyby nie wyciagnac walkmana, ale zdecydowala, ze jednak nie. Gdyby probowala posluchac dzis transmisji z Zachodniego Wybrzeza, z pewnoscia zasnelyby i wyczerpala baterie do samiutkiego konca.

Zsunela sie nieco nizej, tak ze plecak zmienil sie w poduszke, czujac cos, czego nie czula od tak dawna, ze wydalo sie jej to wrecz cudem: proste zadowolenie. "Dziekuje, Panie Boze" - powiedziala i w trzy minuty pozniej juz spala.

Obudzila sie po mniej wiecej dwoch godzinach, kiedy pierwsze krople zimnego, ulewnego burzowego deszczu przedarly sie przez galezie drzew i wyladowaly jej na policzkach. Ogluszajacy grzmot rozdarl cisze nocy i Trisha usiadla, tlumiac krzyk. Drzewa trzeszczaly i jeczaly na silnym wietrze, niemal huraganie, blyskawice wydobywaly je z ciemnosci w szaroczarnej tonacji fotografii prasowej.

Zerwala sie na rowne nogi, odgarniajac wlosy z czola. Drgnela,

slyszac kolejny grzmot, bardziej trzask, niczym z bicza, niz huk; burza byla niemal dokladnie nad jej glowa. Juz wkrótce przemoknie na wylot, mimo najgesciejszej oslony drzew. Zlapala plecak i pobiegla chwiejnie ku ledwie widocznemu w mroku czarnemu ksztaltowi: szoferce polciezarowki. Zatrzymala sie po trzech krokach, ciezko wdychajac wilgotne powietrze i natychmiast wykaslujac je z pluc. Nie czula lisci i cienkich, poruszanych porywistym wiatrem galazek, bijacych ja po ramionach i szyi. Gdzies, nieco dalej, z przerazliwym trzaskiem przewrocilo sie drzewo.

To cos bylo tu. Bylo bardzo blisko.

Wiatr zmienil kierunek, rzucajac jej w twarz krople deszczu, i teraz Trisha wrecz poczula zapach stwora, kwasny i dziki, niczym zapach klatek w zoo. Tylko ze to cos nie siedzialo przeciez w klatce.

Poszla w kierunku starego samochodu; jedna reke miala wyciagnieta dla ochrony przed galeziami, druga przytrzymywala czapeczke Czerwonych Skarpet, zeby nie stracic jej na wietrze. Kolce kaleczyly jej kostki i lydki, a kiedy wybiegla na swoja droge (tak wlasnie o niej myslala: "moja droga"), natychmiast przemokla do nitki.

Dobiegla do otwartych drzwi od strony kierowcy, z obu stron oplecionych pnaczami, w pozbawionym szyby oknie blysnelo i w ostrym, bialo-fioletowym swietle blyskawicy dostrzegla stwora, przygarbionego, stojacego po drugiej stronie drogi, stwora o czarnych oczach i wielkich, nastawionych uszach jak rogi (a moze to byly rogi?). Nie wydawal sie jej czlowiekiem, ale takze nie byl zwierzeciem. Byl to bog, jej bog, bog kaplana os, tkwiacy

nieruchomo w lejącym deszczu.

-Nie! - krzyknęła, wskakując do szoferki, i nie zwracając najmniejszej nawet uwagi na chmurę kurzu, która otoczyła ją natychmiast, i na zgnily zapach starej tapicerki. - Nie! Odejdź! Zostaw mnie w spokoju!

Odpowiedział jej grzmot, a także deszcz, bebnący w przerdzewiały dach samochodu. Trisha ukryła głowę w ramionach. Przewróciła się na bok i czekając na pojawienie się stwora, zasnęła.

Spala mocno i - o ile pamiętała - bez snów. Kiedy się obudziła, był jasny dzień, upalny i słoneczny. Drzewa wydawały się zielensze niż wczoraj, trawa gęściejsza, a ptaki w glebi lasu śpiewały na szczęśliwszą nutę. Woda kapiała z liści i gałęzi, a gdy Trisha podniosła głowę i wyjrzała przez kwadrat pozbawionego szyby przedniego okna samochodu, pierwsze, co ujrzała, to jezioro wody w jednej z kolein drogi, odbijające promienie słońca tak jaskrawe, że aż zmrużyła oczy i osłoniła je ręką. Pod powiekami pozostał jej nienaturalny obraz odbitego w wodzie niebieskiego, a dalej białozielonego nieba.

W szoferce polciezarówki przetrwała całkiem sucha, mimo wybitych szyb. Na podłodze wokół starych pedałów zgromadziła się kaluża wody, lewe ramię Trishy było mokre, ale większych szkód nie doznała. Jeśli nawet kaszlała we śnie, to nie aż tak ciężko, by się obudzić. Gardło miała obolale i zatkany nos, lecz to mogło się przecież zmienić na świeżym powietrzu, z dala od tego przekletego kurzu.

"Był tu w nocy. Widziałas go".

Ale... czy rzeczywiście go widziała? Czy widziała go naprawdę?

"Przyszedł po ciebie, chciał cię zabrać ze sobą, lecz kiedy włączył samochód, zrezygnował. Mimo wszystko. Nie wiesz dlaczego, ale tak właśnie było".

A może nie? Może był to tylko sen, ten rodzaj snu, jaki miewa się czasami, kiedy człowiek na polu jeszcze śpi, a na polu się obudził. Sen zrodzony w wyobraźni kogoś, kto obudził się w lesie podczas strasznej burzy wśród grzmotów, błyskawic i wiejącego z siłą huraganu wiatru. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji coś się komuś przywidzi.

Złapała plecak za naderwany pasek i wypelzła tyłem przez dziurę po drzwiach od strony kierowcy, wzbijając kolejną chmurę kurzu i starając się nie oddychać. Odeszła kilka kroków od kabiny (mokra, przerdzewiała na czerwono, nabrała ona teraz koloru dojrzałych sliwek) i właśnie wkładała plecak na ramiona, gdy nagle zamarła. Dzień był słoneczny i ciepły, deszcz się skończył i nareszcie miała drogę, która mogła doprowadzić ją do ludzi, a jednak Trisha poczuła się nagle stara, zmęczona, całkowicie pozbawiona nadziei. Ludzie mogą oczywiście wyobrazić sobie różne rzeczy, zwłaszcza przebudzeni nagle w lesie, podczas burzy, to oczywiste. Tego, co widziała teraz, bynajmniej jednak sobie nie wyobraziła.

Kiedy spała, coś wryło krąg wokół samochodu, krąg biegnący przez igły i niskie krzaczki, w porannym blasku słońca wyraźnie widac było linie czarnej ziemi i roślin. Rosnące na niej niegdyś krzewy i małe drzewka wyrwane zostały z korzeniami i niedbale odrzucone na bok. Bog Zagubionych przybył i wyrysował wokół niej krąg, jakby chciał powiedzieć innym: "Nie przekraczajcie tej

granicy. Ta dziewczynka jest moja, jest moja własnością".

Początek dziewiatej

Cała niedziele Trisha maszerowała pod niskim, zamglonym niebem, które zdawało się przyciskać ją do ziemi. Rankiem wilgotne lasy parowały, ale wczesnym popołudniem były już tak suche, jakby deszcz w ogóle nie padał. Trisha oczywiście nadal cieszyła się z drogi, teraz jednak marzyła też o cieniu. Znow miała gorączkę, czuła się me tyle zmęczona, ile wrecz wyczerpana. Stwor obserwował ją; towarzyszył jej w drodze i obserwował ją. Czowała, że jest śledzona, i uczucie to nie mijalo, ponieważ była śledzona cały czas. Stwor poruszał się gdzieś, po prawej stronie. Pare razy wydawało się jej nawet, że go widziała, ale być może były to tylko promienie słońca na galeziach drzew. Nie chciała oglądać stworza; poprzedniej nocy, w jednym błysku błyskawicy, dostrzegła więcej, niż chciałaby kiedykolwiek zobaczyć. Widziała jego futro, wielkie nastawione uszy, ogromne cielsko. No i oczywiście ślepią. Wielkie, czarne, nieludzkie, tepe, lecz świadome. Świadome jej obecności."Oddali się może, ale tylko jeśli będzie pewien, że się stąd nie wydostanie - pomyślała ze znużeniem. - a na to mi nie pozwoli. Nie pozwoli mi się stąd wydostać".

Wczesnym popołudniem zorientowała się, że kaluze w koleinach wysychają, więc natychmiast uzupełniła zapas wody, filtrując ją przez czapkę do oderwanego kaptura płaszcza, a potem zlewając do butelek. Woda była metna, błotnista, ale tego rodzaju drobiazgi już jej nie martwiły. Uznała, że gdyby lesna woda miała ją zabić, to umarłaby wówczas, gdy pierwszy raz zachorowała. Co ją naprawdę martwiło, to brak jedzenia. Po napełnieniu butelek zjadła trochę buczyny i jagód, pozostały jej

zaledwie resztki, na jutrzejsze sniadanie bedzie je wygrzebywac z dna plecaka, tak jak poprzednio wygrzebywala chipsy. Byc moze uda sie jej uzupelnic zapasy przy drodze, ale nie miala na to wiekszych nadziei.

Droga biegla przed nia, czasami mniej wyrazna, czasami, przez kilkaset metrow, wyrazniejsza. Przez pewien czas Trisha szla wzdluz porastajacych wzgorek miedzy koleinami krzaczkow. Wydawalo jej sie, ze to krzaczki czarnych jagod, w kazdym razie przypominaly krzaczki czarnych jagod, z ktorych z mama garsciami zbieraly slodkie owoce w oswojonych lasach wokol Sanford, ale czarne jagody mialy dojrzewac dopiero za miesiac. Widziala takze grzyby, nie zaufala jednak zadnemu na tyle, zeby go zjesc. Mama nie znala sie na grzybach, w szkole takze nie uczono o grzybach, tylko o orzeszkach i o tym, zeby nie pozwolic sie podwozic obcym, bo niektorzy obcy maja mozdzki jak wyschle orzeszki, tego je uczono. Pewna byla tylko jednego: jesli zje sie trujacy grzyb, czlowiek umiera straszna smiercia, a w ogole, nie jedzac grzybow, niezbyt sie poswiecala. Nie miala apetytu, gardlo bardzo ja bolalo.

Okolo czwartej po poludniu przewrocila sie o zwalone drzewo, upadla na bok, probowala wstac i okazalo sie, ze nie moze. Nogi jej drzaly i byly miekkie jak galareta. Zdjela plecak (walczac z nim przez niepokojaco dlugi czas, lecz w koncu zdolala sie jakos od niego uwolnic). Zjadla buczyne prawie do konca - zostaly jej dwa, a moze trzy orzeszki -omal nie dlawiac sie ostatnia. Walczyla z nia, wyciagajac szyje jak maly ptaszek i przelykajac raz za razem, i wreszcie zwyciezyla. Zatopila ja w zoladku (przynajmniej na jakis czas) lykiem cieplej, blotnistej wody.

-Czas na Czerwone Skarpety - szepnela, wyciagajac walkmana.

Watpila, czy uda się jej złapać transmisję meczu, ale co szkodzi spróbować? Na Zachodnim Wybrzeżu była pierwsza, Czerwone Skarpety z pewnością grały, a mecz dopiero się rozpoczynał.

Na FM nie usłyszała nic, nawet najslabszego cienia muzyki. Na AM znalazła mezczyznie mowiacego cos szybko po francusku i smiejacego sie przy tym, co brzmialo raczej nieprzyjemnie.

Nagle, na samym dole skali, przy 1600 zdarzył się cud: do jej uszu dobiegł słaby, ale wyraźny głos Joego Castiglione.

-Sytuacja jest taka: Narzucenie trzy-jeden... i Garciparra wybija wysoka, długa piłkę głęboko na srodpole. Piłka wraca. ... piłka znika! Czerwone Skarpety prowadzi dwa do zera.

-Dobra robota, Nomar. Właściwy człowiek na właściwym miejscu - powiedziała Trisha ochryplym, zalamujacym sie glosem, ktory z trudem rozpoznała jako swój. Wyciagnęła ku niebu rękę z dłoni zacisnięta w pięść, ale brakowało w tym gestie energii. O'Leary wystrajkował i tak skończyła się rozgrywka. "Do kogo dzwonisz, gdy peknie ci szyba?" -zaspiewał głos z dalekiego świata, gdzie drogi były wszędzie, a bogowie nie wpychali się na scenę.

-"1-800-54..." - próbowała odśpiewać Trisha, ale zasnęła, nim zdolała dokończyć, w miarę jak jej sen stawał się głębszy, zsuwała się w prawo, kaszlać od czasu do czasu. Był to dudniący, wilgotny kaszel. Podczas piątej rundy stwor pojawił się na granicy lasu i spojrzał na nią. Muszki i inne owady unosily się chmura nad zarysem jego pyska, w błyszczących, pustych ślepiach stwor kryła się pełna historia niczego. Stał nad dziewczynką bardzo, bardzo długo, w końcu wskazał ją łapą wyposażoną w ostre niczym brzytwa pazury - jest moja, jest moja własnością - i wycofał się do lasu.

Koncowka dziewiatej

Trisha miala wrazenie, ze gdzies pod koniec meczu obudzila sie, choc nie do konca. Jerry Trupiano - a przynajmniej glos brzmiacy jak glos Troopa - informowal, ze Potwory z Seattle obsadzily bazy, a Gordon probuje zakonczyc gre.-Wybija prawdziwy zabojca - powiedzial sprawozdawca - i Gordon po raz pierwszy w tym roku wyglada na przestraszonego. Gdzie jest Bog, kiedy go potrzebujemy?

-w Danvizzz - odparl Joe Castiglione. - Wylewa krokodyle zzy.

Z cala pewnoscia byl to sen, to musial byc sen, choc moze wkradly sie do niego jakies elementy rzeczywistosci. Trisha wiedziala na pewno jedno: kiedy naprawde sie obudzila, slonce zachodzilo, miala goraczke, gardlo strasznie ja bolalo przy kazdym przelknieciu, radio zas zlowrogo milczalo.

-Zasnelas, nie wylaczywszy go, ty glupia! - powiedziala swym nowym, schrypnietym glosem. - Ty wielka, glupia dupo! - Przyjrzała sie walkmanowi z nadzieja, ze dostrzeze male czerwone swiatelko na obudowie, ze tylko przesunela galke strojenia, kiedy przewracala sie na bok (obudzila sie z glowa na ramieniu i kark strasznie ja bolal), choc wlasciwie nie miala watpliwosci, co sie naprawde stalo. No i oczywiscie czerwone swiatelko nie palilo sie.

Probowala wytlumaczyc sobie, ze baterie i tak dlugo by nie wytrzymaly, ale to nic nie pomoglo. Rozplakala sie. Teraz, kiedy nie miala juz radia, czula sie smutna, taka strasznie smutna, zupełnie jakby stracila ostatniego przyjaciela. Powolnymi, sztywnymi ruchami schowala radio do plecaka, zapiela klape i

zalozyła plecak na ramiona. Był prawie pusty, a zdawał się ważyć tonę. Jak to możliwe?

-Przynajmniej mam droge - próbowała się pocieszyć. -
Przynajmniej mam droge. Teraz jednak, kiedy chylił się ku koncowi kolejny dzień, myśl o drodze nie sprawiała jej już takiej przyjemności. "Droga-sroga" - pomyślała. To, że miała droge, samo w sobie wydawało się jej jakimś kpina, zmarnowana okazja, zupełnie jakby drużyna dzieliła od zwycięstwa wykluczenie jednego, najwyżej dwóch zawodników, i wówczas zawałił się dach trybun. Ta droga mogła przecież biec sobie przez las i dwieście kilometrów, a kończyć się kepa krzaków i kolejnym strasznym bagnem.

Mimo wszystko ruszyła przed siebie, powoli, pociągając nogami. Głowe miała opuszczona i garbiła się tak bardzo, że paski plecaka zsuwały się jej z ramion, niczym ramiączka za dużego podkoszulka bez rękawów. Tylko że w przypadku podkoszulka ramiączka łatwo było poprawić, a pod paski plecaka najpierw trzeba było włożyć palce, a potem jeszcze je unieść.

O zmroku, mniej więcej na pół godziny przedtem, nim zrobiło się naprawdę ciemno, jeden z pasków zsunął się z jej ramienia do końca i plecak zawisł krzywo. Przez chwilę Trisha myślała, czyby go przypadkiem nie porzucić i nie pójść dalej bez niego, i może by się nawet na to zdecydowała, bo nie przejmowała się resztką golterii, ale przecież w plecaku była woda, a woda ta, choć ciepła i brudna, łagodziła ból gardła. Postanowiła więc, że zostanie tu na noc. Ukłękła między koleinami, zsunęła plecak z ramion, wzdychając przy tym z ulgą, a potem położyła na mmm głowe. Spojrzała w prawo, na czarna sciane lasu.

-Trzymaj się z dala ode mnie - powiedziała najwyraźniej, jak potrafiła. - Trzymaj się z dala ode mnie albo zadzwoń 1-800 i wezwij giganta. Rozumiesz, co powiedziałam?

Cos ja usłyszało. Może zrozumiało jej słowa, może ich nie zrozumiało, z całą pewnością nie odpowiedziało, ale było tam. Czula je. Czy nadal pozwalało jej dojrzewać? Czy żywiło się jej strachem, nim zaczęła się pożywiać sama? Jeśli tak, gra była niemal skończona. Trisha nie miała już prawie siły się bac. Pomyślała nagle, że mogłaby znowu do tego czegoś zawołać, oznajmić, że przecież wcale tak nie myślała, że jest zmęczona i proszę bardzo, przyjdź po mnie, jeśli tylko chcesz. Pomyślała o Borku Rozporku mówiącym, że Bog Tom Gordon nie może się nią zająć, że ma inne sprawy na głowie. Wątpiła, czy to rzeczywiście prawda... ale jednak z całą pewnością go tu nie było. Może nie tyle nie mógł, ile nie chciał? Bork Rozporek powiedział także: "Muszę przyznać, że jest zapalonym kibicem sportowym... choć niekoniecznie kibicem Czerwonych Skarpet".

Zdjęła z głowy czapkę Czerwonych Skarpet: pognieciona, przepełniona, ubrudzona ziemią i lesną zielenią. Przesunęła palcem po pogiętym daszku. Ona najbardziej się liczyła. Ojciec zdobył na niej autograf Toma Gordona, wysłał czapkę na Fenway Park z listem, w którym wyjaśniał, że Tom Gordon jest ulubionym graczem jego córki Trishy, i Tom (albo jego autoryzowany przedstawiciel) odesłał ją w załączonej do przesyłki oklejonej znaczkami, zaadresowanej kopercie, ze swoim podpisem na daszku. Oprócz odrobiny brudnej wody, paru zeschniętych jagód bez smaku i brudnego ubrania tylko ta czapka jej została, a teraz autograf Toma Gordona znikł, zmyty przez deszcz i starty przez jej własne spocone dłonie. Ale

był tam, a ona nadal tkwiła tutaj... no, przynajmniej przez jakiś czas.

-Boże, skoro nie możesz być kibicem Czerwonych Skarpet, bądź przynajmniej kibicem Toma Gordona - poprosiła. - Czy możesz zrobić przynajmniej tyle? Czy możesz na tyle być?

Przez całą noc to traciła przytomność, to ją odzyskiwała. Dygotała w gorączce, zasypiała i budziła się pewna, że to jest z nią, że opuściło las i zaraz się na nią rzuci. Rozmawiała z Tomem Gordonem, pojawił się nawet jej ojciec, stanął za jej plecami i spytał, czy zjadłaby coś słodkiego, ale kiedy się odwróciła, nie zobaczyła nikogo. Na niebie znowu widziała płonące meteory, lecz nie była pewna, czy widziała je naprawdę, czy jedynie jej się snily. Wyciągnęła nawet radio z plecaka, mając nadzieję, że baterie choć odrobine się zregenerowały - czasami nawet te wyczerpane zaczynały działać, jeśli tylko dało im się szansę odpocząć, ale nim zdążyła to sprawdzić, upuściła je i nie mogła go znaleźć, choć przeczesywała trawę palcami miejsce koło miejsca. Namacała za to plecak, którego kłapa była porządnie zapięta. Uznała, że w ogóle nie wyjmowała radia, bo w ciemności nie byłaby przecież w stanie przeciągnąć pasków przez sprzaczki. Kilkanastę razy dostawała ataku kaszlu i teraz czuła już ból głęboko w klatce piersiowej, w którymś momencie zdolana przykucnąć i zrobiła siusiu tak gorące, że aż parzyło; musiała przygryźć wargi, by nie syknąć z bólu.

Noc minęła Trishy w taki sposób, jak mijają noce ludziom ciężko chorym: czas wydawał jej się plastyczny i biegł bardzo dziwnie. Kiedy wreszcie ptaki zaczęły śpiewać, a przez drzewa przedartły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, Trisha nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zbliżyła dłoń do twarzy, zapatrzyła

sie na brudne palce. Nie potrafiła też uwierzyć w to, że nadal żyje, ale najwyraźniej jeszcze żyła.

Pozostała na miejscu, poki nie rozjasniło się na tyle, że dostrzegła zawsze obecna chmure muszek wirujących nad jej głową. Potem wstała powoli, niepewna, czy nogi utrzymają jej ciężar, czy też może zwali się na ziemię.

"Jeśli nie ustoje, będę pełzać" - pomyślała, ale nie musiała pełzać, jeszcze nie, bo nogi utrzymały jej ciężar. Pochyliła się i chwyciła plecak za jeden z pasków, w głowie zawirowało jej aż do mdłości, przed oczami pojawiło się stado znajomych ciem o czarnych skrzydłach, ale zawrót głowy przeszedł w końcu, cmy znikły i nawet zdołała założyć plecak na ramiona.

Teraz pojawił się kolejny problem: w którą stronę powinna iść? Nie była tego tak całkiem pewna, a droga wyglądała podobnie w obu kierunkach. Odeszła kawalek od pnia, patrząc niepewnie to przed siebie, to za siebie. Przy okazji potraciła coś nogą. Był to walkman, oplatany przewodem słuchawek i wilgotny od rosy. Pochyliła się, podniosła go i przyglądała mu się głupawo. Czyżby miała teraz zdjąć plecak, otworzyć go i schować wiernego walkmana do środka? Wydawało jej się to zadaniem zbyt ciężkim, mniej więcej tak ciężkim, jak przeniesienie góry, z drugiej strony, nie powinna go chyba wyrzucić, to nie wyglądałoby dobrze, zupełnie jakby rezygnowała, przyznawała się do porażki.

Trisha stała w miejscu przez dobre trzy minuty, przyglądając się małemu magnetofonowi i radiu błyszczącymi z gorączki oczami. Wyrzucić czy zatrzymać? Wyrzucić czy zatrzymać? Co wybierasz, Patricio, komplet garnków do gotowania bez wody czy

tez grasz o samochód, futro z norek lub podróż do Rio? Pomyslała sobie, że gdyby była Mac Power Bookiem Petera, wyrzucalaby teraz jeden za drugim komunikaty o błędzie i te małe ikonki przedstawiające bomby. Wydawało się jej to tak zabawne, że aż zaczęła się śmiać.

Śmiech natychmiast przerodził się w atak kaszlu. Był to niewatpliwie najgorszy z dotychczasowych ataków, aż zgięła się w poł. Szczekała niczym pies, pochylona, z rękami opartymi o nogi tuż nad kolanami i włosami spadającymi na oczy brudna fala. Udało się jej utrzymać na nogach, nie poddała się i nie upadła, atak kaszlu zbliżał się do końca i dopiero wówczas uprzytomniła sobie, że może przecież przyczepić walkmana do paska dzinsów. Do tego przecież służy ten uchwyt na obudowie, prawda? No chyba, jasne. Ale jest głupia.

Otworzyła usta, mając zamiar powiedzieć: "To oczywiście, drogi Watsonie" - mawiała tak czasem do siebie z Pepsi.

Gdy poczuła, że coś ciepłego i mokrego spływa jej po dolnej wardze. Wytarła to coś grzbietem ręki, zobaczyła plamę jaskrawoczerwonej krwi i wpatrzyła się w nią szeroko otwartymi oczami.

"Musiałam przygryźć język albo coś, kiedy tak kaszlałam" - pomyślała, ale przecież wiedziała lepiej. Źródło tej krwi było gdzieś głębiej. Przestraszyła się na myśl o tym, a jednocześnie oprzytomniała i nagle znowu była w stanie myśleć. Odchrząknęła, czyszcząc gardło (cicho i delikatnie, było tak obolałe, że nie mogła tego zrobić energiczniej) i splunęła. Ślina była jaskrawoczerwona. O, Jezus! Coż, nic nie mogła na to poradzić, a przy okazji odzyskała przecież jasność umysłu w stopniu

wystarczającym, by zorientować się, w którym kierunku należy iść. Zachodzące słońce miała po prawej ręce, odwróciła się więc tak, by wschodzące, poblyskujące już wśród drzew mieć po lewej, i natychmiast zorientowała się, że stoi twarzą we właściwym kierunku, w ogóle nie pojmowała, jakim cudem mogła do tego stopnia stracić orientację!

Ruszyła przed siebie powoli, ostrożnie, zupełnie jakby szła po świeżo wymytej kafelkowej podłodze. "Prawdopodobnie to jest to - pomyślała. - Prawdopodobnie dziś mam ostatnią szansę, może nawet nie dziś, tylko dziś rano. Po południu mogę już być zbyt słaba i chora, by iść, a jeśli zdołam wstać na nogi po kolejnej nocy w lesie, będę blekitnookim cudem".

"Blekitnooki cud". Czy to było powiedzenie matki, czy ojca?

-Ni cholery mnie to nie obchodzi - wychrypiała głośno.

-Jeśli jakos wydostane się z tego lasu, wymyśle kilka własnych powiedzeń.

Przeszła może osiem, może dziesięć metrów na północ od miejsca, w którym spędziła niekoncząca się niedzielna noc i poniedziałkowy poranek, nim uswiadomiła sobie, że nadal ma w ręku walkmana. Przystanęła i powoli, z wielkim trudem, próbowała przypiąć go do paska dzinsów. Dzinsy wydawały się wręcz polatywać wokół jej talii, widziała sterczące ostro spod skóry biodro. "Stracę jeszcze parę kilo i nadam się w sam raz do prezentowania najnowszej paryskiej mody" - pomyślała. Właśnie zastanawiała się, co zrobić ze słuchawkami, kiedy z oddali dobiegł ją odgłos kilku następujących po sobie szybko wystrzałów; brzmiało to trochę tak, jakby gigant wysysał coca-

cole z kaluzy przez wielka slomke.

Krzyknela, lecz nie tylko ja zaskoczyl ten halas. Kilka wron zaczelo krakac na alarm, z traw blyskawicznie wyskoczyl w powietrze przerazony bazant.

Trisha stala nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, zapomniane sluchawki kolysaly sie na koncu kabla przy jej podrapanej, brudnej lewej kostce. Doskonale znala ten dzwiek: seria strzalow z gaznika starego samochodu, chyba dostawczego, a moze jakis dzieciak cwiczyl podrasowana dume swego zycia? w kazdym razie tam byla kolejna droga, prawdziwa droga!

Bardzo chciala pobiec w tym kierunku, ale wiedziala, ze tego nie wolno jej zrobic. Jesli pobiegnie, ta odrobina sil i energii, ktora jej jeszcze zostala, wypali sie w jednym krotkim zrywie. Byloby to doprawdy cos straszego. Zemdlec i byc moze umrzec z odwodnienia albo na udar sloneczny w miejscu, z ktorego slychac samochody, wydawalo sie mniej wiecej tak glupie, jak przegranie meczu, gdy przeciwnikom pozostalo tylko jedno wybiecie. Takie glupoty juz sie zdarzaly, ale przeciez nie zdarza sie jej!

Ruszyła przed siebie, zmuszając się, by iść powoli, noga za nogą. Cała zmieniła się w słuch, czekała na kolejne strzały gaznika, na odległy szum silnika, dźwięk klaksonu. Nie usłyszała niczego, absolutnie niczego, i po godzinie marszu zaczęła myśleć, że strzały z gaznika były tylko kolejna halucynacja; wprawdzie nie wydawały się nia, ale to możliwe...

Wspięła się na szczyt pagórka i spojrzała w dół. Znowu kaszlała i

krwawo ściekała jej na dolną wargę, bardzo jasna w blasku słońca, lecz nie zwracała na to uwagi, nie podniosła nawet ręki, żeby ją wytrzeć.

Widziała, jak drozka, która szła, wpada w przyzwoitą drogę gruntową. Zeszła powoli z pagórka i stanęła na niej. Nie widziała śladów kół, ziemia była tu twarda, widziała za to prawdziwe wyjeżdżone koleiny, a pomiędzy nimi nie rosła trawa. Nowa droga biegła pod kątem prostym do drozki, która przyszła Trisha, mniej więcej ze wschodu na zachód, w tej chwili dziewczynka podjęła wreszcie słuszną decyzję. Poszła na zachód wprowadzić tylko dlatego, że zaczęła ją boleć głowa i nie chciała iść zwrócona twarzą ku słońcu, ale jednak poszła. Mniej więcej siedem kilometrów od miejsca, gdzie teraz stała, przebiegała droga 96 w New Hampshire, długa wstęga asfaltu, którą przejeżdżało dziennie kilka samochodów osobowych i całe mnóstwo ciężarówek zwozających drewno; to właśnie jedna z nich usłyszała dziś rano; strzelał jej antyczny gaznik, gdy kierowca redukował biegi przed wzniesieniem Kemongus. Dźwięk ten ponosił się w nieruchomym porannym powietrzu na odległość przekraczającą piętnaście kilometrów.

Szła przed siebie, czując nagły przyływ sił, w mniej więcej trzy kwadransy później usłyszała cichy, lecz wyraźny, doskonale jej znany dźwięk.

"Nie bądź głupia, znalazłaś się tam, gdzie wszystko jest nieznane".

Być może, ale...

Przechyliła głowę jak pies na starych płytach babci McFarland,

tych, które babcia trzymała na strychu. Wstrzymała oddech. Słyszała pulsowanie krwi w skroniach, słyszała swist własnego oddechu przedzierającego się przez zainfekowane gardło. Słyszała bzyczenie komarów krazących jej nad głową... a także szum. Szum opon na asfalcie. Bardzo odległy, ale przecież go słyszała.

Trisha rozplakała się.

-Proszę, niech to nie będzie moja wyob...

Za plecami usłyszała głośniejszy szum, i nie był to już szum wiatru w galeziach, o nie. Nawet gdyby udało jej się przekonać sama siebie (nawet rozpaczliwie i na kilka sekund), że owszem, to tylko wiatr, to już na wiatr nie mogła zważyć trzasku łamanych galezi, i następnego, głośniejszego trzasku i poszumu złamanego, padającego małego drzewka, które stało mu na drodze. Jemu. Stworowi. To on pozwolił jej dotrzeć wprost do miejsca, w którym mogła zostać uratowana, pozwolił jej dotrzeć do miejsca, w którym słyszała głosy ze szlaku, tak głupio, tak bez troski opuszczonego. To stwor obserwował, jak powoli i boleśnie wędruje przez las, obserwował być może z rozbawieniem, być może z czymś w rodzaju boskiego współczucia, zbyt strasznego, by w ogóle o nim myśleć. Lecz teraz skończył z obserwacją, nie miał zamiaru dłużej czekać.

Powoli, przerażona do szpiku kości, lecz zarazem czując spokój wywołany koncem rozterek, poczuciem nieuchronności, Trisha odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Bogiem Zagubionych.

Koncowka dziewiatej:

ratowanie wyniku meczu

To coś wylonilo się spośród drzew i Trisha najpierw się zdziwiła: "Jest tylko tym? Jest i było tylko tym?" Dorosły mężczyzna wiałby w panice, widząc, jak pomiędzy rosnących przy drodze krzaków wybiega chwiejnie *Ursus americanus* - dorosły, północnoamerykański czarny niedzwiedź, wazacy przeszło dwiesięć kilo - Trisha była jednak przygotowana na coś naprawdę przerażającego, coś wyrosłego w samej glebi nocy. Liście i osty czepiały się Isniacego futra stworza, w łapie - łapie jak reka, kaleka, lecz uzbrojona w przerażające pazury - trzymał gałązki niemal całkowicie obdarta z kory; przypominała drewniana rozdzka czarodziejska, a może berło? Wypadł na środek drogi, kołysząc się komicznie z boku na bok. Przez chwilę stał na czterech łapach, po czym z cichym chrząknięciem wyprostował się i wówczas Trisha zrozumiała, że nie jest to wcale czarny niedzwiedź. Jej pierwszy wniosek był trafny. Stwor rzeczywiście przypominał niedzwiedzia, a jednak był to Bog Zagubionych... i przyszedł po nią.

Patrzył na nią czarnymi oczami, które wcale nie były oczami, tylko oczodolami. Ciemnym nosem weszyl w powietrze, a potem podniósł gałązkę do pyska. Podwinał wargi, ukazując dwa rzędy wielkich, pozieleniałych kłów. Posał koniec galezi, przez chwilę przypominając małe dziecko z lodami na patyku, po czym podniósł ją do pyska powoli, jakby uroczyście, i przegryzł w połowie, w lesie panowała całkowita cisza; w tej ciszy Trisha usłyszała bardzo wyraźnie trzask pekającej galezi; taki sam odgłos wydaje miążdżona w zębach kosc. Tak zmiążdżone zostanie jej ramie w szczękach potwora, jeśli zdola on je przegryzc. Nie, nie jeśli - kiedy.

Wciagnal szyje, nastawil uszy i dziewczynka dostrzegla, ze porusza sie w swej wlasnej ciemnej galaktyce muszek, dokladnie tak jak ona. Jego cien, dlugi w promieniach porannego slonca, siegal niemal jej reebokow. Dzielilo ich mniej niz dwadziescia metrow.

Przyszedel po nia.

-Uciekaj! - powiedzial Bog Zagubionych. - Uciekaj przede mna, moze szybciej dobiegniesz do drogi? Ciało niedzwiedzia jest na razie powolne, nie nazarl sie jeszcze z wiosna, w lesie nie bylo za duzo pozywienia. Uciekaj. Byc moze pozwole ci zyc.

"Uciekne" - pomyslala, lecz natychmiast odpowiedzial jej glos twardej slicznotki: "Nie uciekniesz. Kochanie, przeciez ty sie ledwie trzymasz na nogach!"

Stwor, ktory nie byl niedzwiedziem, stal, gapiac sie na nia. Poruszał uszami, wokół jego trojkątnego łba unosila sie chmura muszek. Ciało pokryte miał Isniacym, zdrowym futrem, w łapie nadal trzymal ulamek galezi. Poruszał szczekami powoli, z namyslem, spomiedzy zebow wypadaly mu jej male kawalki; niektore ladowaly na ziemi, niektore przylepialy sie do pyska, w oczodolach udajacych oczy roilo sie owadzie zycie; pelno tani bylo robakow, malych muszek, larw moskitow i jeden Bog wie, czego jeszcze; zywa galareta, przypominajaca bagno, ktore musiala sforsowac po drodze.

-Zabilem jelenia. Obserwowalem cie, otoczylem cie moim kregiem. Uciekaj przede mna. Oddaj mi hold stopami, a moze pozwole ci zyc.

Las zamarł w ciszy, dysząc kwasnym zapachem zieleni. Trisha oddychała hałasliwie przez obolale gardło. Stwor przypominający niedzwiedzia przyglądał jej się arogancko z wysokości ponad dwóch metrów. Leb miał w niebiosach, szponami powstrzymywał ziemię. Spojrzała na jego szpony, na jego leb i zrozumiała, co musi zrobić.

Musi ocalić zwycięstwo.

"W naturze Boga leży to, iż pojawia się w koncowce dziewiatej" - powiedział jej Tom, a jaki był sekret ratowania zwycięstwa? Pokazanie, kto jest lepszy. Każdego można pokonać... ale nie wolno dopuścić do sytuacji, w której człowiek pokonuje sam siebie.

Najpierw jednak trzeba stworzyć wokół siebie tę strefę bezruchu, strefę, która wykwita z ramion i otula ciało płaszczem pewności. Można cię pokonać, ale nie pokonasz sam siebie. Nie możesz pozwolić sobie na narzucenie pewnej piłki, nie masz dokąd uciec.

-Woda z lodem - powiedziała głośno i stwor stojący pośrodku drogi przekrzywił leb, co upodobiło go do monstrualnej wielkości psa czekającego na komendę pana. Nastawił uszu. Trisha wyciągnęła rękę, przesunęła czapeczkę tak, jak należy ją nosić, daszkiem do przodu, po czym naciągnęła ten daszek na oczy, upodabniając się możliwie jak najbardziej do Toma Gordona. Obróciła się tak, by stanąć twarzą ku prawej krawędzi drogi, i zrobiła krok do przodu, szeroko rozstawiając nogi, z lewą skierowaną w stronę niby-niedzwiedzia. Cały czas patrzyła na niego, wlepiała wzrok w jego oczodoly, widziała je mimo tanczącej wokół nich chmury muszek. "Do tego wszystko się

srowadza - powiedział Joe Castiglione. - Panie i panowie, proszę zapiąć pasy".

-Jeśli masz się ruszyć, rusz się! - krzyknęła. Odpięła walkmana od paska spodni, wyrwała przewód słuchawek i upuściła je na ziemię. Wsunęła trzymając urządzenie dłoń za plecy i zaczęła nim obracać, szukając najlepszego uchwytu. - Mam w żyłach wodę z lodem i obys zamarzl, jeśli mnie ugryziesz. Dawaj, ty cholero! Wybijaj i niech cie diabli!

Stwor puścił gałęzi i opadł na cztery łapy. Przednimi orł twarda powierzchnie drogi niczym rozdrażniony byk, wrywając pazurami całe kawały ziemi. Nagle ruszył ku dziewczynce niezdarnie, lecz z oszukanczą, niezwykłą szybkością. Położył przy tym uszy po sobie, podwinał wargi i oto Trisha usłyszała dobiegające z jego paszczy brzęczenie, które rozpoznała natychmiast - nie było brzęczeniem pszczoł, lecz os. Bog Zagubionych przyjął dla jej oczu ciało niedzwiedzia, lecz wewnątrz odpowiadało lepiej jego naturze; wewnątrz był pełen os. Ależ oczywiście. Czyż kapłan w czarnej szacie tam, nad strumieniem, nie był jego prorokiem?

-Uciekaj - ostrzegł, zbliżając się do niej; jego wielki tyłek przechylał się na boki. Stwor poruszał się z dziwnym wdziękiem, choć darł pazurami ziemię, a na jej twardej powierzchni zostawiał po sobie kulki nawozu. - Uciekaj, to twoja ostatnia szansa.

Tylko że jej prawdziwa ostatnia szansa był bezruch.

Bezruch i być może dobra, twarda, podkrecona piłka.

Trisha złożyła dłonie, przyjmując odpowiednią postawę.

Walkman nie wydawał się jej już walkmanem, lecz piłka do baseballu. Nie było tu wprawdzie Wiernych z Fenway, powstających na równe nogi w tym Bostonskim Kościele Baseballowym, nie słyszała rytmicznego klaskania w dłonie, nie widziała sędziów i chłopców opiekujących się sprzętem, ale była ona i zielony, lesny bezruch, i gorące poranne słońce, i stwor przypominający niedzwiedzia, lecz wewnątrz pełen os. Pozostał jej tylko bezruch i teraz już wiedziała, jak musi się czuć Tom Gordon, stojący w pozycji w oku cyklonu, tam gdzie ciśnienie spada do zera, gdzie nie istnieje dźwięk, a rzeczywistość sprowadza się do jednego: proszę zapiąć pasy.

Stała na pozycji, pozwalając, by bezruch ogarnął ją swym płaszczem. Oczywiście, rodził się z ramion, z barków. Stwor może teraz ją zjeść, może ją pokonać. Może zrobić jedno i drugie. Ale ona nie pokona sama siebie.

"I nie uciekne".

To coś zatrzymało się naprzeciw niej. Wyciągnęło szyję, zbliżając swój pysk do jej buzi, jakby chciało ją pocałować, w miejscu oczu miało dwa kregi, w których wirowało życie, owadzie wszechświaty, pełne rojących się robaków. Brzeźwały, klebiły się, walczyły o najlepszą pozycję w kanałach prowadzących do niewyobrazalnego mózgu bestii, a kiedy ta otworzyła pysk, Trisha dostrzegła, że gardło ma pełne os, obrzydliwych, tłustych fabryk jadu, pełzających po resztkach galezi i strzepie różowych wnętrzości jelenia, który służył stworowi za język. Oddech stwora był wilgotny, śmierdział bagnem.

Dostrzegła to wszystko, lecz na niczym nie skupiła uwagi. Spojrzała za bestię. Yeritek dał znak. Wkrótce narzuci, na razie

jednak trwała w bezruchu. Trwała w bezruchu. Niech wybijający czeka, niech przewiduje, jaka dostanie piłkę, niech utraci koncentrację, niech się zastanawia, niech uwierzy, że dostanie akurat taki narzut, jakiego się nie spodziewa.

Niby-niedzwiedz obwachał delikatnie jej twarz, z jego nosa wypelzały robale, inne wpełzały do środka. Muszki fruwały między dwiema połączonymi twarzami, jedna włochata, druga gładka. Siadały na wilgotnych, szeroko otwartych oczach Trishy. Grubo ciosany pysk stworza zmieniał się, przekształcał, stawał się podobny do twarzy jej nauczycieli i przyjaciół, rodziców i brata, obcego, który mogłby zaproponować, że ją podwiezie, kiedy szła ze szkoły do domu. Obcy - znaczy groźny, tego uczyli ją w pierwszej klasie, obcy znaczy groźny. Cuchnął śmiercią, choroba i wszystkim, co oznaczało chaos; brzęczenie jadowitych os, pomyślała, jest przecież prawdziwym Niesłyszalnym.

Powstał na zadnie nogi, kolysząc się lekko z boku na bok, jakby się wśluchiwał we własną, potworną muzykę. Zamachnął się na Trishę łapą, na razie jednak tylko dla zabawy, tak że pazury minęły jej twarz o kilkanaście centymetrów. Brudne od ziemi szpony przeleciały jednak wystarczająco szybko, by spowodowany tym ruchem pod powietrzem odrzucił dziewczynce włosy z czoła. Osiadły na miejscu delikatnie jak nasiona dmuchawca, a Trisha nie poruszyła się. Stała na pozycji, z oczami utkwionymi w jakiś punkt poza podbrzuszem niedzwiedzia, gdzie niebieskobiałe futro rosło w kształcie błyskawicy.

Spojrż na mnie.

-Nie!

Spojrż na mnie!

Było zupełnie tak, jakby niewidzialna dłoń złapała ją za szyję tuż przy szyi i poderwała jej głowę do góry. Powoli, nie chcąc tego, lecz zbyt słaba, niezdolna do stawiania oporu, Trisha podniosła wzrok. Spojrzała w puste ślepią niby-niedzwiedzia i zrozumiała, że ten ma zamiar ją zabić niezależnie od wszystkiego. Odwaga, jak widac, nie wystarczy, lecz co z tego? Jeśli dysponuje się jedynie odrobina odwagi, co z tego?

Naszedł czas ratowania wyniku.

Nie myśleć o tym, co robi, Trisha cofnęła lewą stopę do prawej i wykonała zamach; nie ten, którego nauczył ją tata za domem, lecz ten, którego nauczyła się z telewizji, obserwując Toma Gordona. Kiedy znowu wysunęła się do przodu, podnosząc prawą rękę do prawego ucha i odwodząc ją dalej, odchylając się, ponieważ nie miało to być zwykłe, treningowe narzucenie, nie próbowała niczego wymyślnego, lecz strzelała prawdziwą bombę, jakiej jeszcze nie widziano, stwor podobny do niedzwiedzia zrobił szybki, niezdarny krok wstecz. Czy klebiące mu się w oczach robale, którym zawdzięczał coś w rodzaju widzenia, zarejestrowały pilkę w jej ręku jako brzoń? Czy może zaskoczył go agresywny, groźny ruch: podniesiona dłoń, krok zrobiony w przód, choć przecież powinna cofnąć się, odwrócić, uciec. Stwor chrząknął ze zdumieniem. Mała chmurka os wyleciała mu z pyska niczym żywa para. Próbował utrzymać równowagę, gdy rozległ się strzał.

Mężczyzna, który zawedrował tu tego ranka i jako pierwszy człowiek od dziewięciu dni spostrzegł Trishe McFarland, był zbyt wstrząsnięty, by choćby próbować iść na policję na temat tego,

co robił w lesie z powtarzalnym sztucerem: a mianowicie miał zamiar ustrzelic sobie jelenia i do diabła z okresem ochronnym! Nazywał się Travis Herrick i nie zamierzał wydawać pieniędzy na jedzenie, jeśli koniecznie nie musiał. Miał na co wydawać pieniądze: na bilety na loterie, na przykład, no i oczywiście na piwo, w każdym razie nie był sadzony pod żadnym zarzutem, nie skazano go nawet na grzywnę, nie zabił także stworę, którego dostrzegł, gorującego nad drobna dziewczynką, nieruchoma i tak dzielnie stawiająca mu czoło.

-Gdyby tylko się ruszyła, kiedy do niej podszedł, to by ją rozerwał na strzepy - mówił Herrick. - Cud boski, że i tak jej nie zabił. Pewnie ujarzmiła go spojrzeniem, jak na tych starych filmach z Tarzanem. Wyszedłem zza wzniesienia i zobaczyłem ich, pewnie gapilem się na nich ze dwadzieścia sekund, albo nawet minutę, w takiej chwili człowiek czasu nie liczy. Nie mogłem strzelać. Byli po prostu za blisko siebie. Bałem się, że trafie dziewczynkę, a potem ona się poruszyła. Miała coś w ręku i zamachnęła się tym czymś, zupełnie jakby narzucała piłkę. No i ten ruch go zaskoczył. Cofnął się i jakby stracił równowagę. Od razu skapowałem, że to jedyna szansa dla tej małej, więc poniosłem sztucer do ramienia i wystrzeliłem.

Obyło się bez rozprawy, obyło się bez grzywny. Zamiast jednego i/lub drugiego Travis Herrick doczekał się własnej platformy podczas parady z okazji Czwartego Lipca, w 1998 roku w Grafton Notch. Tak jest, mała!

Trisha usłyszała strzał, rozpoznała go jako strzał, dostrzegła też, jak nastawione ucho bestii rozdziera się na czubku niczym kawałek papieru. Zobaczyła w tym rozdarciu kawałek błękitnego nieba, a także tryskające lukiem w powietrze czerwone krople

krwi, niewiele większe od jagod, w tej samej chwili zorientowała się, że niedziedz znow jest niedziedz, ma ślepię wielkie, tepe i niemal komicznie zdumione. Zresztą może przez cały czas był to zwykły niedziedz?

Tyle że tak naprawdę wiedziała lepiej.

Nie wstrzymała ruchu, narzuciła piłkę. Trafiła go w dziesiątkę, wprost między ślepię i - cuda, ludziska, kto tu mówi o halucynacjach! - widziała wyraźnie, jak dwa paluszki spadły na drogę.

-Wywołany trzeci strike! - krzyknęła i na dźwięk jej ochryplego, radosnego, tryumfalnego, zalamującego się głosu ranny niedziedz nie wytrzymał i uciekł. Opadał na cztery łapy, przyspieszał niczym wścigowy samochód, krew płynęła mu z rozdartego ucha, krecił tyłkiem i pedził jak oszalały. Huknął kolejny strzał, Trisha poczuła, jak ped powietrza od kuli mijającej jej głowę o kilkanaście centymetrów po prawej rozwiewa jej włosy, dostrzegła kłab kurzu wznoszący się z drogi, w którą uderzyła, spory kawałek za niedziedz, po czym mis skrecił w lewo i znikł w lesie. Dziewczynka przez chwilę widziała jeszcze błysk jego lśniącego czarnego futra, a potem małe drzewka zadrzały w parodii strachu i po zwierzeziu nie było już śladu.

Trisha odwróciła się. Zobaczyła niskiego mężczyznę w spodniach w zielone plamy, zielonych gumowych butach i luznym podkoszulku, biegnącego ku niej co sił w nogach. Mężczyzna trzymał karabin w rękach wysoko wzniesionych nad głowę, zupełnie jak atakujący Indianin w starych westernach. Nie zaskoczyło jej wcale, że na podkoszulku ma logo Czerwonych Skarpet; najwyraźniej każdy mężczyzna w Nowej Anglii miał

przynajmniej jedna koszulka tej drużyny.

-Hej, mała! - krzyknął mężczyzna. - Hej, mała, nic ci się nie stało? Jezu Chryste Wszechmogący, to był cholerny niedzwiedz, nic ci się nie stało?

Trisha zatoczyła się, mniej więcej w jego kierunku.

-Wywołany trzeci strike - powiedziała, ale sama nie była w stanie usłyszeć swoich słów. Większość energii, która jeszcze zachowała, wydatkowała na ten ostatni krzyk. Mogła już mówić wyłącznie niemal niesłyszalnym szeptem. - Wywołany trzeci strike, rzuciłam podkreconą piłkę i zaskoczyłam go tak, że nawet się nie poruszył.

-Co? - Mężczyzna zatrzymał się przy niej. - Nie słyszę, co mówisz, kochanie, powtórz, proszę.

-Widziałeś? - spytała, mając na myśli piłkę, tę nieprawdopodobnie podkreconą piłkę, która więcej niż pekała - rozleciała się z trzaskiem. - Widziałeś?

-Tak... widziałem... - Ale tak naprawdę Herrick nie był pewien, co właściwie widział, w ciągu tych kilku sekund, kiedy czas stanął, kiedy dziewczynka i niedzwiedz wpatrywali się w siebie nawzajem, nie był pewien, wcale nie był pewien, czy ma do czynienia z niedzwiedziem. Ale nigdy nikomu o tym nie powiedział. Ludzie wiedzieli, że pije, tylko tego brakowało, aby zaczęli go uważać za szalenca, a poza tym miał w tej chwili przed oczami wyłącznie małą dziewczynkę, która wyglądała jak lalka zrobiona z patyczków, trzymana w kupie przez brud i podarte ubranie. Nie pamiętał jej imienia, ale skojarzył

oczywiście, kim jest, mówili o niej w radiu i w telewizji też. Nie miał pojęcia, jakim cudem dotarła tak daleko na północny zachód, ale doskonale się orientował, kim jest.

Trisha potknęła się o własne nogi i byłaby się przewróciła, gdyby Herrick jej nie przytrzymał. Duma jego życia, krąg 350, wypalił przy tym tuż przy jej uchu, ogłuszając ją, ale dziewczynka prawie nie zwróciła na to uwagi. Wszystko to wydawało się jej w jakiś sposób normalne.

-Widziałes? - spytała jeszcze raz. Nie słyszała własnego głosu, nie była nawet całkiem pewna, czy rzeczywiście coś powiedziała. Drobnym mężczyzną wyglądał na zdumionego, przerażonego i niezbyt bystrego, ale, jej zdaniem, był także łagodny. - Rzuciłam mu podkreconą piłkę, przeraziłam go i zamarł, widziałes?

Poruszała wargami, ale nie wiedziała, co właściwie mówi. Mężczyzna odłożył jednak sztucer na drogę, co przyjął z ulgą. Podniósł ją i odwrócił tak szybko, że aż zakreciło jej się w głowie; wymiotowałyby pewnie, gdyby w ogóle miała czym wymiotować. Rozkaszała się. Własnego kaszlu także nie słyszała, za głośno dzwoniło jej w uszach, czuła jednak ten kaszel w piersiach i w płucach, czuła go jako ciągnięcie.

Chciała powiedzieć temu mężczyźnie, jak bardzo lubi być noszona, jak bardzo cieszy się z tego, że ktoś ją uratował, chciała mu także powiedzieć, że niedzwiedz uciekał, nim on wystrzelił. Widziała zdumienie na pysku zwierzęcia, widziała, że przestraszyło się jej, kiedy z bezruchu przeszła w ruch. Chciała powiedzieć mężczyźnie, który biegł teraz, trzymając ją na rękach, jedna ważna, bardzo ważna rzecz, ale podskakiwała, kaszała, w głowie jej dzwoniło i nie wiedziała już, czy mówi coś, czy nie.

Mimo to próbowała powiedzieć: "Udało mi się, uratowałam wynik meczu", aż wreszcie straciła przytomność.

Po meczu

Znow była w lesie i weszła na polankę, która doskonale знаła. Pośrodku polanki, przy pieńku, który nie był pieńkiem, lecz kolkiem z zardzewiałym kolkiem na szczycie, stał Tom Gordon. Podrzucił kolko i łapał je, nawet na niego nie patrząc. "Przecież już mi się to sniło" - pomyślała, ale kiedy podeszła do Toma, zobaczyła, że zmienił się jeden szczegół: zamiast szarego wyjazdowego stroju Tom miał na sobie biały kostium miotacza z wyszytym czerwonym jedwabiem numerem 36, a więc skończyły się mecze na wyjazdach, Skarpety wróciły na Fenway, wróciły do domu. Skończyły się mecze wyjazdowe. Tylko że ona i on byli tutaj, znow na polanie.

-Tom? - spytała niesmiało.

Tom Gordon spojrzał na nią, unosząc brwi. Zrezygnacyjnie bawił się metalowym kolkiem. Podrzucił je w górę i w dół, w górę i w dół.

-Tom? - powtórzyła. - Uratowałam zwycięstwo.

-Wiem, że uratowałaś zwycięstwo, skarbie. Odwalilas kawał dobrej roboty.

Podrzucił kolko w górę i dół, w górę i w dół. Do kogo dzwonisz, kiedy kolko ci peknie?

-Ile z tego było rzeczywiście prawda?

-Wszystko - odpowiedział Tom, jakby nie miało to wielkiego znaczenia. - Odwalilas kawal dobrej roboty.

-Glupio zrobilam, schodzac ze szlaku, prawda?

Tom Gordon spojrzal na nia lekko zaskoczony. Podniosl daszek czapki ta dlonia, ktora nie podrzucala metalowego kolka. Uśmiechnal sie, z tym uśmiechem wygladal bardzo mlodo.

-z jakiego szlaku? - odpowiedzial pytaniem.

-Trisha? - Za jej plecami rozlegl sie kobiecy glos. Brzmial jak glos matki, ale co mama miala do roboty tu, w lesie?

-Zapewne pani nie slyczy - powiedzial inny kobiecy glos, ktorego nie znala.

Trisha odwrocila sie. Las ciemniat, drzewa zamazywaly sie, stawaly nierealne, przypominaly teatralne tlo, widziala jakies poruszajace sie w srod nich ksztalty, przestraszyla sie, pomyslala: "Kaplan os, kaplan os wraca!", ale zdala sobie sprawe z tego, ze sni, i strach minal. Spojrzala na Toma, lecz Toma juz nie bylo, pozostal tylko zlamany slupek z metalowym kolkiem na gorze... oraz lezaca w trawie kurtka do rozgrzewki, z nazwiskiem GORDON na plecach. Dostrzegla go przy scianie drzew po drugiej stronie polanki; biala sylwetka, przypominajaca ducha.

-Trisha, co lezy w naturze Boga? - zawolal.

-Pojawiac sie w koncowce dziewiatej! - probowala odkrzyknac, ale z jej ust nie wydobyl sie zaden dzwiek.

-Popatrzcie - powiedziala matka. - Porusza ustami.

-Trish? - spytał Pete głosem, w którym brzmiał niepokój... i nadzieja. - Trish, obudzilas sie?

Trisha otworzyła oczy i las odszedł gdzieś daleko, w ciemność, która miała pozostać w niej na zawsze. "Z jakiego szlaku?"
Leżała na łóżku w szpitalnej sali. Włożono jej coś do nosa, a coś innego, rurkę, wbito w ramię. Na piersi czuła ciężar, płuca były czymś wypełnione. Przy łóżku stali tata, mama i brat, a za nimi, duża i biała, pielęgniarka; to ona wyjaśniła: "Prawdopodobnie was nie słyszy".

-Trisha - powiedziała zaplakana mama. Pete także płakał. - Trisha, skarbie. Moja malenka. - Ujęła ją za dłoń, w którą nie wbito rurki.

Dziewczynka próbowała się uśmiechnąć, ale wargi miała za ciężkie, nie chciały się unieść, nawet w kącikach. Poruszyła oczami. Na siedzeniu przystawionego do łóżka krzesła dostrzegła czapkę Czerwonych Skarpet, a na jej daszku czarnoszary cień. Niegdyś był to autograf Toma Gordona.

Próbowała powiedzieć: "tato", ale tylko zakaszła. Cicho, jednak nawet ten cichy kaszel sprawił jej ból. Skrzywiła się.

-Nie próbuj mówić, Patricio - odezwała się pielęgniarka, z jej głosu i postawy dziewczynka wywnioskowała, że kobieta chce wyrzucić stąd jej rodzinę i że zaraz zmusi ją do wyjścia. - Jesteś bardzo chora. Masz zapalenie płuc. Obustronne zapalenie płuc.

Mama nie słyszała chyba tej przemowy. Siedziała na łóżku, gładząc córkę po wychudzonej rączce. Nie szlochala, ale łzy cały czas spływały jej z oczu na policzki. Obok niej stał Pete, także

zaplakany. Jego lzy ujely Trishe bardziej niz lzy matki, choc mimo wszystko brat nadal wydawal jej sie dosc glupawy.

Za nimi, obok krzesla, stal tata.

Tym razem nie probowala mowic, spojrzala tylko na ojca i samym ruchem warg wypowiedziala jedno slowo: "tato". Ojciec dostrzegl jej wzrok i pochylik sie ku niej.

-Co, skarbie? o co ci chodzi?

-Dosc tego - wtracila sie pielegniarka. - Aparatura wskazuje, ze dziewczynka jest podekscytowana, a tego wlasnie nie chcemy. Za duzo przydarzylo jej sie ostatnio interesujacych rzeczy. Gdybyscie panstwo zechcieli mi teraz pomoc... zechcieli jej pomoc...

Mama wstala.

-Kochamy cie, Trisho - powiedziala. - Dzieki Bogu, jestes juz bezpieczna. Bedziemy przy tobie, ale teraz powinnas sie przespac. Larry...

Larry nie zwrocil najmniejszej uwagi na zone. Stal pochyly, opierajac sie palcami o lozko.

-o co ci chodzi, kochanie? Czego chcesz?

Trisha przesunela wzrok z jego twarzy na krzeslo, potem na twarz i z powrotem na krzeslo. Tata wygladal na zaskoczzonego - byla pewna, ze nie zrozumie, o co jej chodzi - ale nagle rozjasnil sie, z usmiechem podniosl czapeczke i probowal wlozyc jej ja na glowe.

Uniosła reke, po której gładziła ją mama; reka wazyła tonę, ale jakos się udało. Trisha rozwarła dłoń. Zaciśnęła palce. Rozwarła dłoń.

-Dobrze, kochanie. Oczywiście.

Włożył jej czapeczkę do reki, a kiedy zaciśnęła na niej palce, pocałował ją. Trisha rozplakała się wówczas, tak samo bezgłośnie jak mama i brat.

-Doskonale - powiedziała pielęgniarka. - Wystarczy tego dobrego. Teraz naprawdę musicie państwo... Trisha spojrzała na nią i pokręciła głową.

-Tak? - zdenerwowała się pielęgniarka. - I co jeszcze? "Jezu drogi..."

Trisha powoli przelożyła czapeczkę do reki, w którą wkluto jej igłę kroplówki. Cały czas patrzyła na ojca, upewniając się, czy ją obserwuje. Była zmęczona. Zaraz zasnie. Ale jeszcze nie teraz. Musi powiedzieć, co ma do powiedzenia.

Tata nie spuszczał z niej oka. Doskonale.

Przesunęła prawą reke wzdłuż ciała, nie odrywając wzroku od ojca, ponieważ tylko on mógł ją zrozumieć, a jeśli zrozumie, przetłumaczy. Postukała w daszek czapki, a potem prawym wskazującym palcem wskazała na sufit.

Uśmiech, który rozjaśnił twarz taty, oczy, usta, wszystko, był najwspanialszą, najslodsza rzeczą, jaka zdarzyła jej się w życiu. Jeśli w ogóle istniał jakiś szlak, był właśnie tu. Ponieważ ojciec

zrozumiał, mogła zamknąć oczy i wreszcie pograć się we śnie.

Gra skończona.

Postscriptum autora

Po pierwsze, pozwoliłem sobie zmienić nieco kalendarz meczów Czerwonych Skarpet na 1998 rok, ale upewniam was, że były to zmiany bardzo nieznaczne. Tom Gordon istnieje naprawdę i naprawdę narzuca w końcówkach meczów Czerwonych Skarpet, ale Tom Gordon z tej książki jest tworem wyobraźni. Opinia, jaka wielbiciele wyrabiają sobie o ludziach, którym dana została choćby odrobina sławy, jest zawsze tworem wyobraźni, co mogę potwierdzić moim osobistym doświadczeniem. Jednak pod pewnym względem prawdziwy Gordon i Gordon, którego wyobrażała sobie Trisha, są identyczni: obaj wskazują palcem niebo, kiedy uda im się uratować wynik meczu.

W 1998 roku Tom "Flash" Gordon zaliczył czterdzieści cztery uratowane mecze, najwięcej w lidze. Udało mu się też zrobić to czterdzieści trzy razy z rzędu, co jest rekordem Amerykańskiej Ligi Baseballu. Niestety, sezon skończył się dla niego nieszczęśliwie. Posługując się słowami Borka Rozporka, można powiedzieć, że Bog jest zapewne zapalonym kibicem sportowym, ale niekoniecznie kibicem Czerwonych Skarpet, w czwartym meczu playoffów grupy, przeciw Indianom, oddał trzy wybiecia i dwie bazy. Czerwone Skarpety przegrały dwa do jednego, w niczym nie umniejsza to jednak jego wyczynu, bez tych czterdziestu czterech uratowanych meczów Czerwone Skarpety skończyłyby prawdopodobnie na czwartym miejscu w grupie, a nie zwyciężyły w dziewięćdziesięciu jeden meczach, co było drugim wynikiem amerykańskiej ligi w 1998 roku. Jest takie

powiedzenie, z którym zgodzilaby sie pewnie wiekszosc zawodnikow, jak Tom Gordon ratujacych mecze: "Czasami zjadasz niedzwiedzia... a czasami niedzwiedz zjada ciebie".

To, co jadla Trisha, mozna naprawde znalezc w lasach polnocnej Nowej Anglii pozna wiosna. Gdyby nie byla dziewczynka z miasta, z pewnoscia zywilaby sie znacznie lepiej: orzechami, korzeniami, nawet trzcina. Moj przyjaciel, Joe Floyd, pomogl mi w opracowaniu tej czesci ksiazki. To od niego dowiedzialem sie, ze paprocie w stadium jadalnym mozna znalezc w koncu czerwca na bagnach w gestych lasach polnocy.

Lasy tez sa prawdziwe. Jesli kiedys odwiedzicie je podczas wakacji, zabierzcie ze soba kompas i dobre mapy... i nie probujcie zbaczac ze szlaku.

Stephen King Longboat Key, Floryda 1 lutego 1999

[1] Shakerzy - sekta religijna, powstala w Anglii w XVIII wieku, istniejaca obecnie wylacznie w Stanach Zjednoczonych. Jej czlonkowie praktykuja celibat i wspolnote majatkowa, sa tez zwolennikami prostego trybu zycia. Slyna jako rzemieslnicy

[2] Ogrod botaniczny, gromadzacy rosliny typowe dla Nowej Anglii.

[3] Rekonstrukcja typowego miasteczka z westernu

[4] Skrot oznaczajacy serie wyscigow amerykanskich seryjnych, lecz przerobionych samochodow sportowych.

[5] Laguma (w orygu flubber) - substancja niwelujaca grawitacje

ze slynnej komedii "Latajacy profesor" wytworni Walta Disneya.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/